DR. MYDŁEK

5.

TEGOŻ AUTORA W PRZYGOTOWANIU:

„ROMANS ARTYSTKI-MALARKI“
Powieść Współczesna (w druku).

„ROMANSE KOBIET NOWOCZESNYCH“
Powieść Współczesna

„TANIEC MILJONÓW“
Powieść Współczesna

„SZKLANA GÓRA“
Powieść Współczesna

„ANIOŁ POKOJU“
Powieść Współczesna

„MIASTO POD KRZYŻEM“
Powieść Współczesna

„KURTYZANA NOWOCZESNA“
Powieść Współczesna

„FABRYKA ROZWODÓW“
Powieść Współczesna

„APASZE WARSZAWSCY“
Powieść Współczesna

„PIERŚCIENIE ZŁUDZEŃ“
Poezje

WARUNKI PRENUMERATY PIERWSZEJ SERJI POWIEŚCI
ADAMA ODROWĄŻ-WRÓBLEWSKIEGO
PRZY KOŃCU KSIĄŻKI

WYDAWNICTWO „KROKWIE“

WARSZAWA, ul. TAMKA, 45-B, m 6.

ADAM ODROWĄŻ - WRÓBLEWSKI

DR. MYDŁEK

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

OKŁADKĘ I ILUSTRACJE
PROJEKTOWAŁA
IRENA LORENTOWICZÓWNA

WARSZAWA — 1931

Wydawnictwo „KROKWIE" Warszawa, ul. Tamka, 45-B/6.

Nr. 2125

„Drukarnia Popularna"
Warszawa, Sienna 33.

RODOWÓD MYDŁKA

Ach, Mydłek! Mydłek!

Przepotężna gra słów i barw kryje się w tem jednem określeniu, godnem pióra artysty-poety, lub złotoustego kaznodziei.

Dwie skrajne postacie: mędrzec i głupiec ucieleśniają się w tej skomplikowanej indywidualności i zasługują na poklask i uznanie ogółu.

Dla mędrca można znaleźć czasem słowa litości, od nich zaś już tylko jeden krok do miłości bliźniego.

Głupca traktuje się z politowaniem i obdarza się niesmacznym epitetem: poczciwina!

Ale spróbujmy przenieść Mydłka na papier, a wnet przekonamy się, że sprawa napozór błaha wikła się, wyślizguje się, okrywa się nimbem tajemniczości.

Zagadnienie o tyle jest godne uwagi i trudne do sprecyzowania, że Mydłek, zanim zajmie poczesne miejsce w hierarchji mydłków, przechodzi fazy głupca i mędrca. Podczas trwania poszczególnych

łaz można mówić o jego wartości moralnej, fizycznej i umysłowej z rozbrajającą naiwnością, obrzydzeniem lub ze łzami w oczach.

Przypuśćmy jednak, że w głowie Mydłka mieści się worek z trocinami, a dusza jego znalazła sobie inne wygodniejsze leże, naprzykład w szlachetnem ścierwie konia, i mówmy o Mydłku tak, jak on sam raczy się nam przedstawić.

Zastrzegamy, że chcemy widzieć Mydłka pierwszego gatunku, to jest takiego, którego w pewnych wypadkach nazywają „w czepku urodzonym", lub „spryciarzem", a który w rzeczywistości jest tylko aspirantem na spryciarza.

Oto rozsuwa się zasłona i ukazuje się przed nami Mydłek w całej swej okazałości.

Mydłek jest młody.

Schludnie, lecz więcej niż modnie jest ubrany.

Hołduje nawykom, które nazywają się manierami człowieka z towarzystwa.

Jeżeli chodzi o jego sprawy osobiste, w których pewność góruje nad słusznością, mówi głosem podniesionym, nieco załamującym się, mówiąc wulgarnie: bierze basem.

W dysputach jest wyniosły, operuje swojego chowu określeniami i domyślnikami, szafuje szczodrze pytaniami i wykrzyknikami, korzystając chętnie ze słów zapożyczonych franco i gratis z najnowszego wydania słownika wyrazów obcych. A pewna niewłaściwość używanych słów nabiera w jego ustach specjalnego posmaku przenośni.

Krok jego zamaszysty, nie pozbawiony pewnej elastyczności, przypomina ludzi, którzy dłuższy czas mieli doczynienia z końmi.

Głowa, spozierająca na wyżyny, przykryta najczęściej jasnym modnym kapeluszem, przykuwa do siebie każdego napotkanego przechodnia, albowiem jest to głowa osobliwa, której się nie da ocenić w zdawkowej walucie, lecz tylko na wagę złota. Albowiem mocny ten łeb, pływający w morzu głów różnorakich, za pomocą dwojga swych oczu, błyszczących jak fałszywe brylanty, obejmuje świat roztańczony i łajdaczący, świat zbrodniczy i brojący.

Nie masz w takiej głowie miejsca na smutek, na trapiący myśli niepokój: wszystkie komórki mózgowe wypełniły się szczelnie po brzegi, czaszka napęczniała, a przedmieście jej, czoło, goreje jak tarcza księżyca wróżąca wietrzną pogodę.

Jakże więc pojąć wszystko słabym rozumem ludzkim, jakże się dobrać do takiej głowy, jakież dać wreszcie określenie wyjątkowej indywidualności Mydłka?

Ba! gdyby to była niewiasta, oczywiście, dałoby się łatwiej wysnuć jakąkolwiek przynajmniej zbliżoną syntezę. Możnaby się uciec do mniej szlachetnych środków, jak inwigilacja policji obyczajowej, biura prywatnych detektywów, a sprawa znalazłaby wkońcu swoje określenie, będące wyrazem opinji publicznej.

Zważywszy, że pani X. nie sieje i nie orze, że lubuje się w błyskotkach, że znane są jej słabostki, których nie wymienia się z uwagi na moralność publiczną i że maniery jej zdradzają pewną rozwiązłość, opinja publiczna gotowa orzec, że niewiasta trudni się nierządem.

Tak się sprawa przedstawia gdy chodzi o płeć piękną, nie zobowiązaną do legitymowania się z prawa własności i zdobyczy kulturalnych.

Ale z Mydłkiem sprawa trudniejsza.

Takich typków nie rejestruje Urząd Policji Obyczajowej.

Nie sieją i nie orzą, lecz jako ptacy niebiescy są...

A zatem...?

Pozostaje jeszcze jedna teza: że głowa Mydłka nierządem stoi.

Lecz to nie wystarcza.

Nierząd umysłowy jest właściwy bardzo wielu ludziom i to takim, których opinja publiczna uważa za swych apostołów, a częstokroć wodzów duchowych i politycznych.

Więc nikt nie pośpieszy z takiem odkryciem. Bomba nie pęknie. A w Królestwo Ducha nie padnie ani jedno ziarenko zwiastujące przebłyski Odrodzenia.

Zdarza się raz na sto lat, że przyłapie się Mydłka in flagranti na manowcach jego żywota.

Epilog takiego zdarzenia, (w najgorszym wypadku kryminał), jest praprzyczynkiem do tomów historji ilustrującej cywilizację i obyczaje epoki.

Wtedy wypłynie nawierzch, jak oliwa, rodowód bohatera. Radjo ujawni światu rysopis i szczególne znaki Mydłka. Lekarze, wezwani w charakterze uczonych znawców-ekspertów, będą mieli sposobność popisania się przed wysokim trybunałem naukowym wywodem, analizujących erotyczno-lubieżne praktyki dobrze ułożonego młodzieńca. A prokuratorzy całego kraju poczną radzić nad ulokowaniem na jego plecach niemal całego Kodeksu Karnego, znajdą bowiem przy sposobności niewinnej miłosnej aferki i poligamję, i gwałt, i stręczycielstwo, i rozbój, i kradzież, i fałszerstwo, a czasem nawet i szpiegostwo o wyjątkowej kwalifikacji.

W dobie radja i przyjmującego się zwyczaju prania partyjnego przez nowoczesnych fakirów, zmieniających białe na czarne, a czarne na białe tyle razy, ile zajdzie potrzeba, nie życzymy Mydłkowi zasiąść na ławie z oskarżenia kulturalnie zarobkujących apostołów uciśnionej moralności, lub być przedmiotem oracji prokuratorskiej, zabraknie bowiem latarń w mieście, na których zechce zawiesić na pokaz publiczny wypieszczone i wychuchane różowe ciałko delikwenta.

A jego wędrówkę po ziemi i dzieło wypadku dwojga młodych i nieopatrznych ludzi, pokonanych celnemi strzałami Amora w miesiącu maju, uczyni gruboskórną zbrodnią.

Z dwojga rozmodlonych ciał zerwie tęczową zasłonę i pokaże światu jak w krzywem zwierciadle najwznioślejszy wyczyn wieku.

Dziecko chwilowej rozterki duchowej, objawiającej się histerycznemi spazmami lub wesołym beztroskim śmiechem, stanie się zbrodniarzem!

Towarzystwo damskie nie stwarza w głowie Mydłka chaosu, działa raczej kojąco.

W towarzystwie takiem uprawia Mydłek swoistą politykę, zaprawianą pieprznemi dowcipami, które nie wywołują uśmiechu u słuchaczek, nie rozumiejących istotnego znaczenia dowcipu.

Jeżeli chodzi o stosunek Mydłka do dam i damulek, to stosunek ten ma tę dobrą stronę, że Mydłek cieszy się wzięciem zwłaszcza u starszych pań, mających na wydaniu młode panienki, i jest poszukiwany na rynku wzajemnego obałamucania się.

Nadzwyczajna uprzejmość, przeplatana całowaniem rączek leciwych dobrodziejek, zazwyczaj cechuje Mydłka.

Temi drogami wkrada się do domów i bywa rozrywany. Nazywają go młodzieńcem „obytym", „dobrze ułożonym", a czasem nawet „dobrze urodzonym". Jest nieodzownym członkiem tańcujących herbatek, czwartkowych flaków i czarnych kaw w domach posiadających na wydaniu młode dzierlatki.

Wprawdzie Mydłek zostaje niekiedy „odkryty", lecz tego rodzaju „wsypa", mająca posmak kryminalny, nie przeszkadza mu być bezczelnym, zwłasz-

cza, gdy posiada za sobą nielada broń: obronę mamy, gotowej na narażenie własnej cnoty jeżeli chodzi o uratowanie Mydłka.

Ale zato Mydłek, posiadający pewne aspiracje na spryciarza, unika starannie przenikliwego spojrzenia mężczyzny. Dlatego nie lubi towarzystwa męskiego i woli pozostawać bawidamkiem, gdyż wie, że wśród płci pięknej można długo bezkarnie grasować.

O ile jest młodzieńcem ułożonym w towarzystwie starszych pań, o tyle jest bezczelnym w stosunku do pań samotnych i osamotnionych.

Młoda panienka, co nieopatrznie spocznie w jego towarzystwie na otomance w tonącym w półświetle pokoju, będzie zmuszona wypowiedzieć raz po raz: „wstydziłby się pan“, lub „jest pan niegrzeczny“.

Młode panienki i dorosłe panny, uprawiające niewinną żonglerkę słowną, często mają przebłyski istotnej wartości Mydłka, ale idąc za zdaniem mamy, apoteozującej Mydłka, nie mają odwagi rzecz nazwać po imieniu.

Zasadniczo Mydłek musiał gdzieś się urodzić, ale gdzie, w jakich okolicznościach i z kogo, tego lepiej nie dochodzić, bo byłby to próżny trud.

Niekiedy uda się odtworzyć poszczególne fragmenty jego dzieciństwa.

Wykształcenie domowe, później gimnazjum, najczęściej korpus kadetów lub paziów, uniwersytet, studja zagranicą, skomplikowane stosunki ro-

dzinne, stryj - ziemianin, ciotka - kamieniczniczka, wuj - miljoner w Ameryce, kuzyn - generał, dziad-sybirak, skonfiskowane dobra przez moskali, majątki pozostałe w Sowietach i t. p.

Byłoby wszystko w porządeczku, ale obrazy znikają jak w kalejdoskopie...

Zjawia się nieproszona wersja, podobna do halucynacyj pijanego, któremu majaczą się obrazy przeszłości.

Dom podrzutków, oleandry, policja, baraki dla bezdomnych, cyrk, most, dziurawe spodnie świecące golizną, wykrzywione kamasze, brud żrący ciało, bezustanna perspektywa kryminału i inne niedorzeczności.

Mydłek najczęściej wypływa na powierzchnię gdy przekroczy trzydziestkę. Od tej chwili zaczyna się układać życie i snują się sny o potędze. Sięga po wszystkie godności i wawrzyny, gdy tylko z łatwością dostają się w ręce.

Zaczyna pracować na niwie społecznej.

W codziennem szarem życiu usiłuje olśnić wszystkich bogactwem swojej wiedzy. Pochłania wszystko, co gdziekolwiek zasłyszy, a co psu na budę się nie zda.

Słowo jest jednak jak woda i z łatwością przenika we wszystkie zakamarki naszego skołatanego życia. Mydłek wie o tem. I dlatego starannie unika pióra i atramentu, tłumacząc się wrodzonym wstrętem do pisaniny.

Jedyne dokumenty w kieszeni Mydłka — to numery telefonów, zagadkowe inicjały tajemniczych osób, oraz różne daty i liczby, kwity z pralni i bilety wizytowe.

Oko dobrego obserwatora dostrzeże Mydłka w lokalu pocztowym, dobijającego się do stacji podmiejskich telefonów, żeby tą drogą przesłać pozdrowienia, załatwić różne intymne sprawki, lub wciągnąć kogoś nowego w swe pajęcze sidła.

A sedno takiego postępowania tkwi w tem, że Mydłek unika dokumentów pisanych, jakkolwiek chętnie posługuje się listami innych osób, a nawet fałszywem świadectwem szkolnem.

Dwa zagadnienia, a mianowicie: religja i uczciwość, są bezapelacyjnie wyrugowane z bujnych pojęć Mydłka, sprowadzając wszystko do wesołego powiedzonka: bujda!

Mydłek czasami, o ile nie znajduje innego wyjścia, a mózg doznaje natychmiastowej reakcji i buntuje się, wiesza się z tupetem na chwałę i pożytek Narodu. Zanim jednak zdobędzie się na taki zdrowy odruch, musi obowiązkowo spędzić wesoło noc w luksusowej spelunce, je i pije, tańczy i bawi się, nie mając złamanego szeląga w kieszeni.

Nazajutrz prasa, chciwa sensacji, umieszcza bezpłatny nekrolog w rubryce wypadków nadzwyczajnych, rozwiązując zagadkę targnięcia się na życie znanego powszechnie filantropa, gdy tymczasem był to tylko ni mniej ni więcej wyjątkowy przebłysk świadomości Mydłka, któremu zato należało

wypisać złotemi głoskami utarte epifatjum: „Cześć jego pamięci!“

Jedna jest tylko Prawda tutaj: nie byłoby tego wszystkiego, żeby nie znamienne dobrodziejstwo, przychodzące na świat razem z człowiekiem. Człowiek rodząc się przynosi na świat jedno z dwóch jestestw: zostaje człowiekiem lub bydlęciem. Jeżeli nie urodzi się człowiek, niewątpliwie urodzi się bydlę. Ale i urodzony człowiek przejmuje część łajdactw niejako z grzechem pierworodnym dar po rodzicach. I jakże często, zanim wyjrzy na świat, już złowroga myśl zakradnie się do chlewka, któremu na imię: mózg!

Zazwyczaj przy urodzeniu się człowieka są obecni: doktór, lub akuszerka, którzyby chętnie za podwójną stawkę honorarjum uśmiercili noworodka; dozorca domu, któryby za złotówkę wrzucił mesjasza do klozetu; przedstawiciel policji, któryby był gotów wykreślić z aktów stanu i innych dowodów kompromitujących; czereda kumoszek, które bez specjalnego wynagrodzenia zatkałyby pysk bękartowi, żeby się nie darł: przygodny sublokator, który za specjalną dopłatą kopnąłby ciężkim butem pętaka; i inni, o których zamilczę.

Niekiedy taki urodzony człowiek zdoła przezwyciężyć opiekę tych wszystkich dobroczyńców i zahartuje się o tyle, że nawet stawia opór szlachetnym żarcikom swoich współbraci.

Wszystkie te szlachetne i ulegalizowane żarciki, począwszy od grzywny i chwilowego przytrzy-

mania w areszcie do wyjaśnienia sprawy, a kończąc na szubienicy, nazywa arcymądry Mydłek walką o minimum egzystencji.

Wprawdzie wszyscy wiedzą, że taka walka istnieje, nie znalazł się jednak mądry, któryby określił jej granice.

Mydłek ma również swoją etykę.

Szanujący się człowiek nigdy nie będzie szanowany.

Stąd straszliwe zjawisko na tym padole ziemskim.

Kawaler, który nie uwiódł niewiasty, nie jest kawalerem, chyba, że jest odznaczony orderem ustanowionym przez Państwo, do którego przywiązany jest tytuł kawalera orderu.

Żołnierz, który nikogo nie zabił, nie jest żołnierzem, lecz skończonym ciurą.

Oficer, który nie śpiewa I-ej Brygady, nie strzela w knajpie, nie urżnie się przynajmniej raz w miesiącu, nie bije po gębie tych lub owych, nie jest oficerem, lecz ofermą.

Artystka filmowa, która nie żyje z dyrektorem, nie flirtuje z reżyserem, nie naciąga frajerów na stroje i biżuterje, nie powinna śnić o sławie międzynarodowej gwiazdy, skończy bowiem karjerę w podrzędnym lupanarze.

Sędzia, żandarm, policjant, którzy nie osadzili dostatecznej ilości ludzi niewinnych w kryminale, nie dorośli do wysokości swego zawodowego posłannictwa, nie sztuka bowiem osadzić zbrodniarza

złapanego in flagranti, lecz sztuka go sfabrykować.

Mężatka, która nie spędziła płodu, nie zdradziła męża z pierwszym lepszym drabem, nie może liczyć na miano kobiety ekscentrycznej.

Służąca, która nie kradnie, nie uznaje koszykowego, nie mizdrzy się do stażaków, kominiarzy i innych osobników, nie może być sprytną gosposią i rozgarniętą dziewczyną.

To są dewizy, które cechują każdego Mydłka. Żyje on niemi i oddycha, są mu bowiem narzucone zanim wyjrzy na świat.

Wprawdzie galerja noworodków jest różna, lecz wśród nich dominuje zawsze Mydłek.

Mydłków możemy spotkać we wszystkich zawodach. Najwięcej jest ich na urzędach. Trafiają się również w sądownictwie, lecz nie potrafią zagrzać tam miejsca, albowiem dziwną rzeczy koleją szybko wymigują się do palestry, notarjatu i hipoteki. Nie brak ich również w wojsku, gdzie surowa dyscyplina i obowiązek posłuszeństwa wobec przełożonych sprzyja szerzeniu się mydłkizmu. Nie sposób zatem wymienić wszystkich.

Ale my zajmujemy się tylko jednym Mydłkiem. Przyjrzyjmy mu się zbilska.

DOKTÓR MYDŁEK WYPŁYWA NA POWIERZCHNIĘ

W dżdżysty listopadowy ranek roku Pańskiego 1918, licząc od czasu rzezi niewiniątek, a w dwa dni po ogłoszeniu Rządu Ludowego w Lublinie, wykwintny gentleman stanął na ziemi Obiecanej dla wszystkich mniejszości i zawitał do pęczniejącej z dniem każdym Warszawy.

Wesoły ten młodzieniec wiedziony wrodzonym instynktem, co, przełożywszy na język urzędowy, nazywa się mieć nosa policyjnego, doszedł w kolejności swych losów do samozaparcia się, by znaleźć oparcie w wyłaniającej się jak gdyby z mgławicy konstelacji politycznej.

Ze wschodu i zachodu, południa i północy, nadciągały do serca Polski olbrzymie armje włóczykijów, wyfraczonych oszustów, samozwańczych dyplomatów, wiecznych studentów i turystów, urągających temu, kto pracę wynalazł, oficerów najdziwniejszych rodzajów broni, armij i państw, obwieszonych od stóp do głów orderami, krzyżami i medalami, posła-

dających na dowód swego stopnia oficerskiego — szlify i umiejętność strzelania w... knajpie, zgraja dyplomowanych doktorów, magistrów, nadradców, adjunktów, refeendarzy, koncypistów, dependentów, plenipotentów i podurzędników, a także dla okrasy nieco fakirów, którzy zawadzili o Indje podczas ucieczki z galer i ciężkich robót, niezliczona i nieobliczalna ilość złotoustych krasomówców, kaznodziejów, prelegentów, agitatorów i krzykaczy, z własnemi piedestałami składanemi w harmonijkę.

Z tą wędrówką Narodów przybył do Warszawy nasz bohater Dr. Andrzej Mydłek.

Stali bywalcy knajpki „Pod Dzwonnicą", jeżeli im trawa jeszcze nie wyrosła na brzuchu, pamiętają dobrze stolik zajmowany przez Dr. Mydłka po prawej stronie od podnóża orkiestry, składającej się wówczas z trzech bębnów, jednej patelni i kilku gwizdków, stanowiącej razem przemiłą kakofonję, czyli jazz-band.

W tem miejscu, którego ku wielkiemu żalowi nie możemy nazwać zacisznem, strzelały korki od szampana i selcerskiej.

Tu wszechwładnie królował i rządził Mydłek.

Nie zawsze coprawda płacił, lecz kredytu mu nie szczędzono.

Naprzekór humanitarnej instytucji Urzędu Śledczego, nie powiemy skąd Mydłek przybył i z jakiego źródła czerpał swoje dochody. Jeżeli tem zagadnieniem nie zajęła się szanowna dyrekcja i kelnerzy,

cóż to może obchodzić Urząd Śledczy, czerpiący swoje informacje z pierwszej ręki?

Nie zwabiły go łaskawe i dyskretne uśmiechy inkwizytorów z ulicy Daniłowiczowskiej, bo pieniędzy miał tyle, że nie wiedział, co z niemi robić.

Nie zmusiliby go do ujawnienia potężnej afery nawet groźbą, bo za nim stało prawo, które pieniądz nagina tak, jak dogodniej.

Wystarczy bowiem stwierdzić swoje alibi, lub wylegitymować swoje pochodzenie z tej samej linji co przestępca, a będziecie zwolnieni od świadczenia, choćbyście byli wspólnikami rozboju i mordu.

Opinja publiczna, sądzimy, nie będzie żądała od nas ujawnienia tajemnicy, skoro stwierdzimy, że w aferze brały udział wszystkie stany.

Bądźmy więc bez skrupułów, bo mieć skrupuły jest tak samo niewygodnie jak i skrofuły.

Trzeba umieć żyć, żeby żyć!

Oto jest dewiza żelaznego wieku, z pod którego skrzydeł Mydłek nie zamierza bynajmniej uciekać, albowiem nie jest pewien, czy jego różowe ciałko nie znajdzie się jutro na stole rzeźniczym w prosektorjum publicznem.

Dla pewności jednak, a raczej dla ścisłości, powiemy otwarcie, że opisane powyżej walory nie należą do postaci mistycznej, albowiem osoba Dr. Mydłka powszechnie jest znana na bruku warszawskim, otoczona jest aureolą czci i szacunku i wywodzi się jak większość mydłków z Małopolski. Nie chcemy w tem miejscu wyróżniać Małopolski pod względem

większego odsetka mydłków, niż inne dzielnice. Albowiem zdarzyło się nam spotkać na terenie byłego Królestwa Polskiego rutynowanych miejscowych mydłków, którzy nie umywali się nawet do Małopolan. Jeżeli zaś chodzi o nasze Kresy Wschodnie i Zachodnie, to z pośród tamtejszych żubrów wywodzi się bardzo wielu mydłków, których przodkowie gdyby wiedzieli o ich wyczynach przewróciliby się w grobie.

Zjawienie się Dr. Mydłka w stolicy obiegło lotem ptaka wszystkie kawiarnie i stójki na czarnej giełdzie, sądzono bowiem, że w przełomowej chwili zechce odegrać wybitną rolę.

Wielcy wtajemniczeni z pod „Strzechy" twierdzili niezłomnie o rokowaniach z pewną ustosunkowaną grupą anonimowych przemysłowców, którzy za wszelką cenę pragnęli wybudować olbrzymią wytwórnię różdżek oliwnych, czyli karabinów, otrzymując na ten cel odpowiednie kredyty ze Skarbu.

Mniej uświadomieni o wielkości posłannictwa Dr. Mydłka, wyrażali się dość sceptycznie o tych zamierzeniach. A półgłówki z Ziemiańskiej, stojący jeszcze zdala żłobu państwowego, dopatrywali się we wszystkiem wielkiego szwindlu ze szkodą „dla kazny".

Zupełnie skretyniała przedwojenna grupa z Udziałowej, trzymając się za boki i puste żołądki, ględziła od rzeczy, nazywając poważną sprawę wykiwaniem wielu wysokopostawionych osób, którzy już dawno bardzo nisko upadli.

Tymczasem przewidujący wszystko Mydłek postanowił zorganizować bezbarwną klikę, za pośrednictwem której informował się o wszelkich możliwościach, zamierzał bowiem jednem zręcznem posunięciem osiągnąć to wszystko, na co inni tracili lata.

Ale przeliczył się w swoich przewidywaniach. Wypłynęła bowiem na widownię pewna wojskowa klika, która nie chciała pogodzić się z myślą, że bliźni może zająć miejsce przy państwowym żłobie. Toteż żywo interesując się sprawami publicznemi, chętnie zaglądała do państwowej kasy, krzycząc na ucho spokojnemu osiołkowi:

— Łapaj, bo kradną!

I ten, co przez most nie chciał przejść, był haniebnie wyrzucony z obory, bo nie miał słabej ręki dla innych, a silnej dla siebie.

Taki stan rzeczy w gwarze kryminalnej nazywa się „przesileniem".

Właśnie Dr. Mydłek przybył do Warszawy w czasie jednego z takich przesileń, które w Odrodzonej Polsce z biegiem czasu staną się istną plagą egipską.

Cały Rząd niejakiego Świerzyńskiego, po pięciodniowej halucynacji, podał się do dymisji.

Runęły, jak śliwka w nawóz, marzenia ściętej głowy o koronie.

Nie znaczy to, że ze strony pewnych klik zachodziły podejrzenia co do rzekomych zakusów Dr. Mydłka względem stolca ministerjalnego. Była to zresztą rzecz zupełnie do zrobienia, zwłaszcza, że

Dr. Mydłek ułatwiłby jednym i drugim różne możliwości, wiadomo bowiem było, że w państwach o ustroju demokratycznym nowy rząd przychodzi ze swoim własnym, zarówno żywym jak i martwym inwentarzem.

Ale Dr. Mydłek, pozostający pod przemożnym wpływem sfer przemysłowych i przemysłujących, nie miał w tym kierunku żadnych aspiracyj.

Obdarzony z natury wszechstronnym zmysłem organizacyjnym, nie miał najmniejszej ochoty do odegrania podrzędnej roli manekina, skaczącego według wskazówek panów suwerenów z ulicy Wiejskiej.

W zawodzie wolnym można było osiągnąć znacznie większe wpływy, no i — korzyści.

Wytwarzająca się sytuacja polityczna nastręczała również pewne wątpliwości.

Polska, zaledwie zbudzona z wiekowego letargu, powoli przecierała oczy. Kubły zimnej wody orzeźwiały młody jeszcze organizm, przygotowując do dłuższego treningu.

Wkrótce trzeba było pokazać światu mocny, żelazny kułak i pogrozić jednym i drugim.

Całe społeczeństwo znajdowało się, jak gdyby w kotle gotującej się wody, w którym gmerał każdy kto tylko chciał.

W tych pierwszych dniach Odrodzenia, Warszawa przybrała wygląd świąteczny.

Zaroiły się restauracje i kawiarnie, stojące za Niemców pustkami. Istny szał zabaw ogarnął

wszystkich. Skończył się pokutniczy żywot tych spelunek. Niedługo jednak, wysondowawszy ze zbiedzonego społeczeństwa ostatnie grosze, zmuszone były zamknąć swoje podwoje i odstąpić swe lokale na różne banczki i domy szalbierstwa, gdzie w biały dzień i pod okiem władz sprowadzano majątek Narodowy do zera.

Gdy na Wschodzie, zgraja fanatyków, kierując się pobudkami natury ideowej, znacjonalizowała wszystkie majątki i kapitały, stwarzając w ten sposób podstawę do dalszej egzystencji swej spontanicznej Idei, suwerenny Rząd Odrodzonej Polski pozwolił zgrai giełdziarzy i aferzystów obrać swych obywateli z majątków i kapitałów, przerachowując następnie krwawo zdobyty pieniądz na zdawkowe grosze własnej waluty.

Naród był biedny, goły i głodny. Człowiek zaś głodny jest zły, opanowuje go nastrój wisielczy, idzie do knajpy, żeby przepić resztki smutnej spuścizny, szuka tanich wzruszeń i topi robaka w morzu wódki i łez, rozpamiętywując nad tem, jak to ongi bywało.

Wprawdzie obowiązywał „czas policyjny" rodzony brat „suchej niedzieli", ale niewiele robiono sobie z Milicji Ludowej, którą trzeba było niebawem rozbrajać, albowiem zaczęła przekomarzać się z pobliskim sąsiadem.

We wszystkich knajpach, nocnych spelunkach i podmiejskich lupanarach bawiono się bez końca, nie było bowiem poco kończyć i komu przerywać.

Ludzie, co zeszli się ze wszystkich końców świata, zapoznawali się, zawiązywali nowe stosunki i koligacje.

Roiło się wszędzie od mydłków różnego rodzaju i kalibru. Ale nie będziemy o nich mówili, zajmujemy się bowiem tylko naszym Mydłkiem, który jest głównym bohaterem tego historycznego okresu.

Dr. Mydłek w tym czasie nawiązywał również nowe stosunki i koligacje, nie przebierając zresztą w wyborze. W Państwie demokratycznem niczego nie można z góry przewidzieć. Albowiem z zecerów, tramwajarzy, kelnerów i innych ludzi, żyjących z pracy własnych rąk, wyrastają z czasem najprzedniejsze postacie Narodu, którym powierza się sprawowanie najwyższych godności państwowych.

Zresztą Dr. Mydłek nie był człowiekiem przeciętnym, ograniczającym się do życia tylko w swojem środowisku: nie zamykał oczu na świat, lecz przenikał we wszystkie warstwy, w nich widział przyszłość i tężyznę Narodu.

Jego żywiołowa natura, ognisty temperament, wszechstronne wykształcenie, niedościgniona kultura duchowa, wytworne i subtelne maniery, były wyrazem ogólnego podziwu, a częstokroć nawet naśladownictwa.

W pewnych kołach Warszawy uchodził za wzór złotej i niebieskiej młodzieży.

Płeć piękna szalała za nim.

Gdy zaś ukazał się gdziekolwiek pełen dystynkcji, elegancji i subtelnego zuchwalstwa, wywoływał ogólne zainteresowanie.

Nie przejmowano się bardzo brakiem uwierzytelnionych rodowodów, (tyle ich zaginęło w rozgardjaszu wojennym), albowiem Sejm Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, w uznaniu zasług wszystkich stanów w walce o niepodległość, jednym wielkim aktem przekreślił wszystkie rodowody, przywileje i tytuły, dając prawo wszystkim stanom do podziału dobrodziejstw, wynikających z nowego stanu rzeczy.

Nie wiedziano również dobrze, gdzie ukończył swoje studja i uzyskał tytuły naukowe, nie wątpiono jednak, skoro wypisał wszystko rzeczowo i dokumentnie na biletach wizytowych.

Nie było w tem nic dziwnego, gdyż wywodził się z magistratury przedwojennej, patrzącej niechętnem okiem na dyplomy i matury wojenne, pieczone jak bliny na patelni.

Nawet ludzie o wysokiej kulturze intelektualnej, profesorowie, teolodzy i wolnomyśliciele, sędziowie i politycy, literaci i dziennikarze, jakże często podziwiali trafność jego sądu i przewidywań, oddając hołd należny jego wiedzy i przenikliwości.

W ten sposób zaskarbił sobie mały światek warszawski, uchodząc za powagę i wyrocznię w wielu niedocieczonych i skomplikowanych zagadnieniach.

Ale nie nęcił go świat złudzeń. Nie miał zaufania do zbyt wyśróbowanego intelektu. Przedkładał

zawsze sfery zbogaconego mieszczaństwa i przemysłowców nad rodową i duchową arystokrację.

Była w tem może nawet pewna racja.

Pieniądz młodszy i łatwiej zdobyty był ruchliwszy i obrotniejszy, szybciej doń można było znaleźć drogę. Arystokracja zaś, jeżeli nie odłużona po uszy, to pochłonięta czczym, jałowym i zaskorupłym konwenansem, karlała z dniem każdym nie znajdując wyjścia z sytuacji.

Wartości rodowe i intelektualne wogóle u Mydłka nie miały znaczenia. Gardził niemi, jak gardzi człowiek syty kromką suchego chleba. A jeżeli kiedy zabierał głos, to jedynie w tym celu, żeby pokazać swą wyższość, swój przerost intelektualny, wyzwolenie się z przesądów i nawarstwień naukowych.

Nie było to znowuż takie trudne. Wojna przyćmiła umysły. Wielu ludzi majaczyło jeszcze jak we śnie, rozumując kategorjami przedwojennego światopoglądu. Umysły rozleniwione przez wojnę i niezdolne do logicznego myślenia poddawały się z łatwością wpływom obcym. Ludzie, jeżeli nie przytakiwali, to w każdym razie nie przeczyli.

Sytuacja polityczna powoli zaczęła się wyświetlać. Tu i owdzie uderzył grom, a błyskawice zdołały rozświetlić przykryte nimbem tajemniczości sumienia. Rozległ się nagle krzyk, ale nie trwał długo. Gdzie jest dużo interesów sprzecznych, interes osobisty przeważa. Gdy fala zbyt silnie uderza o brzeg, tembardziej traci na sile.

Ludzie, którzy chwilowo przykucnęli w różnych zakamarkach, zaczęli wyglądać na światło dzienne, nadstawiając swoje ryje po obrok państwowy. Do żłobu zaczął się cisnąć każdy, kto chciał i nie chciał. Tylko ludzie śmielszej natury zaciągnęli się do zawodów wolnych.

Dr. Mydłek szybko zorjentował się w sytuacji.

Prognozy były niepocieszające. Słabość i chwiejność waluty, odziedziczonej z dobrodziejstwem inwentarza po okupantach, podrywały kredyt, największą ostoję cywilizacji. Ogólne zniechęcenie i apatja odstręczały najczynniejsze jednostki od wszelkich przedsięwzięć. Niepewna sytuacja polityczna, bijące na trwogę alarmy wojenne, sabotaż państw ościennych, były jak gdyby probierzem nowego stanu rzeczy, nie rokującego nikomu powodzenia we wszystkich poczynaniach.

Lecz Mydłek wiedział dobrze, że w mętnej wodzie łatwo ryby łowić.

Po długich namysłach i rozmysłach doszedł do przekonania, że jest zawcześnie, żeby cośkolwiek robić na gruncie warszawskim.

Grunt był niepewny. Ludzie nowi i nieznani. Wszyscy wyciągali ręce, ale nikt nie chciał dawać.

Trzeba było poszukać bardziej podatnego gruntu, o zdecydowanym sposobie myślenia, o wrodzonych nawykach.

Niema jak prowincja!

Cicha zahukana prowincja!

Ludzie są tam inni i inne ich życie. Serce każdego z tych prowincjałów jest wielkie i szlachetne, gotowe pochłonąć każdego, kto przychodzi od świata i ludzi.

Pewnego wieczoru, nie zwierzając się nikomu, splunął i wyjechał. Wybrał ślicznie położony ogród gubernjalny, izolowany od świata i ludzi, albowiem nawet kolej żelazna ze względów strategicznych nie dochodziła do jego bram. Żył swojem odosobnionem życiem nie biorąc udziału w wielkiej polityce.

Była to, jednem słowem, Abdera!

JEDZIEMY DO ABDERY

Mydłek, spłókawszy się doszczętnie na gościnnych występach w Warszawie, które to miasto, zdaniem Mydłka, niepozbawionego fantazji i trafnych określeń, winno jak najszybciej zniknąć z powierzchni ziemi, splunął siarczyście po pożegnalnym obiedzie w znanej knajpce „Pod Dzwonnicą" i ruszył żwawo ku przystani.

Był to odwrót bohatera z pola walki. Wycofywał się wprawdzie z honorem, ale z pewnym na ustach niesmakiem.

Okręt Polskiej Marynarki Rzecznej o historycznej nazwie „Józef Ponury" był już pod parą i za kilka chwil, przedłużających się w nieskończononość, miał odpłynąć w stronę Abdery.

Mydłek, załatwiwszy przedwstępne czynności w maluczkiem okienku, gdzie wytworny kasjer nigdy nie posiada reszty, i nie omieszkawszy jeszcze raz splunąć, tym razem w plecy objuczonego tobołkami żyda, wkroczył zwycięsko na pokład.

Po atmosferycznych i umysłowych zaburzeniach, kwękając niczem po cesarskiem cięciu, nadchodziła właśnie anemiczna, umorusana i zabłocona polska wiosna.

Wilgotny wiatr morski, wiejący prosto od morza, wpłynął kojąco na jego skołowaconą huraganem życia głowę i rozprószył na chwilę jego wisielczy humor.

Trzeba było widzieć wściekłą minę Mydłka, nieprzyzwyczajonego do takich morskich podróży.

Było to jeszcze w tym okresie, kiedy Polska Marynarka Rzeczna nie posiadała olbrzymich okrętów o miljonowej pojemności ton, wybudowanych w kilka lat później w ogromnych dokach „Dostępu do Morza".

Tymczasem trzeba było kontentować się okrętami handlowemi, przeznaczonemi równocześnie do przewozu ludzi, zwierząt i towarów.

Mydłek, znalazłszy się w małej przytulnej kabince, chciał jeszcze raz splunąć, lecz zoczywszy groźne oczy i błyszczące lakiery kapitana okrętu, mimowolnie skierował swe oczy na bukiet niezabudek, troskliwie pielęgnowany przez niczegowatą dziewicę, zakrawającą na pannę domowego chowu, o czarnych jak węgiel oczach i korpulentnych łydkach, spoczywających w grubych wełnianych pończochach, znamionujących pewnego rodzaju artystyczny nieład w dolnej części jej garderoby.

Objekt chwilowej obserwacji pozwolił zapomnieć mu o przemijających zgryzotach. Na twarzy

zawitał lekki półuśmiech, który przestraszył nieślubne dziecko dziewicy z niezabudkami, dotąd dyskretnie pełzające po ziemi.

Niewiasta, która zpoczątku uprzejmie zerkała w stronę Mydłka, popadła w gniew i zaklęła siarczyście:

— Bodaj cię teściowa nie opuściła!

Mydłek niemal intuicyjnie wyczuł zbożne życzenie dziewicy z mlekiem, wykręcił się na pięcie i znikł w drzwiach kabiny, starając się przedostać w bardziej ukojne i odpowiednie dla siebie miejsce, należał bowiem do ludzi, którzy potrafią przysposobić się do życia we wszystkich okolicznościach, jakie złowrogi los stwarza ku pognębieniu znienawidzonej od Adama i Ewy ludzkości.

Przyjrzawszy się okiem znawcy znajdującej się na pokładzie publiczności, wstąpił do małej zakopconej kajutki, przypominającej chińskie herbaciernie, nad którą zachęcająco dominował niekształtny szyldzik z napisem: BUFET.

Była to, rzeczywiście, kajutka przeznaczona na herbaciarnię, w której jednak nawet za kilogram marek okupacyjnych nie można było dostać szklanki herbaty.

Można tam jednak było, pomimo braku koncesji i patentu, nieźle zakropić robaka. A zgrupowana w kajutce publiczność nie przebierała w środkach, chlała kowszem z blaszanki i ujmująco piła z butelek. Boska wódeczność lała się strumieniem, zaprawiana doraźnie kroplami gorzkiej, miętowej

lub garstką tłuczonego pieprzu. Człowiek zaś pragnący herbaty, w najlepszym wypadku, byłby uważany za zbiega ze szpitala Jana Bożego.

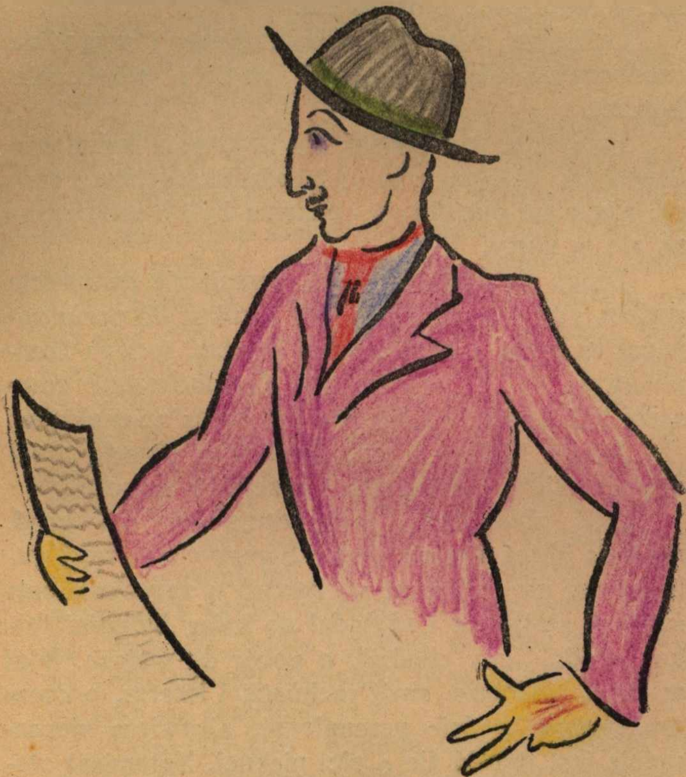
Oczy Mydłka zaświeciły błyskiem pełnym mocy niepospolitej: fosforyzowały i hypnotyzowały. Całe szczęście, że nie było na pokładzie niewiasty z dzieckiem i niezabudkami, albowiem dziecko mogłoby umrzeć, niezabudki zwiędnąć, a niewiasta poronić nowy grzech miłości.

Tymczasem okręt „Józef Ponury" ruszył jak z kopyta, zamigotał w powietrzu przeraźliwym sykiem Warszawskiej Syreny, gotowej wszędzie i wszystkim pokazać swój przydługi język, nie rozumiejąc równocześnie kierowanych pod jej adresem przytyków i dwuznaczników.

Ludek filozofujący na pokładzie przybrał tajemnicze miny. Część gości z „bufetu" zaczęła zdradzać pierwsze objawy morskiej choroby. Wisła zaś, korzystająca z uprzejmej pogody, szalała swemi półtoracalowemi falami i figlarnie objęła w swoje boskie ramiona cały okręt. Okręt tymczasem wytańcowywał modnego sztajerka pośród ławic, mielizn i piachów, zmieniających co miesiąc swoje siedlisko.

Zabrzdąkał na gitarze wcześnie podstarzały niedorostek. Na przeciwnym końcu odezwała się harmonijka. Z jakiegoś kąta wylazła grupa przygodnych muzykantów z prymitywnemi instrumentami muzycznemi.

Na pokładzie zawrzało.



Portret Dr. Mydłka.

— Grać! — krzyczał dobrze już podpity w „bufecie“ ekonom z Psiej Wólki.

— Grać majufesa! Grać, lub wynocha z pokładu, psie krwie jedne! — dogadywał młody ochotnik w rogatywce z orzełkiem.

Orkiestra, ustawiwszy instrumenty i wygodnie usadowiwszy się, wyciągnęła nogi i rozpoczęła koncert.

Popłynęła z biegiem fal uroczysta kakofonja dźwięków, mająca poruszyć najzatwardzialsze serca, albowiem muzykanci oddawna byli z sobą zgrani, ale w karty.

Droga do Abdery trwała przeciętnie dwanaście godzin, gdy zaś pijany sternik zamiast do portu zawinął na jedną z napotkanych mielizn, sprawa komplikowała się i pasażerowie niejednokrotnie zmuszeni byli dymać do Abdery per pedes apostolorum.

Miasto Abdera z przyległościami słynęło przedewszystkiem z przyrostu i przerostu ludności.

Ilość abderytów, zamieszkujących ten gród, nie była bliżej nikomu znana. Swego czasu rząd gubernjalny nie troszczył się bardzo o zaprowadzenie ścisłych statystyk i zaglądał do ksiąg ludności tylko wtedy, gdy chodziło o pobór do wojska. Miał w tem podobno swój rachunek i interes, o czem praktyczniej będzie przemilczeć, albowiem nierozsądnie jest mówić źle o płci pięknej. Natomiast niedawny rząd okupacyjny, przygodny cywilizator ludzkości, więcej interesował się gospodarką żywnościową, niż samą ludnością i pozostawił po sobie

niezatarte wspomnienie cywilizowanego szakala. Odradzająca się Ojczyzna nie zdążyła jeszcze w ścisłe karby ująć wszystkich swych abderytów, albowiem ludność, od lat przywykła uchylać się od wszystkich oficjalnych i nieoficjalnych spisów, wyczuwała w każdej rejestracji obowiązek służby wojskowej, podatek od dodatku do podatku i inne nie mniej oczekiwane możliwości.

Miasto i powiat, mlekiem i miodem płynące i bezmiarem innych bogactw wyróżniające się na całem Mazowszu, w hierarchji państwowej figurowało na samym końcu. Powodem tego była specyficzna polityka ekonomiczna abderytów, którzy z wyrazem najwyższego zachwytu obliczają zwykle swe dobra, majątki i kapitały, unikając jednak ujawnienia ich w zeznaniach składanych urzędowi skarbowemu. W świetle tych zeznań niejeden właściciel stuwłókowego majątku wyglądał jak przeciętny chłopina na dwudziestomorgowym folwarku. Wskutek takiej nielojalności abderytów względem Państwa, długo trzeba będzie wywalczać niezależność ekonomiczną kraju, wyglądającą niemal ze wszystkich kątów, wszędzie bowiem pełno jest zboża i zapasów, bydła i bydląt, niejeden zaś zbiedzony przez podatki popuszcza pasa, tylko nikt nie chce do tego się przyznać.

Sama Abdera posiada jednak chlubną kartę w historji. Według podań ludowych przeżyła ona w czasach przedhistorycznych niejedną wędrówkę ludów, dla zadokumentowania czego ostatni zabor-

cy pozbawili ją najprymitywniejszego środka komunikacji, t. j. kolei żelaznej. Wesoło usposobiony ludek nie ucierpiał z powodu tych wędrówek, przekazał bowiem swemu potomstwu nadzwyczajną skłonność do wiarołomstwa i rozwodów. Przygodni przybysze, skłonni do popisywania się dobremi uczynkami, wprowadzili wiele ciekawych zwyczajów, słynących na całem Mazowszu. Nie będziemy ich jednak wymieniali i opisywali, żeby się nie stać przypadkiem rozsadnikiem zła, które ma tę właściwość, że z łatwością się przyjmuje.

Abderyci śmieją się zawsze, od dziecka aż do śmierci, a jeżeli smutek przypadkiem zagości na ich roześmianych licach, należy ich jak najszybciej oddać na koszt gminy do szpitala, albowiem smutek jest chorobą zaraźliwą, a każda zaraza może przysporzyć wiele zła. Dlatego abderyci śmieją się nawet wtedy, kiedy śmiać się nie trzeba, lub kiedy śmiać się nie wypada.

Ten entuzjastyczny nastrój udziela się i tym wszystkim, którzy chociaż na chwilę zawitają do tego grodu. Stąd należy wnosić, że radość ta nie jest objawem psychicznym, lecz przywiązana jest do pewnych właściwości klimatyczno - miejscowych.

Niewątpliwie, że ta okoliczność była jedną z przyczyn, z powodu których Dr. Mydłek wybrał na miejsce swego osiedlenia miasto Abderę.

Tu człowiek zrównoważony i opanowany, który nosił na sercu niejedną boleść, a na duszy całe

tonny smutków, co, dzięki bezustannemu treningowi, umiał płakać śmiejąc się i śmiać się przez łzy, zdecydował założyć chwilowe siedlisko.

Niewątpliwie, jeszcze inne niemniej ważne okoliczności wpłynęły na to, że Dr. Mydłek zamieszkał wśród wesołków abderskich. Można tam było mieszkać nie wyglądając całkiem za rogatki miasta i żyć życiem samoistnem nie nawiązując stosunków ze światem. Komunikacja bowiem z innemi ośrodkami kraju odbywała się za pomocą przedpotopowych wehikułów, a dojazd do najbliższej stacji kolei żelaznej trwał niemal pół doby.

Legendy ludowe, nie pozbawione tak samo podstaw, jak podstawy częstokroć nie pozbawione są legend, głosiły, że Abdera ongiś płynęła mlekiem i miodem. Wszelkie zabiegi uczonych, zmierzające do odszukania nietyle źródeł legend ile mleka i miodu, spełzły na niczem, jakkolwiek ocalały dowody, nie budzące żadnej wątpliwości, że Wisła w tem miejscu przed wiekami płynęła głębszem korytem, gdyż jeszcze za Stefana Batorego do portu w Abderze przybijały szwedzkie okręty, polska zaś magnaterja, z której pozostały jeno gorzkie okruchy, posiadała w tym czasie nietylko porty na Wiśle, lecz nawet własną flotę i Wisłą wypuszczała się na dalekie wyprawy morskie, dosięgając brzegów państw zamorskich. Dziś, niestety, większość potomków owych sławetnych rodów nietylko że nie posiada floty, ale nawet portek. I Wisła, idąc po linji ogólnego upadku, również skurczyła swoje ko-

ryto, i jakże często niejeden okręt, kierowany wprawną ręką przez podpitego sternika, osiada bogobojnie na mieliźnie, a zawiedzeni pasażerowie muszą rypać do najbliższego osiedla na piechotę, żeby następnie końmi dostać się do miejsca swego przeznaczenia.

Ale przy sposobności tych poszukiwań, uczeni zupełnie wypadkowo stwierdzili, że abderyci w zamierzchłych czasach pędzili smołę i samogonkę, używając tę ostatnią w znacznych ilościach do wewnątrz. Okoliczność ta, zdaje się, jest dość bliska prawdy, gdyż jeszcze dziś spokojny ludek nie wylewa gorzały za kołnierz, lecz chętnie raczy się sam i częstuje bliźnich.

O ile chodzi o tak zwany wyszynk napojów wyskokowych na miejscu, panują stosunki iście demokratyczne, nie przekraczające granic istotnego znaczenia tego słowa. Urząd Skarbowy zazwyczaj klasyfikuje instytucje zajmujące się wyszynkiem napojów wyskokowych na kategorje. Vox populi przeprowadza jednak inną klasyfikację, zaliczając jedne z nich do takich, gdzie piją za pieniądze krwawo zapracowane, inne zaś do takich, gdzie piją za pieniądze kradzione. O ile chodzi o Abderę, to żaden z tych podziałów nie nadawał się do tamtejszych stosunków, gdyż w tej dziedzinie panował zupełny galimatjas. Wszystkie stany bez różnicy pochodzenia i stanowiska ocierały się o siebie w jedynych dwu knajpkach przy „ Hotelu Polskim" i „Hotelu Warszawskim". Tam rozgrywały się naj-

ważniejsze uroczystości familijne i wszystkie tragedje abderytów. W przytulnych gabinetach można było nietylko zalać robaka, uciąć przygodny flircik, lecz i załatwić każdą najdrażliwszą sprawę.

Miasto napozór spało w odwiecznym letargu. Nie obfitowało w kurjerkowo-łobuzerskie sensacje. I dlatego w tym ospałym zakątku łokieć cnoty nie wart był nawet dwu groszy.

Nikt tam nie był przesadnie zaaferowany lub podrażniony. Wszyscy społem orali jak woły, nie zdając sobie sprawy z celu tej orki. Nikt wyżej nie sięgał po laury ponad te, jakie wieńczyły ich skronie od lat, a czasem od urodzenia. Rej wodzili miejscowe Rej-tany, czyli elita społeczeństwa.

Cała władza, na czele ze starszym strażnikiem Apolinarym Gajdą, zwanym od pewnego czasu starostą, skupiała się w dość harmonijnej instytucji, która na nawał pracy narzekać nie mogła.

Zabarwienia politycznego trudno było się dopatrzeć: wszyscy byli obywatelami i chętnie obywali się bez wschodnich i zachodnich naleciałości, bez przerozumowanych filozofów, bez ględzenia zamorskich upaniszadów, bez domorosłych polityków i dyplomatów i bez przepowiedni podejrzanych fakirów.

Coprawda, od czasu do czasu, w podmiejskiej knajpce „Na rozdrożu", lub w innym oddalonym zakątku, wybuchały niczem wulkany wyjątkowe nieporozumienia na tle miejscowych antagonizmów, budzących się pod wpływem nadmiernego nadużyciem

cia alkoholu. Lecz antagonizmy te były dławione doraźnie przez granatowych przedstawicieli porządku publicznego, których faktycznym i duchowym wodzem był komisarz Sebastjan Ażurek, komendant miejscowej milicji, sprężysty w służbie i owiany miłością całej miejscowej ludności.

Przyjazd Dr. Mydłka do Abdery znamionuje jak gdyby początek nowego okresu w dziejach tego miasta. Podziwiać tylko należy, ile zamętu może sprowadzić jeden człowiek, gdy zdoła opanować zaufanie otoczenia i zapragnie wichrzyć w ten lub inny sposób.

Żywot swój w Abderze rozpoczął Dr. Mydłek od tego, że urządził przepyszną rezydencję w samotnej willi, stojącej zdala od tłoku miejskiego na jednej z bocznych ulic. Następnie przystąpił do studjów w terenie, zapoznając się z położeniem miasta i okolicy, spisem abonentów telefonicznych, z nazwami abderskich instytucyj państwowych, samorządowych i społecznych. Po przeprowadzeniu tych wstępnych dochodzeń, nie omieszkał poinformować się o stosunkach osobowych i osobistych wybitniejszych znakomitości miejscowych, o urządzeniach utylitarnych, higjenicznych i mieszkaniowych, o zdolności kredytowej miejscowego kupiectwa i o wszelkich innych zagadnieniach, które są niezbędne do ogólnej orjentacji.

Niebawem ujrzymy Dr. Mydłka we właściwej roli.

DR. MYDŁEK
NA DRODZE DO KARJERY

Łysy księżyc, stary nygus, łgarz i łajdak pierwszej wody, który wiele rzeczy słyszał, jeszcze więcej widział, wiele faktów ukrył lub przyoblekł w potworne insynuacje, potworne zaś insynuacje w niezachwiane fakty, nie mógł już więcej łgać bez zająknienia w żywe oczy budzącego się słońca i znikł dyskretnie na widnokręgu Abdery.

Złote słońce, roześmiane do rozpuku swoich skomplikowanych wnętrzności, przejrzało się w niezgłębionych nurtach i zatokach Wisły, zadygotało w przestrzeni i czasie, jak gdyby chcąc ogarnąć swoim spojrzeniem cały Kosmos, i spoczęło bezsilnie w szczelinach i zakamarkach Abdery.

Na anielskich obliczach abderytów, rozespanych w rodzimych pieleszach i rodzinnych barłogach, zakwitł niedocieczony smutek, będący uosobieniem dzikiego entuzjazmu, nieuzasadnionej radości, pijackich drgawek, histerycznych spazmów i tego, o czem się nie mówi.

Uniósł się z rozbabranego barłogu po ciężko przespanej nocy ławnik miejscowego sądu Grzela Drożdż.

Ufny w nieomylność swego sądu i doniosłość zagadnień nurtujących w jego umyśle, podrapał się małym palcem lewej ręki za prawem uchem, co zdradzało wybitne zakłopotanie, nie znajdujące punktu wyjścia.

Urząd ławnika pełnił zdawiendawna i lubił mawiać przy kieliszku czyściochy, że nie tylko ma Kodeks Napoleona w małym palcu, lecz wogóle zna sie dokładnie na prawie.

Wprawdzie nie był „uczony", ale zato wierny tradycji, i jakoże nie święci garnki lepią, umiał, jeśli chciał, sprawować godnie swój urząd według chłopskiego zdrowego rozsądku.

Owóż ten chłopski rozum stworzył to, co nazywa się na każdej społecznej drabinie „zaufaniem Narodu".

Czy na wysokiem stanowisku sołtysa, czy na wyśrubowanym urzędzie wójta gminy, czy w świątyni Temidy, osoba Grzeli Drożdża była siedmioramiennym świecznikiem, wskazującym drogę do Prawdy.

Grzela Drożdż była to bestja nie w ciemię bita: z jednej strony nawskroś rewolucyjna, z drugiej zaś — zupełnie konserwatywna. Nie pozbawiony z natury sprytu i podejrzliwości wyczuwał swąd nawet tam, gdzie zdrowy chłopski rozum temu przeczył.

Właśnie tego dnia na wokandzie sądu była sprawa komisarza milicji Sebastjana Ażurka przeciwko dymisjonowanemu wachmistrzowi żandarmerji Wandalinowi Kozikowi.

Od pewnego czasu nieuświadomione rzesze ludności puszczały w świat niesprawdzone przez nikogo bezpodstawne pogłoski, przynoszące tylko ujmę ich autorom.

Najbardziej doświadczony w tem rzemiośle był dymisjonowany wachmistrz żandarmerji Wandalin Kozik, śmiertelny wróg komisarza milicji.

On to stworzył niewiarogodną historję, jakoby Sebastjan Ażurek, zanim objął wybitne stanowisko komisarza milicji, dokonał pod przybranem nazwiskiem Józefa Zwierza w afrykańskich plantacjach kawy ohydnego morderstwa, zaco był skazany na karę śmierci, której jednak uniknął wskutek wybuchu wojny Europejskiej, gdyż został ułaskawiony przez egzotycznego królika. Po zakończeniu wojny, wskutek modnych podmuchów z przedpokoju Ligi Narodów, zdołał uzyskać lżejsze warunki odbywania dożywotniej kary galer, skąd następnie, po wymordowaniu pół kompanji straży, zdołał zbiec do kraju.

Komisarz Sebastjan Ażurek, reagując w obronie swego honoru i granatowego munduru, pewnego razu połamał żandarmowi Kozikowi kości, skutkiem czego w okolicy zapanował na pewien przeciąg czasu spokój, a w głowie niecnego oskarżyciela przeraźliwy szum podczas dwutygodniowej ku-

racji. Jednakże miłościwy Bóg nie zechciał powołać do swego Królestwa zawodowego prowokatora i konfidenta, wobec czego Kozik, wylizawszy się jako tako z ran, opuścił „Szpital Siedmiu Boleści“ i rozpoczął ponownie szkalować szanowanego powszechnie dygnitarza.

Stroskany komisarz udał się wtedy pod opiekę prawa, wnosząc skargę do miejscowego Sądu Pokoju.

Na czele tej niezależnej instytucji stał nowomianowany sędzia Sylwester Grzmot.

Jakkolwiek nie dał się on poznać szerszemu ogółowi, jednakże według opinji dość licznej w Abderze mniejszości narodowej, spławiającej różne miejscowe wytwory do Warszawy, był to człowiek niepospolitej energji i gołębiego serca.

Na tej podstawie komisarz Sebastjan Ażurek zdobył się na odwagę, właściwą jego osobie i stanowisku, i udał się pierwszy z wizytą do sędziego Sylwestra Grzmota.

Sędzia zaledwie zdążył wrócić z oględzin okolicy w towarzystwie Dr. Mydłka.

Był to człowiek z natury małomówny, zażenowany, zawalony stosami skarg i powództw, pochłonięty wielkiem posłannictwem godzenia poważnionych; lubił samotność i nie był zbyt towarzyskim, zwłaszcza, że sam urząd, zdaniem jego, winien był być otoczony nimbem tajemniczości.

Narazie przynajmniej chodziło o powagę miejsca wymiaru sprawiedliwości. A miejsce to, pożal

się, Boże, przypominało wszystko, tylko nie salę sądową. I chociaż sędzia bolał nad tem bardzo, nie było żadnej nadziei, żeby stworzyć inne warunki urzędowania i ferowania wyroków w imieniu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

Toteż z uczuciem pewnego zażenowania wprowadził w podwoje Temidy Dr. Mydłka, człowieka, że tak powiemy, swojej sfery, który właśnie w Abderze przed kilku dniami otworzył kancelarję adwokacką.

Przeprosiwszy dostojnego gościa, że pozwoli sobie w jego obecności spławić komisarza milicji, uprzejmy sędzia polecił woźnemu wprowadzić do swego gabinetu Sebastjana Ażurka.

Sebastjan Ażurek, obrzuciwszy pogardliwym spojrzeniem woźnego sądowego i starą kucharkę, wyglądającą przez niedomknięte drzwi z kuchni, stukając obcasami i dzwoniąc ostrogami jak stuprocentowy kawalerzysta, stanął przed majestatem wysokiego sądu.

Sędzia, wysłuchawszy żalów pokrzywdzonej władzy, i dopatrując się w inkryminowanym Kozikowi czynie obrazy urzędnika podczas pełnienia przez niego obowiązków służbowych, sporządził krótki protokół, obiecując nadać sprawie bieg właściwy.

Audjencja była skończona. I sędzie pokoju Sylwester Grzmot mógł zupełnie spokojnie prowadzić rozpoczętą rozmowę z czcigodnym Dr. Mydłkiem.

Rozmowa szybko zeszła na tory poufnych zwierzeń i jakkolwiek sędzia Grzmot był małomówny i niesklonny do zbytnich wynurzeń, osoba Dr. Mydłka usposabiała do pewnej wylewności i dobroduszności. Rady i wskazówki sypały się jak z rogu obfitości. I po parogodzinnej pogawędce Dr. Mydłek był świadom celu, do którego dążył przyjeżdżając do Abdery.

— Co sądzisz, kolego, o sprawie tego komisarza? — zapytał dyskretnie Dr. Mydłek.

— Niema dymu bez ognia! — odpowiedział znacząco sędzia Grzmot. — W mieście kotłuje oddawna. Opinja publiczna przechyla się to na jedną, to znów na drugą stronę. Wrzask chwilami ucichał, by wybuchnąć z jeszcze większą siłą.

Dr. Mydłek wrócił do domu z nieodpartem postanowieniem podjęcia się obrony dymisjonowanego wachmistrza żandarmerji Wandalina Kozika.

Niebawem ujrzymy Dr. Mydłka na forum sądowem.

DR. MYDŁEK W ROLI OBROŃCY

W mieście, którego sprawozdawczym i informującym organem były języki miejscowych przekupek, zapowiadający się proces komisarza milicji Sebastjana Ażurka wzbudził nielada sensację nawet wśród statecznych mężów stanu. Tylko na twarzach bliżej stojących Temidy można było zauważyć tajemniczy półuśmiech, który miejscowi psycholodzy rozmaicie tłumaczyli.

Tymczasem wrzało w Ratuszu i na Rynku, w miejscowym „Kurjerku dla Abderytów“ i świątyniach Bachusa, w Komendzie Milicji i na Posterunku Żandarmerji, na rozstajach dróg i w głowach procesujących się stron.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że dymisjonowany wachmistrz żandarmerji Wandalin Kozik będzie skazany, zachodziła tylko wątpliwość co do wymiaru kary. Zwolennicy komisarza Ażurka twierdzili niedwuznacznie, że Ażurek położy w sądzie Kozika na obie łopatki i ten ostatni szczernieje w kryminale. Stronnicy wachmistrza Kozika pars-

kali wszystkim w nos, twierdząc, że z całej sprawy będą „nici“.

Gdy zaś na kilka dni przed sprawą rozeszła się pogłoska, że obrony Kozika podjął się przybyły z Warszawy znakomity adwokat Dr. Mydłek, języki zatrajkotały jak kołowrotki, albowiem przez to samo sprawa przybrała na wadze.

Od wczesnego ranka w kuluarach sądowych, t.j. w sieni, na podwórku i przed budynkiem sądowym, wałęsało się kilku domorosłych wyrostków z wypchanemi bibułą tekami, mających reprezentować stołeczną prasę brukową, uganiającą się za sensacją.

Dzień był targowy. Sprzyjająca pogoda sprowadziła liczną rzeszę Narodu nawet z najdalszych okolic, albowiem tegoż dnia miała być osądzona jeszcze inna charakterystyczna sprawa, sięgająca niedawno minionej przeszłości.

Gmach sądowy, który mógł pomieścić zaledwie kilkadziesiąt osób, był wprost oblężony. Wiadomo bowiem, że zainteresowane strony zjawiają się w sądzie w asyście nietylko całej rodziny, lecz i najbliższych krewnych, znajomych i przyjaciół. Oddawna nie pamiętano takiego zjazdu, choć ludek miejscowy był otrzaskany z sądem i lubił procesować się, a swego czasu, za ruska, odwoływał się nawet aż do Senatu. Dopiero od czasu okupacji stracił głowę, gdyż były sądy polskie i niemieckie, prócz nich rozwielmożniły się karykaturalne erzatze o bliżej nieokreślonym zakresie kompetencji. Sąd doraźny, polowy i wojskowy nie jednego przeszywał zimnym

dreszczem. Słyszało się także o sądach polubownych, obywatelskich i honorowych, które to sądy nasz prosty ludek utożsamiał z sądami złodziejskiemi, albowiem w jego pojęciu tylko taki sąd jest miarodajny, który w drodze przymusu może zapewnić wykonalność wyroku. To też w tym przejściowym okresie największem powodzeniem cieszył się Sąd Pokoju, gdzie obok sędziego zasiadali ławnicy, wywodzący się z miejscowego ludu, których walory moralne i fizyczne były każdemu znane jak na dłoni.

Skromna sala sądowa wypełniła się po wszystkie kąty. Tłum ludzi cisnął się do otwartych okien. Przedstawiciele upaństwowionej milicji, która od pewnego czasu zaczęła nazywać się policją, usiłowali utrzymać ład i porządek i zapobiec ewentualnym ekscesom.

Miejscowy starosta Apolinary Gajda, zwany powszechnie starszym strażnikiem, człowiek rozważny i zapobiegliwy, radził w celu utrzymania porządku podczas wokandy sądowej ustawić na dachu budynku sądowego karabin maszynowy, na ulicy zaś pół szwadronu policji konnej z nahajkami.

Burmistrz miasta Apolinary Igraszek, nienawidzący zbyt stanowczych wystąpień policji i przesiąknięty do szpiku kości samo-rządem, uważał, że z uwagi na wiosenną porę straż ogniowa z sikawkami łatwiej potrafi ostudzić nieokiełznane temperamenty obywateli, niż setki karabinów i karabinierów.

W trakcie tej dyskusji, toczącej się w sali narad, ławnik Grzela Drożdż zaproponował zebranym ustawienie wokół budynku sądowego szpaleru strzelców z nożami w zębach.

Niewiadomo, jakie jeszcze wysuniętoby wnioski, gdyby nie sędzia, który zaogniającą się dyskusję przerwał nieoczekiwanie, stwierdzając, że nie trzeba zwiększać środków bezpieczeństwa, gdyż sprawiedliwość jest sama sobie gwarancją.

Dostojni członkowie narady przytaknęli sędziemu i wynieśli się z sali narad, albowiem zbliżała się godzina otwarcia posiedzenia sądu, a zacni dygnitarze i mieszkańcy Abdery słynęli z punktualności.

Były to jeszcze czasy, kiedy każdy w swoim zakresie pracował z entuzjazmem, a niekiedy z samozaparciem się.

Znany ze swojej energji sędzia Grzmot celował w ogólnym wyścigu na polu pracy.

Wysoko tu jeszcze stawiano interes narodowy, a słowo Ojczyzna nie wychodziło z ust wszystkich.

Dla Ojczyzny płodzono dzieci i umierano.

Dla Ojczyzny zamykano w kryminale i uśmiercano zbrodnicze i zwyrodniałe jednostki, które nie omieszkały i tutaj potworzyć swoje ekspozytury.

Dla Ojczyzny bito po twarzy zasłużonych ludzi o innym światopoglądzie.

Dla Ojczyzny pisano porywające hymny, których nikt nie czytał i nie śpiewał.

Sędzia Grzmot, ten szczyt zdrowego organizmu narodowego, świecił wszystkim we wszystkiem przykładem.

Rozprawy sądowe, ten jeden z czynników mechanizmu państwowego, przeciągał do późnej nocy. A że nie lubił nigdy wyręczać się kimkolwiek innym, motywy wyroków pisał zaraz po ich ogłoszeniu, wbrew ogólnie przyjętej praktyce, wskutek czego zyskiwały one nietylko na jasności i bezpośredniości, lecz nigdy okoliczności jednej sprawy nie zaplątały się do motywów innej.

Z tego powodu strudzony przechodzień lub bogobojny obywatel, któremu zabrakło kilka godzin do nocy, wracając pośpiesznie pod opiekuńcze skrzydła swej połowicy, uzbrojonej w maglownicę, wałek do ciasta lub inny ciekawy a wymowny argument, mógł zauważyć płonące światełko w gabinecie sędziego, który, opróżniając 5-litrowy samowar i ćmiąc dziesiątki cygar, pisał motywy wyroków aż do utraty przytomności.

Stary woźny Gracjan Cegiełka niejednokrotnie zastawał swego pana w stanie godnym politowania, spowitego w kłębach dymu, upstrzonego i okopconego sadzami, wydobywającemi się ze sławetnego naftowego kopciuszka, który swego czasu w drodze spadku przywędrował z nad Newy czy Wołgi.

Dzisiaj sędzia Grzmot był wyjątkowo wypoczęty jakoże zaczynał się tydzień.

Sprawy, które miały być przedmiotem ćwiczeń moralnych i fizycznych, a które w „krótkiej drodze“ znalazły się na wokandzie, interesowały sędziego niemniej, niż cały ogół.

Czuł się jednak spokojny i opanowany i gotów był do spełnienia wielkiej misji wymiaru sprawiedliwości w imieniu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

Stary zegar na sali sądowej wybił majestatycznie godzinę dziewiątą.

Przeciągły dzwonek, zwiastujący wejście na salę wysokiego sądu, zbudził z zadumy Gracjana Cegiełkę, woźnego sądowego, pogrążonego w kontemplacji nad przebiegiem ciąży trzechletniej klaczy, która to ciąża z nieznanych przyczyn opóźniła się niemal o cały tydzień.

— Naród wstać! Sąd idzie! — ryknął na cały głos, aż zakołysały się kwitnące za oknami bzy.

Nie trzeba było jednak wstawać, wszyscy bowiem stali, jak mur, jeden obok drugiego z tego prostego powodu, że w sądzie nie było ławek.

Zakołysała się majestatycznie masa ludzka, skotłowana w niedużej salce.

Skłonił się z gracją na podniszczonych nogach i wdziękiem na wygolonej twarzy mecenas Dr. Mydłek, ubrany w żakietowy garnitur i z grubą teką w prawej ręce.

Sędzia, przepasany szarfą zielonego koloru, w otoczeniu nieodstępnych dwuch ławników, usadowił się wygodnie za stołem sędziowskim, obrzu-

cił sokolim wzrokiem zbite w jedną masę rzesze tłumu i uprzejmie zawyrokował:

— Proszę siadać!

Tłum znowu zakołysał się, odsapnął, odchrząknął i stał w dalszym ciągu.

— Siadać! — przytwierdził woźny Gracjan Cegiełka.

Wszyscy z uczuciem ulgi spoczęli na własnych nogach, niektórzy przestąpili z nogi na nogę, niejeden połą przyodziewku otarł spocone czoło i znów rzesza ludzka zastygła w oczekiwaniu.

Sędzia rozpoczął:

— Sprawa pierwsza z powództwa Macieja Maciejaka z Ciemnych Kątów przeciwko 67 mieszkańcom wsi Twardy Kamień w osobach: Błażeja Zakały, Jacka Niecnoty, Bogumiła Cielaka, Jana Piotra Pawła (trzech imion) Rzepichy, wdowy Agnieszki Musiałowej, sołtysa wsi Andrzeja Koniecznego, Sebstjana Króla, Kazimierza Królika, Wdowy Juljanny Knypciowej, Apolinarego Górskiego, Ludwika Świątka, Alojzego Bożego, Karola Wałacha, Tytusa Jedlicha, wdowy Marjanny Zalotnej, Gabrjela Bucentego.....

Sędzia na chwilę przerwał odczytywanie nazwisk, odetchnął z uczuciem anielskiej cierpliwości, następnie zaś, doczytawszy całą litanję do końca, zapytał:

— Czy wszyscy wymienieni stawili się na rozprawę główną i są obecni na sali?

— Obecni, obecni! — odpowiedziała chórem gromada, w której przeważał głos żon i dzieci, towarzyszących pozwanym.

— Czy macie swego zastępcę? — zapytał sędzia najbliżej stojących.

— A jakże! a jakże! — zawołali chórem.

Doktór Mydłek z dyskretnym uśmiechem na ustach skłonił się w stronę Sędziego Grzmota.

— Dr. Andrzej Mydłek, obrońca pozwanych!— zanotował do protokułu sekretarz sądu, uśmiechając się znacząco w kierunku gromady.

Sędzia przystąpił do odczytywania powództwa:

— Roku Pańskiego 1917, za czasów okupacji niemieckiej, następnego dnia po świętym Michale, zgodnie z załączonym odpisem uchwały mieszkańców wsi Twardy Kamień, dostarczyłem dla wojsk c. k. armji niemieckiej, tytułem przymusowej daniny, nałożonej przez okupantów na tę wieś, dwuletnią jałówkę żywej wagi 673 kg.

— Wyżej wymienieni mieszkańcy wsi Twardy Kamień zobowiązali się zapłacić po 2.60 mk. niemieckich za każdy kg. żywej wagi, co stanowi ogólnie 1747.80 mk. niemieckich, których nietylko że nie uiścili dotąd, lecz mnie szlachcica z dziada pradziada i gospodarza na 40 morgach gruntu i 5 morgach nieużytków szkalują, podkpiwają ze mnie i twierdzą, że kpią z polskich sądów.

Sędzia przerwał odczytywanie. Zmarszczył brwi. Nastąpiła chwila drażliwego oczekiwania, wiedziano bowiem, że nie znosi podobnej krytyki sądu.

— Cóżto za idjota pisał powództwo?— zwrócił się do Macieja Maciejaka.

Sekretarz, pełniący obowiązki protokulanta, oblał się szkarłatnym rumieńcem po same uszy, gromada zaś, wyczuwając w tem zapytaniu przychylne dla niej stanowisko sędziego, ryknęła głośnym śmiechem.

— W myśl powyższego uzasadnienia, — kończył czytać powództwo, — proszę Wysoki Sąd o zasądzenie od pozwanych niepodzielnie i solidarnie powyższej sumy, odsetków za czas ubiegły w stosunku 3% miesięcznie, jak to obecnie jest we zwyczaju, kosztów sądowych, za prowadzenie sprawy i za stracony czas, jako że czas — to pieniądz.

Sędzia przyjrzał się zebranym, spojrzał znacząco na Mydłka i zapytał najbliżej stojącego:

— Dlaczego nie chcecie uiścić należnej sumy?

— Bożeśmy pieniędzy nie pożyczali, — odpowiedział hardo zapytany.

— Ale krowę wzięliśta? — wtrącił z przekąsem ławnik Drożdż.

—Nie my, lecz Niemcy! — bronił się zagadnięty.

— Więc nie chcecie dobrowolnie uregulować zobowiązania, jakie zaciągnęliście wobec gospodarza Macieja Maciejaka?

— Nie! — odpowiedzieli jedni.

— Przecież my nic nie winni! — tłumaczyli się inni.

— Ludzie! — na Boga! — zlitujcie się! Grzech popełniacie! — wołał rozpaczliwie załamując ręce Maciejak.

— Widzicie go: na Boga powołuje się, a djabła za pazuchą nosi! — wołali pozwani.

— Nie gadać! — przerwał sędzia i, zwracając się uprzejmie do Mydłka, dodał:

— Pan obrońca ma jakie wnioski?

Dr. Mydłek wyprostował się jak gdyby dla nabrania wigoru. Wszystkich głowy zwróciły się w jego stronę. Odchrząknął wyniośle, jak organista podczas egzekwij, i rozpoczął swoją orację:

— Wysoki Sądzie! Pierwszy raz w życiu zdarza mi się reprezentować w Sądzie tak znaczną ilość pozwanych. Nie o ilość tu jednak chodzi, lecz i o jakość. Oto ogromna rzesza ludzi, pracująca w pocie czoła na kawałek chleba od rana do nocy, przyszła tu bronić, jak jeden mąż, swoich zagrożonych interesów.

— Bogaty gospodarz, siedzący na 45-morgowym folwarku, pozwolił sobie przed laty na niesmaczny kaprys i podarował znienawidzonym przez wszystkich okupantom jałówkę. Nie chcę tutaj analizować i poddawać publicznej krytyce tego antypatrjotycznego wyczynu pana Maciejaka: jest to rzecz jego sumienia. Lecz na jakiej podstawie domaga się on przed forum polskiego Sądu dwutysięcznej niemal sumy za podarowaną okupantom jałówkę? Czy pozwani prosili pana Maciejaka o czynienie w ich imieniu takich darów? Jeżeli więc fakt

taki nie zaistniał, niema żadnego między powodem a nimi zobowiązania. Uchwała wsi Twardy Kamień nie upoważniała pana Maciejaka do dostarczania okupantom jałówki, była bowiem tylko wyrazem życzeń uchwalających co do ewentualnego rozwiązania kwestji nałożnej przez Niemców daniny. Powództwo pana Macieja Maciejaka nie ma żadnej podstawy prawnej, wobec czego proszę Wysoki Sąd o oddalenie jego.

— Pod adresem pana Maciejaka chciałbym dorzucić jeszcze słów kilka, uważając, że powództwo jego nie może ujść bezkarnie. Dzięki kaprysowi człowieka, pozbawionego poczucia obywatelskiego, 67 małorolnych gospodarzy zostało oderwanych od pracy, tracąc cały dzień roboczy. Wyrządzona w ten sposób strata odbija się również na całym majątku Narodowym, gdyż któż powróci Krajowi owe 67 dni zmarnowane na pieniactwo sądowe?

— Nie chcę zabierać Wysokiemu Sądowi drogiego czasu. Sprawa jest jasna. Wnoszę o oddalenie powództwa i zasądzenie od Macieja Maciejaka kosztów sądowych i za stracony czas 67 pozwanych. Skończyłem.

— Mądrze gadał! — ozwały się głosy w gromadzie, sąd tymczasem, wyczerpawszy sprawę, udał się do sąsiedniej izby na naradę.

W sali narad nie było nad czem radzić. Nie było dwu zdań, sprawa prosta jak drut: gromada musi płacić!

Za chwilę wyrok został ogłoszony, wywołując powszechne niezadowolenie.

Powstała chwilowa konsternacja, gdyż gromada nie mogąc pogodzić się z wynikiem sprawy, zaczęła napierać na sąd.

Sąd jednak przeszedł do porządku dziennego, z wyjątkiem woźnego Gracjana Cegiełki, który wymownemi słowy i gestykulacją rąk przywołał roznamiętnione zgromadzenie do porządku, dając możność najbardziej podnieconym opuścić salę bez niepożądanych chwytów za kołnierz.

Tym zaś, którzy w dalszym ciągu starali się przekonać Sąd, że są nic niewinni, wskazał na przysługujące środki prawne.

A jakże! przysługuje przecież apelacja!

Nic tak nie podnieca umysłu jak możność procesowania się. Byli pewni, że sprawę w następnej instancji wygrają. Tymczasem zaangażowali Dr. Mydłka do założenia apelacji, urządzając prowizoryczną zbiórkę na koszty sądowe i honorarjum.

Pieniactwo sądowe tkwi we krwi naszego chłopa.

ŻANDARM WANDALIN KOZIK PRZED SĄDEM

— Sprawa druga, — rozpoczął sędzia Grzmot, — z oskarżenia komisarza policji Sebastjana Ażurka przeciwko dymisjonowanemu wachmistrzowi żandarmerji Wandalinowi Kozikowi.

Po prawej stronie stanął w całej swej okazałości komisarz Ażurek, udekorowany orderami, krzyżami i medalami, po lewej zaś — Dr. Mydłek, mając za swemi plecami niczem tarczę samego Wandalina Kozika, niecierpliwie przestępującego z nogi na nogę i gryzącego usta.

Po załatwieniu nudnych i nieciekawych formalności i wyrzuceniu świadków z sali sądowej do małej komórki, przeznaczonej na pokój dla świadków, a przypominającej chlewek w źle prowadzonem gospodarstwie, sędzia odczytał treść skargi i udzielił głosu oskarżycielowi.

Sebastjan Ażurek w krótkich lecz wymownych słowach streścił oskarżenie, popierając je w całej osnowie i rozciągłości i prosił Wysoki Sąd o „przykładny“ i „egzemplaryczny“ wymiar kary, który raz na zawsze przeciąłby te nieobliczalne wybryki

i oszczerstwa, podważając autorytet Państwa w osobie przedstawiciela policji.

Nastąpiła najciekawsza część przewodu sądowego — przesłuchanie oskarżonego:

— Imię oskarżonego? — zapytał sędzia Grzmot.

— Wandalin.

— Nazwisko?

— Kozik.

— Ile lat?

— 34.

— Gdzie urodzony?

— W Abderze.

— Zawód?

— Dymysjowany wachmistrz żandarmerji.

— Karany?

— Nie!

— Czy pije?

— Jak ma.

— Czy chorował kiedy na choroby...?

— Ależ tak.

— Czy majątek jaki posiada?

— Narazie nie.

— Czy który ze świadków nie jest krewnym oskarżonego?

— Nie.

— Czy nie miał zatargów i procesów ze świadkami?

— Nie.

— Czy oskarżony przyznaje się do winy?

— Nie.

— Czy chce udzielić jakichkolwiek wyjaśnień?

— Nie.

— Czy chce, żeby świadkowie zeznawali pod przysięgą?

— Obojętne!

— Dobrze, proszę siadać! — zakończył sędzia.

— Kiedy... niema na czem.

Zaczęło się monotonne i powolne przesłuchiwanie świadków, obfitujące we fragmenty niepospolite i ciekawe, wywołujące raz po raz kaskady śmiechu na sali sądowej, aż sąd przy pomocy Gracjana Cegiełki zmuszony był usuwać przygodnych słuchaczy, wymierzając doraźnie grzywnę za niewłaściwe zachowanie się.

Najobszerniej zeznawał wywiadowca Urzędu Śledczego, Eustachy Kozik, który chociaż nosił to samo nazwisko, co oskarżony, jednak nie szczędził pod jego adresem dosadnych i przejrzystych określeń. Zniecierpliwiony taką wylewnością słów, Sędzia Grzmot, zapytał:

— Czy świadek nie jest przypadkiem krewnym oskarżonego, nosi przecież to samo nazwisko?

— Wysoki Sądzie! W naszej rodzinie niema żandarmów. — Odpowiedział z godnością zapytany.

Reporterzy stołeczni i miejscowi, przyglądając się przesuwającym się świadkom, chciwie łapali i notowali każde słowo, obiecując swym pismom nielada sensację.

Kiedy przewód został już wyczerpany, sędzia udzielił głosu obrońcy oskarżonego, Dr. Mydłkowi.

Wszyscy z niecierpliwością oczekiwali wywodów obrony, gdyż przewód sądowy dostarczył tak chaotycznych i zagmatwanych materjałów, że nie można było z całej sprawy wyciągnąć jakiegoś konkretnego wniosku i wszystko stanęło pod znakiem zapytania.

Dr. Mydłek rozpoczął swoją orację:

— Wysoki Sądzie! Sprawa wymiaru sprawiedliwości od najdawniejszych czasów jest przedmiotem rozważań najgłębszych i najtęższych umysłów. Nie mam przeto zamiaru na tem miejscu ubierać się w togę doktorską i zanudzać Wysoki Sąd teoretycznemi wywodami.

Nie chcę również zabierać niepotrzebnie Wysokiemu Sądowi drogiego i wysokowynagradzanego czasu.

Nie będę również ubierał oskażonego w szkarłatne szaty, gdyż nie jest wykluczone, że jest on skończonym draniem.

Ale chcę powiedzieć słów kilka, które pozwolą mnie skonkretyzować niektóre dowody przewodu sądowego, będące dziejowym fałszem, czego świadkiem jest, niestety, cały zespół sędziowski: Szanowny Pan Sędzia, Panowie Ławnicy, Woźny Sądowy, Dyżurny Posterunkowy, Sekretarz i Protokulant, oraz całe audytorjum, do którego określenia brakuje mnie przymiotnika.

Mój szanowny przeciwnik, oskarżyciel prywatny i z urzędu, wystąpił z oskarżeniami, do których

poparcia nie ma ani rzeczowych, ani też moralnych argumentów. Tego rodzaju trele-mele nie zasługują na miano oskarżenia, padającego z ust Komendanta Policji. Wygląda to na to, że nie mając nic konkretnego i rzeczowego do powiedzenia, pluje na mój frak i kamizelkę. Ta miniaturowa aluzja, wypowiedziana w etykietalny sposób, może cokolwiek rozjaśni umysł szanownego oskarżyciela i ochłodzi jego rozpaloną główkę po wczorajszej bibce w Hotelu Warszawskim, której mimowolnymi świadkami, wraz z Prześwietnym Sądem, byliśmy zupełnie wypadkowo.

Jako rzekłem, nie chcę i nie powinienem zabierać drogiego czasu Prześwietnemu Sądowi, wobec czego odrazu przystępuję do rzeczy.

Wysoki Sądzie! Pozwolę sobie zdefinjować słowo „oszczerca", gdyż jest to pojęcie abstrakcyjne.

Oskarżyciel, czujący się pokrzywdzonym, nie zdaje sobie sprawy, że tem niewinnem powiedzonkiem, rzuconem wobec szczelnie wypełnionej sali, ulicy i podwórka, sam dopuścił się obrazy oskarżonego.

Role zmieniły się. Oliwa wypływa nawierzch. Nic nie ukryje się na powierzchni lądu. To, co dawniej było niemoralne, dziś jest otoczone glorją uwielbienia i vice versa. To, co dawniej nazywano łajdactwem, dziś jest bohaterstwem. To, co dawniej zaliczano do nikczemności, dziś jest koniecznością państwową.

Mój przeciwnik nie potrzebuje robić tragicznego wyrazu twarzy, która i bez udanej obłudy przedstawia sobą obraz: Boże zlituj się!

Zanim przejdę do bezlitośnego zdruzgotania oskarżenia i fałszywych zeznań świadków, pozwolę sobie przedłożyć Wysokiemu Sądowi, celem dołączenia do akt sprawy, 40 egzemplarzy dzienników stołecznych, z których wynika, że nazwy kanalja, bandyta, złodziej i sutener od pewnego czasu nabrały całkiem odmiennego znaczenia, niż to usiłuje wpoić w nas ilustrowany słownik języka polskiego

Z tej przemądrej alegorji dowiadujemy się z przerażeniem, że kanalja — to patrjota, bandyta — to bohater, złodziej — to minister, sutener — to poseł lub senator.

Wysoki Sądzie! Nie dziwi mnie całkiem, że oskarżyciel, człowiek niedorozwinięty płciowo i intelektualnie, nie zdaje sobie sprawy z nowych prądów, ewolucji pojęć i staczania się nadół dawniejszych bogów, jest on jednym z tych, którzy w sumie, mówiąc jezykiem pospólstwa, stanowią bydło, — ale że taki człowiek przychodzi do sądu z nieuzasadnionemi pretensjami, zabiera drogi czas Wysokiemu Sądowi, zmusza niewinnie oskarżonego do angażowania sobie obrońcy, a więc tem samem okrada go, gdyż wyciąga z jego kieszeni ciężko zapracowany grosz, — tego płazem puścić nie można.

Ja nie wątpię, że Pan Minister Sprawiedliwości i Główny Komendant Policji Państwowej potrafią

z podobnego żartu wyciągać odpowiednie konsekwencje.

Ale nie o tem chcę mówić, zbyt cenię drogi czas Wysokiego Sądu, żebym odbiegał od istotnego rdzenia sprawy.

Już w tem miejscu, wyjaśniwszy mylną interpretację słowa „oszczerca“, mógłbym złożyć Wysokiemu Sądowi moje uszanowanie i prosić o umorzenie sprawy w całej osnowie i rozciągłości.

Ale pójdźmy dalej...

Przyjrzyjmy się fizjonomjom przesłuchanych tu świadków...

Jeżeli ich zeznania upstrzone gestami opryszków zdołały wywrzeć jakikolwiek wpływ na słuchaczy, uśpić czujność sumienia sędziowskiego, to kartoteka Urzędu Śledczego i odciski daktyloskopijne palców uczynią z wierutnych tych słów ordynarne kłamstwo.

Jeżeli zaś święta ziemia raczy łaskawie dźwigać na swem łonie tego pokroju bydlaków, to w pierwszym rzędzie winni oni być wdzięczni ustawodawcy, że w nieopatrzny sposób zniósł sądy doraźne, zmieniając stryk i szubienicę na dożywotnie domy poprawy.

W myśl powyższego uzasadnienia wnoszę o uniewinnienie mego klijenta.

Na sali rozległ się rzęsisty grzmot oklasków. Zgorszony sędzia przywołał publiczność do porządku i zachowania powagi w sądzie. Ktoś przypiął do klapy żakietu Dr. Mydłka kilka zwiędłych fijołków.

W tłoku zaginął sam oskarżony, którego z trudem odszukał dyżurny posterunkowy, żeby dać możność Wysokiemu Sądowi wysłuchania ostatniego słowa, którego oskarżony zrzekł się wspaniałomyślnie na rzecz przyszłych pokoleń.

Sąd po 6-godzinnej naradzie, podczas której sędzia i ławnicy spożyli obfity obiad i podwieczorek, zakrapiając często i gęsto różnemi napojami, bo dzień był upalny, zważywszy wszystkie za i przeciw, zanalizowawszy zeznania wiarogodnych i niewiarogodnych świadków i przejrzawszy dołączone do akt sprawy dowody rzeczowe i dokumenty, wyniósł wyrok uwalniający.

Żandarm Kozik zatriumfował. Natomiast Komisarz Ażurek wychodząc z sądu warknął w kierunku znienawidzonego żandarma:

— Śmieje się ten, kto śmieje się ostatni!

Tymczasem na mieście pojawiły się dodatki nadzwyczajne do „Kurjerka dla Abderytów“, prasa zaś stołeczna rozdmuchała cały proces do olbrzymich rozmiarów, nadając całej sprawie posmak polityczny.

Całe szpalty farby drukarskiej opiewały genjalną mowę Dr. Mydłka, której wywody przepuszczone przez filtr najnowszych zdobyczy cywilizacji w zakresie prawoznawstwa i wymiaru sprawiedliwości ocaliły niewinnego człowieka.

Wszyscy z niecierpliwością oczekiwali motywów wyroku, w których, jak wiadomo, sędzia Grzmot celował.

UZASADNIANIE WYROKU

Punktem wyjścia dla sprawy Komisarza Policji Sebastjana Ażurka przeciwko dymisjonowanemu wachmistrzowi żandarmerji Wandalinowi Kozikowi była skarga o charakterze urzędowo-prywatnym, która wpłynęła do tut. sądu.

Z okazanych na rozprawie głównej dowodów rzeczowych, odczytania znajdujących się w aktach sprawy dokumentów, przesłuchania stron, oraz świadków dowodowych, Sąd Pokoju stwierdził następujący stan faktyczny.

Wczesną wiosną zeszłego roku, kiedy na rozlanych moczarach wiślanych zakwitły pierwsze niezabudki, zawitał do Abdery dymisjonowany wachmistrz żandarmerji Wandalin Kozik, zamierzając usłać w tem bogobojnem mieście zaciszne gniazdko.

Nikt z tutejszych mieszkańców, znanych w całym kraju z gościnności, ani na chwilę nie przypuszczał, że na złocisty brzeg Abdery wylądował zakała rodu ludzkiego.

Pomimo wszystko nieproszony przybłęda korzystał w całej pełni z gościnności miasta, jego cnót i przywilejów, dając wszystkim zupełnie niedwuznacznie do zrozumienia, że niejednego z miejscowych dygnitarzy, wysoko postawionych w hierarchji społecznej, może osadzić w ulu. Tego rodzaju zaoczne pogróżki zczasem zaczęły się przyoblekać w formę bardziej konkretną, a obelżywe i nieprawdopodobne wersje zaczęły krążyć wszerz i wzdłuż Abdery.

Ta znamienna i niepokojąca wszystkich okoliczność zwróciła, rzecz naturalna, przedewszystkiem uwagę miejscowej policji w osobie Komisarza Sebastjana Ażurka.

Powstało naturalne i ludzkie pytanie: czem się trudni przybłęda, skąd bierze środki na wystawny i luksusowy tryb życia?

Wywiad policyjny i obserwacja agentów policji obyczajowej ustaliły niezbicie, że pozostaje on bez określonego zajęcia i utrzymuje stosunki z podejrzanymi osobnikami.

Wskutek tych wszystkich zabiegów policji państwowej, mającej na celu interes narodowy i bezpieczeństwo Państwa, Wandalin Kozik znienawidził Sebastjana Ażurka i rozszerzył o nim wśród miejscowej ludności niewiarogodne i potworne pogłoski.

Oskarżony nie poprzestał na swojej oszczerczej działalności, lecz twierdził w dalszym ciągu, że wyróżniony przez swoje władze Komisarz Ażurek, ka-

waler orderów, krzyżów i medalów, jest złodziejem i winien zawisnąć na pierwszej lepszej latarni ku uciesze gawiedzi.

Przesłuchani w tej sprawie świadkowie: burmistrz miasta Apolinary Igraszek, st. przodownik policji Piotr Zaremba, właścicielka magli Kunegunda Grajek, gospodyni księdza proboszcza Jadwiga Gabrysiowa, handlarz bydłem, żywym i martwym, towarem, macierzanką i bobkowemi liśćmi, Paweł Wiatronogi, mistrz szkoły pływania Antyfacies - Benjamin - Bonawentura (trojga imion) Beuljara - Suchednik, absolwent Instytutu Wód Mineralnych Hilary Izydorczyk, kornet w stanie spoczynku przed osiągnięciem wieku prekluzyjnego Alfons Niecnota - Karkołomny, zaprzysiężeni po uprzedniem ostrzeżeniu o grożącej odpowiedzialności za fałszywe zeznania, stwierdzili jednogłośnie, że obecny i przytomny na rozprawie Wandalin Kozik z rozmysłem, perfidją i złośliwością rozgłaszał naprowadzone w oskarżeniu okoliczności.

Przechodząc obecnie do analizy stanu faktycznego, nie budzącego najmniejszych wątpliwości, musimy postawić dwie hipotezy: czy Kozik winien czy nie winien?

Po dziejowym kataklizmie, zapisanym na kartach historji w rubryce: „Rzeź Narodów“, zbudziła się z wiekowej drzemki Ojczyzna, wycieńczona i anemiczna, okryta ranami i bliznami. Okres rekonwalescencji wymagał nadzwyczajnej troski, opieki i pielęgnacji.

Czas sprzyjał. Z pola walki wracali zasępieni rycerze, zamieniając miecze na lemiesz, gazy trujące na durzący głowy zapach podorywki. A gdy Urząd Statystyczny stwierdził, że w dziejowych zapasach zginęło przeszło dziesięć miljonów najszlachetniejszych mężów, nie licząc tych, co wrócili z powybijanemi szczękami, poprzetrącanemi nogami, naderwanemi jądrami, bez oczu, rąk lub nóg, wszędzie jednak wałęsała się niezliczona ilość młodych latorośli, spłodzona przez nieobecnych, lecz przytomnych mężów.

Kiedy hejnał z wieży Marjackiej wzywał cały Naród do odbudowy gospodarczej, politycznej i kulturalnej, zbiegli się z różnych zakątków świata ludzie owiani gorącą miłości Ojczyzny i ludzie-szakale. Męty społeczne, jak szarańcza, pchały się na wybitne i wpływowe stanowiska, nie przebierając w środkach, żeby usunąć stojących na przeszkodzie.

W omawianej sprawie, która obfitowała w szereg drastycznych manewrów i momentów, kiedy sąd był zmuszony uciekać się do tajności obrad, oskarżenie Kozika jest raczej krzykiem wołającego o pomstę do nieba, niż kalumnją.

Przewód sądowy z całą skrupulatnością zbadał wszystkie za i przeciw i niestety, nie zebrał jakichkolwiek konkretnych dowodów obciążających oskarżonego.

Zastanawiając się nad głównemi punktami oskarżenia, Sąd przyjął pod uwagę wiele ciekawą

okoliczność, że Komisarz Ażurek nie mógł udowodnić swego alibi z okresu pobytu w afrykańskich plantacjach kawy. Jak wynika z przeprowadzonej korespondencji z polską placówką konsularną w Kairze, istotnie swego czasu podobny wypadek zabójstwa na tle seksualnem miał miejsce i był dokonany przez niejakiego Zwierza. Z zeznań świadka Wiatronogiego wynika, że Komisarz Ażurek w okresie walk socjalnych w b. Zaborze Rosyjskim ukrywał się pod pseudonimem Zwierza.

Z zeznań innych świadków wynika, że Kozik niejednokrotnie nazywał Komisarza Ażurka idjotą, sutenerem, alfonsem, lecz tego rodzaju fakty można zakwalifikować jako obrazę zaoczną, która w myśl przyjętej w orzecznictwie praktyki nie jest karalna.

Przy sposobności przewodu sądowego wyszło na jaw, że szeregowcy milicji ludowej, b. podkomendni Ażurka, Jan Kapusta, Stefan Wydrwigrosz, Klemens Zakrzewski i Alfred Rypała w porywie szczerości oświadczyli publicznie, że piastowana przez Ażurka teka może go sromotnie skompromitować, czem rzekomo mieli dać wyraz, że nie mają wielkiego pojęcia o małej wartości moralnej omawianego dygnitarza.

Przy ogólnej ocenie faktów, tego rodzaju synteza nie może być brana pod uwagę, gdyż wymienieni świadkowie nie podali żadnych konkretnych faktów, mogących obciążyć osobę Ażurka, lecz może posłużyć jedynie za ilustrację niezdrowych sto-

sunków, wytwarzających się na tle zdziczenia obyczajów i nie poszanowania cudzego honoru i czci. Pozatem wymienieni świadkowie, pochodzący z gminu, pozostają zawsze w wiecznym konflikcie z władzą, to też zeznania ich należy oceniać z wielką rezerwą, gdyż, rzucając oskarżenia w stronę niemiłych sobie osób, nie kierują się sumieniem, lecz nienawiścią zaskrzepłą w ich przyrodzonych instynktach.

Reasumując wszystkie powyżej przytoczone okoliczności, nie od rzeczy będzie na chwilę zastanowić się jeszcze i zajrzeć, jak w krzywe zwierciadło, w moralną atmosferę Abdery.

Nie długa i nie krótka jest historja Abdery, lecz doszukać się w niej łatwo chlubnych kart i ciemnych stron.

Gdy przed wiekami unosił się nad miastem Duch Ojców, dziś zrzadka unoszą się żelazne ptaki, samoloty, często - gęsto spadające ludziom na głowy lub na dachy domów.

Nadszedł czas kiedy wolna inicjatywa, zwana inaczej wolną i nieprzymuszoną wolą, lub złodziejskim sprytem, zaczęła kiełkować w różnych kółkach, stowarzyszeniach, zakonach, bractwach, zrzeszenich i związkach, żerując na nędzy umysłowej i materjalnej.

Owa związkowa działalność, uświadamiająca na swój sposób wyjęte z pod opieki Państwa jednostki, nie dając ze siebie żadnej realnej pomocy, przyczyniła reprezentowane ofiary o ból głowy, niemoc

płciową, nieżyt kiszek i oskrzeli, bóle zębów i drgawki w nogach od przydługiego wiecowania w złej atmosferze i na zdradliwym gruncie.

Spokojny ongiś ludek, sumiennie żujący i trawiący, zaczął biegać jak opętany, wywieszając jęzor do kolan, by za wszelką cenę przywrócić tradycyjne: Liberum Veto.

Jakże inaczej wyglądała Abdera przed laty. Pierwszy lepszy obywatel, bez różnicy pochodzenia i stanu, chwalił wszystkich świętych, wzdychał bogobojnie, odmawiał różańce i szkaplerze, uczęszczał na roraty, majowe i październikowe nabożeństwa, kładł z namaszczeniem na tacę w kościele prawdziwe złotówki i nie żądał reszty, czcił ojca, matkę i wszystko, co cesarskie, zachowywał posty i od czasu do czasu grzeszył, ale naturalnie z tupetem, aż było miło patrzeć przez dziurkę od klucza, dodając od siebie dla zachęty i usprawiedliwienia: Panie Boże dopomóż!

Lud był prosty: swego chowu i pokroju, ale sentymentalny i... lojalny. Każdy człeczyna, wychowany w ścisłem gronie, mający przykładnie skarbowaną skórę zamłodu, w dojrzalszym wieku zażywał spokoju, nie wsadzał nosa między drzwi, a palców gdzie nie trzeba, nie siadał na rozpalonej patelni, nie wyjadał nikomu z garnka, nie uwodził sąsiadowi żony, a przyjacielowi siostry, nie uprawiał lichwy w celu pokrycia luk w domowym budżecie, nie wysyłał córek po posag do Argentyny, nie kupował na raty, żeby sprzedawać za gotówkę.

Dziś, w epoce radja i aeroplanów, nastąpiło pewnego rodzaju zdziczenie obyczajów.

Gdzież szukać przyczyn tego nadludzkiego stanu psychiki ludzkiej?

Gdzież powód takiego języków folgowania potomków Sokratesa, filozofujących na rynku, w knajpie i kawiarni, na ulicach i zaułkach, we dnie i w nocy, do czego zresztą każdy żyjący obywatel ma niezaprzeczone prawo w Rzeczypospolitej?

Oskarżony, którego sylwetce sąd miał możność przyjrzeć się na rozprawie, zrobił wrażenie, że jest jednym z owych potomków Sokratesowych, skłonnych istotę rzeczy rozwijać w nieskończoność. Zasłyszana gdzieś przelotnie wersja o wrzekomym zabójcy Zwierzu szybko skojarzyła się z osobą Komisarza Ażurka i urosła do wielkości całej epopei.

Stojąc niewzruszenie na płaszczyźnie sprawiedliwego i zgodnego z sumieniem wymiaru sprawiedliwości, Sąd Pokoju nie mógł dopatrzeć się w inkryminowanych wachmistrzowi Kozikowi występkach cech przestępstwa, wobec czego zmuszony jest uwolnić go w całej osnowie i rozciągłości zgłoszonego oskarżenia, z braku cech przestępstwa, od winy i kary.

DR. MYDŁEK W „KURJERKU DLA ABDERYTÓW"

Redaktor Cezary Oligarch - Wykpijgemba od lat wydawał własnym nakładem i asumptem „Kurjerek dla Abderytów".

Nie przynosił on redaktorowi i wydawcy wielkiego zysku, lecz również i ujmy, albowiem karjerę dziennikarską rozpoczął pan Cezary od wydawnictwa „Dzwonka Parafjalnego", które to pismo, wychodząc w 60 egzemplarzach, po dwumiesięcznej egzystencji splajtowało.

Proces Wandalina Kozika obudził nietylko niepoczytalne umysły, lecz również w pewnym stopniu zainteresowanie prasą. Potrójny nakład „Kurjerka dla Abderytów" został rozchwytany w mgnieniu oka, wskutek czego trzeba było wydać specjalny czwarty nakład o większej ilości egzemplarzy.

Redaktor szybko zorjentował się w sytuacji i zrozumiał, że Dr. Mydłek — to kopalnia złota.

Nic prostszego jak zaproponować mu współpracownictwo i powierzyć redaktorstwo działu sądowe-

go z możliwością współpracy w innych działach. Dr. Mydłek chętnie przystał na propozycję: do całej litanji dotychczasowych godności przybyła jeszcze jedna: redaktor!

W wyższym świecie nie odgrywa ona wielkiej roli, jeżeli nie opiera się o potężne konsorcja prasowe, uprawiające rozbój polityczny na gładkiej drodze, ale w takiej Abderze sama nazwa redaktor oznaczała coś magicznego.

Niebawem ukazało się w „Kurjerku“ kilka artykułów wstępnych, podpisanych skromnemi literkami Dr. M., a wzbudzających nieopatrzne zainteresowanie wśród stałych bywalców kawiarni „Złoty Ul“, gdzie numery kurjerka niemal wydzierano z rąk do rąk, aż z całej gazety zostały jeno strzępy.

Nie kończyła się natem sensacja, albowiem pewnego pięknego poranku ukazały się w „Kurjerku dla Abderytów“ motywy wyroku. Wszyscy chcieli nabyć ten wyjątkowy numer pisma i hurmem oblegali redakcję.

Powodem takiego zainteresowania była jeszcze inna okoliczność. Wśród miejscowej ludności rozeszła się pogłoska, kolportowana przez stałych bywalców kawiarni „Złoty Ul“, że numer pisma z motywami wyroku zostanie skonfiskowany, gdyż zdaniem Komisarza Policji Sebastjana Ażurka wyrok jest aktem urzędowym, względem którego musi być zachowana tajemnica urzędowa. Ale miejscowy starosta Apolinary Gajda, który swego czasu ukończył pótora semestru prawa na wydziałach praw-

nych dwuch krajowych i jednego zagranicznego uniwersytetów, nie podzielił wywodów Komisarza Policji Sebastjana Ażurka, mającego za sobą ukończoną Szkołę Powszechną i legitymującego się zaświadczeniem dwuch autentycznych i wiarogodnych świadków, coprawda od dwu lat już nieżyjących.

W tej atmosferze, poprzedzonej artykułami Dr. Mydłka, ukazał się historyczny numer „Kurjerka“, wywołując dużo cichego niemal poufnego krzyku wśród mieszkańców tego zacnego i serdecznego miasta, żeby nastąpnie spocząć w dyskretnych skrytkach i lamusach ku wiecznej rzeczy pamiątce.

A nazwisko Dr. Mydłka, zawdzięczając czujnej prasie, odbiło się dźwięcznem echem nietylko w kraju, lecz i zagranicą.

ODCZYT DR. MYDŁKA W KLUBIE URZĘDNICZYM

Gdyby w tym czasie zamieszkiwał w Abderze jaki kronikarz, miałby on duże pole do popisu, albowiem ten błogosławiony zakątek kraju, jak twierdzili złośliwi zabity od świata deskami, był oazą wśród panoszącego się warcholstwa. Ale w Abderze nie było kronikarza. Ważniejsze wydarzenia przekazywano z ust do ust, lub z pokolenia w pokolenie, nie pozostawiając żadnych dowodów rzeczowych. Ostatnie wypadki, jakie rozegrały się w Abderze, skłoniły sędziego Grzmota do ujęcia w krótkich kilku sztychach istotnego obrazu miasta i zadokumentowania w głośnych motywach wyroku tej ewolucji, której uległo miasto w ostatnich latach.

Nazwanie bez ogródek białego czarnem, a czarnego czarnem, poruszyło niemal całe miasto. Ale, jak to zawsze bywa w takich wypadkach, poruszenie szybko zboczyło ze swej istotnej drogi i wkroczyło w sferę zainteresowań socjalnych.

Na widownię publiczną wypłynęli z całym zasobem swej wiedzy i samokrytycyzmu Sędzia Grzmot, Dr. Mydłek i pozostający do niedawna pod pręgierzem opinji publicznej wachmistrz Kozik.

Zaprawdę, szczęśliwy był ten lud abderski, widzący wszystko w różowych kolorach i nie troszczący się o nic. Iskra boża oświeciła wreszcie umysły: troska i zgroza wyszły na rozstajne drogi i zaczęły się dopominać same nie wiedząc o co. Co najlepsi synowie Abdery chwycili w swe mocne i niestrudzone ręce serca dzwonów i jęli dzwonić na trwogę.

Świat deskami zabity, izolowany dotychczas od zgubnych wpływów zewnętrznych, zadrżał w posadach.

— Gore! — zawołano rozpaczliwie z ukrytych labiryntów i lupanarów.

— Łapaj złodzieja! — krzyczano z tłumu.

Najprzeróżniejsze pogłoski zakrążyły w powietrzu, jak płatki padającego śniegu podczas zimowej zawiei, a jednocześnie wszyscy pod wpływem procesu Kozika stali się ostrożniejsi w budowie zdań i wygłaszaniu sądów.

Na dobitek wszystkiego, nadeszła z Warszawy alarmująca wiadomość, że Rada Miejska została rozwiązana, a komisarzem wyborczym mianowany sędzia Grzmot.

Szlachetni ojcowie miasta, którzy w przeciągu czterech ostatnich kadencyj trzymali się kurczowo władzy, jak pijany płota, zaczęli powątpiewać w mo-

żliwość zatrzymania zaszczytnych i intratnych urzędów do samej śmierci.

Sprawa wyborów zaczęła się wikłać: ten i ów zaczął się wyłamywać z dotychczasowych zapatrywań politycznych, pojawiły się dzienniki warszawskie i inne podejrzane ulotki, że nawet miejscowy proboszcz ks. prał. Dominik Lasociński, znany z praktyk religijnych w miejscowym bractwie dewotek, zauważywszy w księgarni świeżo sprowadzonego z Warszawy „Robotnika", zwymyślał właściciela księgarni od parobków żydowskich.

Abdera weszła w okres niebezpiecznego ząbkowania: społeczeństwo zaczęło nabierać różnolitego zabarwienia, pojęcia zaczęły się krystalizować, a przywódcy wypływać przy wódce na powierzchnię.

Osoba Dr. Mydłka, któremu trybuna sądowa stworzyła bajeczną reklamę, była przedmiotem ogólnego zainteresowania. Nikt z osób wpływowych w mieście nie miał nic przeciwko temu, żeby Dr. Mydłek wskazał punkt wyjścia z rozpaczliwej sytuacji. A i sam plebs, ten pogardzany przez wszystkich proletarjat, nie miał nic do zarzucenia i widział w nim męża opatrznościowego.

Poziewający czytelnik lub czytelniczka, poszukujący w żywocie Dr. Mydłka awantur miłosnych, lub przygód z tysiąca i jednej nocy, przekonają się bez trudu, że bliższa mu była sfera ludzi, posiadających coś więcej oprócz spodni i pary butów, niż sfera przechadzająca się bez butów.

Nie znaczy bynajmniej, że Dr. Mydłek odwracał się zwyczajnie od ludzi, nie umiejących czerpać z bogatej krynicy życia, przeciwnie był dla nich pełen uznania, litości i podziwu, a częstokroć zdobywał się na szeroki gest i wielki akt miłosierdzia chrześcijańskiego, stając w sądzie w obronie uwiedzionej dziewicy, lub obitego niesłusznie parobka.

Ale jego żywy i subtelny temperament, wiecznie poszukujący wrażeń, dusza, jak mówiąc rosjanie, „na raspaszku", wyrobiony gust i smak artystyczny musiały szukać ludzi godnych tego rodzaju walorów, nie mających najmniejszego uznania w gminie. Ta uprzywilejowana kasta rekrutowała się przeważnie z urzędników, grupujących się w Klubie Urzędniczym.

Dr. Mydłek miał możność szybko przeniknąć w to środowisko, stanowiące śmietankę towarzystwa. Większość z nich pamiętała dobre czasy przedwojenne, kiedy to ruble drzwiami i oknami cisnęły się do ich portfelów. Inni dopiero teraz zaczynali piąć się wzwyż marząc o karkołomnej karjerze, kończącej się najczęściej w kryminale. To też stopa życiowa tej kasty była różnolita, i w zależności od tego, kto ile miał takiem cieszył się uznaniem i autorytetem w Abderze.

Był to czas, kiedy hasło: „swój do swego" płynęło jak woda w Wiśle do Gdańska, każdy bowiem pchał się jak mógł i gdzie mógł. I inne hasło nabrało również specyficznego znaczenia. „Nie rzucim ziemi" przestało być entuzjastyczną pieśnią naro-

dową, nie pobudzało do czynów starców, młodzież i pędraków, już w kolebce wyśpiewujących: „Titina, oj Titina“...

Nie można było opuszczać rąk, albowiem śmiałość to bohaterstwo, a bohaterstwo — to cnota. W związku z ostatniemi wydarzeniami odbył się entuzjastyczny wiec, na którym jednomyślnie postanowiono zaprosić Dra Mydłka, ażeby raczył wygłosić w Klubie Urzędniczym odczyt pod znaczącym tytułem: „Nakazy chwili“.

Dr. Mydłek chętnie przystał. Przywykł bowiem jeszcze za czasów, kiedy był maluczkim człowieczkiem, wygłaszać z pompą szumne oracje, za które darzono go oklaskami, a czasami nawet dopuszczano się rękoczynów. Teraz nadarzyła się wyjątkowa okazja zrehabilitowania się z ostatniej przygody, kiedy go po wygłoszonej mowie zrzucono ordynarnie ze schodów. Na kilka dni przed terminem odczytu, na murach miasta ukazały się plakaty uroczyście zapowiadające odczyt Dr. Mydłka.

Do mieszkańców Abdery.

Obywatele!

Nareszcie wybiła godzina wymarzona przez naszych dziadów i ojców.

Rząd Polski, ukonstytuowany w Warszawie, rozwiązał największe zło naszych czasów — miejscową Radę Miejską.

Obywatele! Stoimy w przededniu nowych wyborów. Od Was zależy wasz byt i dobrobyt.

Uświadamiajcie się i organizujcie, albowiem w jedności jest siła. Pamiętajcie, że dzisiejsze Wasze niedołęstwo może sprofanować Wasze groby. Dzieci Wasze na miejsce wiecznego spoczynku przyniosą zamiast bogactwa klątwy i złorzeczenia!

Do czynu Obywatele! Rada Miejska musi być odzwierciadleniem Waszych interesów, pragnień i pożądań!

Taki jest nakaz chwili.

W niedzielę, o drugiej po południu, w Klubie Urzędniczym, znany w szerokich sferach naszego miasta Dr. Mydłek, wygłosi odczyt na tematy bieżące.

Obywatele! Nie zwlekajcie ani chwili, hurmem jak jeden mąż, śpieszcie na odczyt znakomitego męża stanu.

Niech nie zabraknie ani jednego, któremu drogie jest miasto nasze Abdera, kto chce rozniecić nowy kaganiec światła, wiodący go do powodzenia, pomyślności i szczęścia!

Szukasz szczęścia — wstąp na chwilę!

Stronnictwo: Nakazy Chwili.

W niedzielę, po wysłuchaniu mszy w kościele parafjalnym Wszystkich Świętych, niezliczona i nieobliczalna liczba ludzi urządziła wiec na Rynku miasta, skąd, wziąwszy się za ręce, czwórkami, we wzorowym porządku, udała się do Klubu Urzędniczego, zabierając po drodze napotykanych przyjaciół, znajomych, krewnych i powinowatych, strażaków miejscowej Straży Ogniowej, posterunkowych policji,

wartowników wojskowych, stojących na posterunku przy składach broni i amunicji, mniszki i zakonnice z miejscowego klasztoru, członków związku zawodowego hochstaplerów, austrjackich trepów, kataryniarzy i karawaniarzy, pajęczarzy, członków cechu kominiarzy, dewotki ze stowarzyszenia sług św. Zyty, dozorców więziennych i godnych politowania komorników.

Na estradę, umajoną zielenią i kwiatami w obliczu dojrzewającej wiosny i dobiegających z miejskiego parku słowiczych trelów, jak gdyby przekomarzając się z sypiących się na głowę pięciolistnych liljowych kwiatów szczęścia, wkroczył triumfalnie i zawadjacko Dr. Andrzej Mydłek, obrzucając zwycięskiem i pewnem siebie okiem zebrany motłoch, wyjący z radości i szczęścia, klaszczący w dłonie, tupiący w podłogę.

Naraz elektryczny dzwonek przeszył powietrze, przywołując wszystkich do porządku.

Zaległa niepokojąca cisza.

Zebrani utkwili swoje oczy w promieniującem radością obliczu świetlanej postaci. A twarz prelegenta jaśniała, jak jego wykrochmalony gors, jak czoło nietykalnego suwerena, jak cnota leciwej i szpetnej maszynistki, jak piki i papachy w czasie bohaterskiego odwrotu naszych przyjaciół z nad Wisły, jak błyszcząca nędza oficerskiegu munduru, jak samo słońce ożywiające cały Kosmos.

Dr. Mydłek swoim przenikliwym i sugestjonującym wzrokiem ogarnął cały tłum, czynił spustosze-

nia w mózgach statecznych mężów stanu, których umysłu tępota stanęła na martwym punkcie, negliżował wydekoltowaną płeć piękną, wkradał się w serduszka rozanielonych podlotków i wzbudzał ogólny entuzjazm.

Długie obustronne milczenie było dowodem obopólnego zaufania.

Ale żadne większe towarzystwo nie obejdzie się bez parszywej owcy, gdyż oto, ku zdumieniu wszystkich obecnych i nieprzytomnych ze wzruszenia, jakaś zakazana kreatura, ulokowana w szarym kącie sali, śpiewno-biblijnym akcentem zaczęła deklamować:

— Zjawią się fałszywe proroki i za nosy wodzić nas będą!

Dr. Mydłek zmarszczył brwi i śnieżno-biały gors swej koszuli, odchrząknął w odpowiedzi na demagogiczną przygrywkę i przeciągłym głosem, jak syrena, rozpoczął:

— Obywatele!

— Niezbadane są wyroki boskie! — zaskrzeczał urojony męczennik cywilizacji.

— Nie przeszkadzać! Wyrzucić za drzwi! — ozwały się groźne poryki tłumu.

— Panie przebacz im — nie wiedzą, co czynią! — zdołał jeszcze wykrztusić niedoszły samobójca.

Nie zdążył dokończyć swej deklamacji, albowiem dwóch wyrostków o żelaznej woli i mięśniach, z uczuciem najwyższego spokoju i opanowania, unie-

sło brzuchomówcę powyżej kolan, a poniżej pleców i, rozbujawszy trędowate ciało, stworzone na obraz i podobieństwo boże, wyrzuciło przez otwarte weneckie okno na bruk.

Po twarzy Mydłka przebiegł jelenim susem grymas zniecierpliwienia, zaabsorbowawszy na chwilę jego uwagę, ale niebawem szlachetne oblicze wypogodziło się i nabrało przyjemnego wyrazu. Ciepłym i melodyjnym głosem, przypominającym grę katarynki, zaczął rozwijać zapowiedziany temat. Dźwięczała w tym głosie nuta harfy anielskiej i turkot skrzypiących wozów, wracających z dorocznego odpustu lub świątecznego jarmarku. Prostemi słowy wkradał się w duszę naiwnego słuchacza, unosząc ją w krainę wiecznego szczęścia, muz i błogosławionego pokoju.

Przerzucił z lotu ptaka kartki błogiego dzieciństwa, wywołując łzy w oczach przeczulonego słuchacza, jako cenę minionego bezpowrotnie szczęścia. Oddał hołd dojrzałości męskiej, powołanej do wyższych i dziejowych zadań podtrzymywania gatunku. Na skrzydłach motylich uniósł pod niebiosa matrony polskie, co mlekiem własnem wykarmiły najmłodsze pokolenie, a zwłaszcza córki, nie zawodzące nigdy pokładanych w nich nadziei.

Wreszcie, po krótkiej pauzie, odsapnąwszy wyniośle, łyknąwszy szklankę wody i zajrzawszy w oczy słuchaczy, wybuchnął jak wulkan i zasypał gorącą lawą skotłowany tłum.

Zimny dreszcz przerażenia przeszedł po ścierpłej skórze słuchaczy. Złotousty Dr. Mydłek, niczem Skarga, gromił ospałość, nawoływał do czynu, groził zatratą, pluł, poniżał i wyśmiewał, porównywał, obiecywał i zachwalał, aż doszedłszy do punktu, który mu najbardziej leżał na sercu, zniżył ton i niemal złamanym głosem, pełnym rezygnacji, mówił powoli, skandując każde słowo, jak stuletni starzec, jak inwalida wspominający swoje zwycięstwa w bojach nad płcią piękną za czasów męskiej stuprocentowości.

— Boście dziady! — zapalał się Dr. Mydłek. — Nie Mickiewiczowskie, lecz rodzime polskie, narodowe... Nie guślarze, nie mistycy, nie entuzjaści, lecz dziady! Nie bez butów, nie z torbami, nie z kijami i kupletami, ale dziady! Nie z zamiłowania, nie z lenistwa, nie z tradycji, ale dziady!

Szmer podziwu i uwielbienia popłynął do stóp Mydłka, a on podniósł nieco głos i naga prawda wyszła na jaw.

— Najdzielniejszy odłam Narodu w dniu radości i wesela, w dniu zmartwychwstania Ojczyzny, stanął na czele zdrowego organizmu narodowego.

Kto nie mógł i nie chciał zostać kamieniarzem lub włamywaczem — został urzędnikiem!

Kto nie chciał głowy mozolić nad książkami lub uprawiał w młodości niedozwolone praktyki — został urzędnikiem!

Kto w bujnej i chmurnej młodości szukał ideałów, sięgał po nowe życie, lub tanim kosztem gra-

iomaństwa pragnął wzbić się na wyżyny — został urzędnikiem!

Kiepski poeta, lichy literat, leniuch rzemieślnik, demagog - robotnik, stare panny, skromne dziewice, tandetne strojnisie, bezpłodne mężatki, wszystko razem zamiast iść odrazu do kryminału i żreć chleb państwowy, ulokowało się w biurach i wytwórniach uważając Skarb Państwa za dojną krowę, którą można bezkarnie, nie mając żadnych warunków i kwalifikacji, doić przez całe życie, otrzymując jeszcze za grobem tantjemę w postaci emerytury dla żony i dzieci!

Niedługo rosła na las patrząc niewinna latorośl dziadów: ozimina zaczęła wschodzić i kiełkować!

Niebawem utworzono najnowszą hierarchję społeczną dziadów, dzieląc ich według stopni służbowych. A stąd w łonie dziadów powstał rozgardjasz, wzajemna nieufność i nienawiść, indywidualne pyskowanie, szycie butów i psów wieszanie: istne piekło!

Indywidualna wartość dziadów zaczęła przybierać na wadze i wpływach, wyróżniać się w ogólnym tumulcie i motłochu, między zaś hierarchją dziadów a motłochem wyrosła cała przepaść, albowiem motłoch jest żarty przez alkoholizm, choroby, prostytucję i nędzę, dziadów zaś żre wszystko razem, nie wyłączając nędzy umysłowej. O losie srogi! Odrodziłeś chłopów i mieszczan, przywołałeś do porządku błękitną krew — arystokrację, zbudziłeś

szlachtę i robociarzy, a z odpadków i koziego łajna stworzyłeś dziadów!

O ironjo szczęśliwego losu, wygranego na loterji państwowej! O człowieku wiecznie tułający się na bezdrożach cudzych myśli! O dziadu polski, żali miałeś kiedy chwilę swoją i myśl poczętą bez podszeptów i wpływów postronnych!?



Felka nie czekała zbyt długo na Dr. Mydłka...

Gdy społeczeństwo w ciągu roku zmienia kilka razy swoje oblicze duchowe, ty, dziadu polski, masz przez całe swoje życie jednego szefa, który jest twoim wskaźnikiem politycznym! Szef to twoja, dziadu, skarbnica i encyklopedja, jeżelibyś nawet tego nie uznał: nie uzyskasz, a stracisz przy naj-

bliższych awansach lub redukcji. Jak truteń biegniesz każdego ranka do pracy, by nie zrobiwszy nic dobrego i złego otrzymać codzienną porcję cięgów od szefa, tłuczonego zkolei po pysku urgensami, odezwami i t. p. z wyższej instancji.

Jak sowa wysiadujesz na jednem miejscu lata i hemoroidy. Jak cielę kładziesz głowę pod nóż przejmujących do szpiku kości spojrzeń swojego szefa. Jak łotr bywasz darzony łaskami za cenę samozaparcia się i bluźnierstwa. I jak kołowrotek pracuje twój mózg w terminach regulowania zobowiązań, zaciągniętych u pejsatych wierzycieli. Co wieczór, gdy zmrok roztoczy swoje kojące skrzydła, gdy w nieopalonej twej norze wygłodzone myszy rozpoczynają swoje harce, marzysz, układając nieziszczalne projekty na wypadek wygrania głównego losu loterji państwowej, tymczasem, ujmując od ust, śpieszysz co miesiąc do najbliższej kolektury, wykupujesz los i czekasz... czekasz latami... płacąc co miesiąc dobrowolny haracz.

Dziadu polski! Opamiętaj się! Zajrzyj wewnątrz swego jestestwa, a przyznasz mi, że wstrzymałeś bieg swego życia i trwasz, djabli wiedzą poco, na posterunku cudzych ideałów, fałszywej cnoty, gubiąc ciało i duszę w powodzi nieodrobionych „kawałków“! Oto przychodzę do ciebie, żeby ci wskazać nowe drogi, wytknięte przez najnowsze zdobycze cywilizacji, które zaprowadzą cię do kraju powszechnej szczęśliwości i zapomnienia. Jeżeli ufasz

mi: wyciągnij do mnie swą dłoń, bo taki jest Nakaz Chwili!

Na tem Dr. Mydłek ukończył swój odczyt. Opadł ciężko na podane krzesło. Sala grzmiała oklaskami. Ciężki entuzjazm opanował audytorjum. Napróżno przewodniczący dzwonił i błagał o ciszę: nikt nie chciał milczeć!

Wobec takiego zbiegu okoliczności, prezydjum w porozumieniu z prelegentem, uchwaliło zamknąć posiedzenie, odraczając następne zebranie do czasu ustosunkowania się inteligencji do mających się odbyć wyborów do Rady Miejskiej.

Tymczasem Dr. Mydłek wśród okrzyków zebranego tłumu i nie milknącej gawiedzi, wydostał się do parku, odetchnął świeżem wiosennem powietrzem i poszedł na poszukiwanie pewnej miejscowej blondynki, która mu przed kilku dniami wpadła w oko.

UCZTA „POD JELENIEM“

Kiedy wichura się rozhula, wzywa pioruny i błyskawice do zawodów...

Kiedy entuzjazm serca maluczkich opanuje, idą bez trwogi, żalu i łez na kraj świata, na szubienicę, za miasto pod słup na wzgórek...

Kiedy mądrość ludzka przekracza granice rozumu, rodzi się głupstwo z dobrodziejstwami inwentarza...

Kiedy w mętnej i zakopconej Abderze konserwatyzm idzie ręka w rękę z ideą postępu, zaszczepioną w perfidyjny sposób przez spryciarza, który bez wyroku sądowego winien zasiąść na wieki wieków w kryminale, teorja względności sprytnego żydka Einstejna nabiera prawdziwego posmaku.

Albowiem idea postępu jest niezgłębionym i niezmierzonym terenem dla wszelkiego rodzaju i gatunku wodzów, wodzirejów, linoskoczków, poławiaczy pereł, połykaczy gwoździ, ognia i żywych żab, polityków, włamywaczy, pożeraczy serc i posagów, redaktorów od odsiadywania kar prasowych

i wszystkiego, co możnaby było ująć w specjalnym słowniku kryminalnym. Ale żadna firma na Świętokrzyskiej, Sienkiewicza, Krakowskiem Przedmieściu i w koszyku na rogu Kaczej i Koziej, nie podejmie się takiego nakładu, bo byłaby omijana przez wszystkich z równym skutkiem jak słowo honoru, które nie da się określić w brzęczącej monecie i nie jest przewidziane w Kodeksie Karnym, Cywilnym i Handlowym.

— Ciemno wszędzie! Głucho wszędzie! — zawodził nie jeden z nieokrzesanych abderytów, czekając aż miłościwy Bóg pozawiesza w ich głowach latarnie, mające przyświecać w drodze do postępu i zreorganizowania zaśniedziałego w powijakach życia, my zaś ze swej strony zobowiązalibyśmy się bezinteresownie wskazać, gdzie można zakupić większą ilość nafty bez obawy, że będzie zawierała znaczny procent wody.

Można, doprawdy, bez zastrzeżeń i ostrzeżeń, siarczyście ucałować filozofa, który odwróciłby przysłowie: Nie wszystko złoto, co się świeci! Nie chcę bynajmniej w tem miejscu ubliżać osobie Dr. Mydłka, gdyż jesteśmy przekonani, że gdyby na bruku Abdery znalazł się rutynowany oszust, w ciągu jednego dnia dokonałby cudów. Ponakładałby na czarujące główki uroczych abderytek kaptury mnisze, kazałby im rodzić co drugi dzień, uczyniłby z nich zawodowe lesbijki, porozwodziłby z mężami, przyjaciółmi i kochankami, potworzyłby z trójkątów haremy, a z haremów instytucje użyteczno-

ści publicznej, kazałby uwielbiać i apoteozować panią Anie Besante, wierzyć w satanistów, anarchistów i fakirów, zaprowadziłby śluby cywilne albo w najgorszym wypadku małżeństwa na próbę...

Ale czyżby się do Abdery wybrał jaki porządny oszust, prócz Dr. Mydłka, któregoby pierwszy lepszy gość z Udziałowej sprzedał za zły szeląg razem z bebechami? To też Mydłkowi narazie nie groziła konkurencja. Królowie niebieskich ptaków budują swe gniazda przeważnie w wielkich ośrodkach miejskich, w stolicach, gdzie mają do swej wyłącznej dyspozycji odpowiedzialnych za ich czyny „frajerów“, gdzie utrzymują wysubtelnione i obszerne stosunki z przedstawicielami różnych urzędów, policji, wojska i sądownictwa... A Dr. Mydłek był sam, jak kołek w moście, jak groch przy drodze, jak gość w porządnej knajpie przy kuflu piwa, czuł się przeto upokorzonym i maluczkim wobec swoich stołecznych kolegów, jeżeli nie umysłowo, to w każdym razie pod względem owych stosuneczków, bez których w obecnych czasach nie można nawet spokojnie skonać.

Abdera, zabita od świata deskami, pozbawiona przez troskliwych zaborców dostępu kolei żelaznej, nie była terenem odpowiednim dla całej falangi oszustw; jeden oszust mógłby tu jednak grasować bezkarnie i przykładnie bez narażenia swojej czci i honoru na najmniejszy szwank.

Naiwny obywatel, to jest człowiek spokojnie żujący i trawiący, składający resztę zepsutej krwi

na ołtarzu Ojczyzny, lub przeidealizowana Leda o chlubnie zaokrąglonej talji, zapytają z niesmakiem:

— Jakże to: oszust? Przecież pracuje!

Ale jeżeli zdobędziemy się na heroiczny wysiłek spozierania na świat zdrowemi oczyma, przekonamy się z przerażeniem, że w każdym zawodzie kryje się nieobliczalna ilość oszustów, co gorsza, oszustów uprzywiljowanych i ulegalizowanych, zamieniających swój warsztat pracy lub placówkę społeczną na instytucję obałamucania ludzi i napełniania swoich kieszeni ludzką naiwnością.

Iluż lekarzy przewleka chorobę i nie stosuje właściwych środków, ażeby móc dłużej doić pacjenta? Iluż adwokatów obiecuje złote góry, chowa z najwyższym spokojem honorarjum, wiedząc zgóry, że sprawa jest przegrana i nie da się nic zrobić, namawia klijenta do założenia apelacji lub kasacji, żeby tylko wyrwać jeszcze kilka, niekiedy ostatnich, groszy? Iluż inżynierów i architektów buduje domy, które rozsypują się w gruzy, zanim ktokolwiek zamieszka pod ich dachem?

A przejrzyjcie ogłoszenia stołecznych i prowincjonalnych dzienników; znajdziecie w nich niezawodne i niezniszczalne środki na zbogacenie się, utratę tuszy, porost włosów; zapobieżenie wszelkim możliwym i niemożliwym chorobom? Na szpaltach tych pism roi się od różnych wyrafinowanych oszustów, wyłudzających pod najdziwaczniejszemi pozorami ciężko zapracowany grosz. Nadeszły bo-

wiem czasy, kiedy oszustwo intelektualne zajęło w naszem życiu codziennem uprzywiljowane stanowisko, nie wywołując żadnego obrzydzenia, jakkol-



Felka uwodzi Dr. Mydłka.

wiek w tymże czasie oszustwo materjalne karane jest więzieniem, albowiem zło leży nie w zbrodni i występku, a tylko w prawach, stworzonych dla

stosowania i naginania według sumienia sędziowskiego, które najczęście dopuszcza się zbrodni intelektualnej, zapominając o swojem wysokiem posłannictwie.

Ale nie będziemy tutaj zajmowali się wywodami z dziedziny kryminalnej socjologji, pozostawiając tę czynność profesorom naszych uczelni, wyposażonych w najprymitywniejsze zdobycze cywilizacji, któremi poszczycić się możemy w każdem miejscu i w każdej chwili, nas interesuje obecnie miłość w zapadłym zakątku, będąca wyrazem nietylko wyuzdanej zmysłowości, ale i wysubtelnionego intelektualizmu.

Panna Felicja Kalosz naciągnęła na nogi jedwabne pończochy, przyjrzała się z uczuciem najwyższego zadowolenia zręcznie zaokrąglonej linji łydek, uszczypnęła siebie powyżej kolana i przywdziała wykwintne pantofle, wzbudzające podziw całego miasta.

Wiedziała dobrze, że ta dolna część garderoby wzbudza większe zainteresowanie u mężczyzn, niż górna, dlatego dbała o dobór pończoch i obuwia, bo to nawet w świecie nie roszczącym pretensji do elegancji mawiano zawsze: znają pana po cholewach.

Zaczęła się, zwłaszcza, elegantować od czasu, kiedy pierwszy raz ujrzała Dr. Mydłka w towarzystwie sędziego Grzmota, bo Dr. Mydłek wydał się jej człowiekiem innym i tak bardzo różniącym się od wszystkich mężczyzn miejscowych. Interesowała się odtąd jego sposobem wiązania krawata. Jego

łagodny posuwisty chód wzbudzał w niej instynktowne zaciekawienie, jakim się może wydać w najbardziej drażliwej pozycji. Z wypiekami na twarzy wspominała jego mięsiste i wypukłe usta, wyginając się cała w przestwór przed siebie, przymknąwszy oczy, usiłowała stworzyć wrażenie pocałunku Dr. Mydłka.

Niebawem wyczuła na sobie przenikliwy wzrok, kuszące spojrzenie i chęć zadzierzgnięcia bliższego kontaktu, jakkolwiek Dr. Mydłek, to bożyszcze tłumu, wydawał się nieprzystępny i nie znający próżnych słów miłości.

Nie żądała wtedy od niego nic, coby musiał dać każdy inny, pragnący ją posiąść, albowiem kobieta, będąc nawet zgóry przygotowana na wszelką ostateczność, będzie do ostatniej chwili grała komedję, stwarzając iluzję miłości i wzajemnego obałamucania się.

Ileż w ten sposób tworzy się wyplutych i wymuszonych pocałunków, przyjętych przez kobietę za najlepszą monetę, ileż fałszu i hipokryzji kryje się w udanych pieszczotach i uściskach zdobywanej za wszelką cenę kobiety?

Wysłuchawszy znakomitego odczytu Dr. Mydłka, na którym siedziała jak na rozżarzonych węglach, wymknęła się w stronę parku i przysiadła w cieniu kwitnącej jabłoni.

Nie czekała zbyt długo: Dr. Mydłek nadszedł tak niespodziewanie, że nie wiedziała kiedy i jak. Szedł wolno, a minąwszy ławkę, nagle zawrócił

i usiadł obok. Zapłoniła się cała, chciała wstać i odejść, ale jakaś moc nieposkromiona przytrzymywała ją za fałdy sukni.

Dr. Mydłek spojrzał na zegarek. Przyjrzał się swoim dłoniom: wypieszczone paznokietki, przykryte cienką warstwą lakieru, błysnęły kolorami tęczy. Spojrzał na zgrabne łydki rozanielonej Felki, na biust, na wydatne i mocno zaokrąglone piersi, zdradzające zdolności karmicielsko-rozrodcze, utkwił oczy w jej jasnych, błękitniejszych niż niebo, oczach, w złocistej grzywce spadającej nieznacznie na duże, niezupełnie foremne, czoło i przykrywającej nieukryte przez naturę dowody rasy i pochodzenia. A gdy zobaczył, że cała płonie, że wystarczy jednej iskierki, żeby wywołać pożar, zagadnął:

— Czy pani ma w niedzielę czas o piątej popołudniu?

Felka drgnęła. Przypomniała jej się piosenka odtwarzana na gramofonie, a zaczynająca się w podobny sposób. Znajomy refren zawisł w jej uszach. Nie wiedziała, co ma począć, i milczała.

Była przygotowana na wszystko, ale nie na takie wytarte na bruku miejskim i banalne pytanie, które po chwili wydało się jej oryginalne i ekscentryczne. Podniosła na chwilę głowę, osadzoną na zgrabnym, giętkim karczku i powiedziała:

— Mam!

— To mnie cieszy! — odpowiedział Mydłek, spoglądając na zegarek, znajdujący się w tem miejscu, gdzie winny się znajdować u niego kajdanki. —

Właśnie dochodzi godzina piąta. Jeszcze nie jadłem obiadu. Moglibyśmy wstąpić do nowootworzonej restauracji znanego kuchmistrza Walentego Fajtłapy.

Była to podmiejska knajpka, w której w dnie powszednie można było zastać towarzystwo różnych ras i pochodzenia. Przyjezdni ziemianie rezydowali tutaj obok komorników, komornicy zaś obok dorożkarzy, wójtów i sołtysów. Różnice zacierały się w ogólnym tumulcie, zdradzającym najwyższy punkt napięcia przygodnych gości. W dnie świąteczne knajpka Walentego Fajtłapy słynęła z wyjątkowo smacznych flaków, kaszanych i podgardlanych kiszek, oraz swego chowu i wyrobu sandelków, słynnych na cały powiat.

Oprócz owych kulinarnych osobliwości, sprężysty umysł Walentego Fajtłapy wprowadził w dnie świąteczne pewnego rodzaju inowację, a mianowicie zakupił w Warszawie olbrzymich rozmiarów gramofon i kufer najnowszych płyt i urządził prawdziwy warszawski dancing pod nazwą podwieczorków tanecznych.

Wprawdzie reputacja knajpy nie zyskała na tem, gdyż złośliwość ludzka zaczęła się dopatrywać w podwieczorkach zgnilizny moralnej i szerzenia nierządu, w „Kurjerku dla Abderytów“ pojawił się nawet nismaczny artykuł pod tytułem: „Podmiejska karczma Fajtłapy jako źródło rozpusty“, a ks. proboszcz Lasociński niemal co niedziela raz po raz gromił z kazalnicy kościoła Wszystkich Świętych

tych wszystkich, którzy nieopatrznie i lekkomyślnie zaglądali do budzącej zgrozę spelunki, gdzie niezdrowa atmosfera otoczenia wpływała w sposób niezastąpiony na podniecenie zmysłów i rozkiełznanie obyczajów.

Wszyscy razem biorąc podzielali mądre słowa wielebnego kaznodziei, ale każdy zosobna, chyłkiem i nieobaczkiem, sunął w stronę knajpki krętemi uliczkami, ciągnąc za sobą jeżeli nie dwie-trzy, to przynajmniej jedną młodą dziewczynę, żeby zająwszy wygodny stolik popatrzyć się na innych i siebie pokazać w dużym wieńcu płci pięknej.

Powoli knajpka ściągnęła całą elitę, każdy bowiem, kto chciał dobrze i smacznie zjeść, przyjrzeć się co najpiękniejszym abderykom, ciągnął do Fajtłapy w niedzielę po południu.

Felka, usłyszawszy propozycję spożycia obiadu w knajpce, zarumieniła się po same uszy. Była tam, coprawda, przed paru tygodniami, ale w towarzystwie młodej jeszcze organiściny Magdaleny Wisiorek i siostry gospodyni księdza proboszcza Kunegundy Kozdrojowej, rozwiedzionej z pierwszym mężem za cenę wstąpienia do klasztoru przez ojców Marjawitów. Ale pójście do knajpki z Dr. Mydłkiem była to sprawa grzechu warta, przynajmniej na grzech zakrawająca. Nie mogła tak odrazu zdecydować się. Dr. Mydłek umiał jednak nalegać, stosując znane warszawskie powiedzonko: Nie nalegaj, bo ulegnę!

I Felka musiała ulec! Wprawdzie Dr. Mydłek to nie organiścina i nie siostra księdza proboszcza, ale zato człowiek stateczny i poważny, a sama obecność w publicznem miejscu z takim mężem stanu wpływa dodatnio na opinję w myśl zasady: Z kim przestajesz — takim się stajesz!

Przetarłszy dyskretnie drogocenne kamienie, ozdabiające jej długie artystyczne palce i cokolwiek pulchne ręce, silnie ujęta przez Mydłka pod ramię, potoczyła się żółwim krokiem w kierunku knajpki Fajtłapy.

U Fajtłapy dziś było wielkie święto.

Poprzedniego dnia, cała służba, składająca się z czterech dziewek jak łanie, z łydkami jak rzepa, z zębami bielszemi niż fałszowany ser chłopski, z kruczemi włosami jak rasowe końskie ogony, i jednego głupkowatego od urodzenia i jąkającego się przed każdem słowem parobczaka, urobiła ręce po same łokcie.

Sala restauracyjna, przeznaczana w niedzielę na podwieczorki taneczne, przybrała wyjątkowo uroczysty wygląd i jaśniała czystością, jak gdyby w owych historycznych momentach na drewnianej posadzce miały się rozegrać ważne wypadki, mające zwiastować nową erę.

Świąteczny i niebywały nastrój skłonił przezornego właściciela i szefa tego przybytku do zmiany przyodziewku. Spoczął pod ławą stary i zaszmalcowany na obie strony żupan, spoczęły sromotnie pod łóżkiem stare wykrzywione kamasze, pamięta-

jące jeszcze dobre przedwojenne czasy. Szef zaś wciągnął na swoje spocone, tłuste i oślizgłe cielsko nowy, wprost z igły, żakietowy garnitur. Złoty zegarek z tombakową dewizką dopełniały garderoby.

Zapanował nawet ład na głowie szanownego gospodarza, albowiem siedm włosów w siedmiu rzędach sprzymierzyły się za pomocą pomady i trwały bohatersko i harmonijnie na posterunku.

Nabrzmiałe oblicze, nacechowane powagą, przybrało wyraz uprzejmy i służalczy. Świąteczna i wyjątkowa atmosfera udzieliła się wszystkim kątom, sprzętom i dziewkom, wyjątkowo umytym i uczesanym, oraz parobczakowi, przewracającemu błędne oczy do grupy kociąt i szczeniąt zgodnie liżących mleko z jednej miski.

Walenty Fajtłapa, podniecony jednym większym z pieprzem i rubasznie roześmiany, wytoczył się przed swą świątynię, dumając poważnie nad tem, co mu wieczór przyniesie. Że zęby koszami wynosić będą, że nie jednemu spuchnie pysk lub gęba, że niektórzy będą zawodzili do sądnego dnia, nie ulegało wątpliwości: stara nudna historja! Ale specjaliście w sztuce filtrowania własnych wódek i napojów zależało na tem, żeby dzień dzisiejszy minął spokojnie. Był to bowiem dzień jubileuszowy: rok temu Fajtłapa przywalił kamieniem po wieczne czasy swą połowicę, zmarłą w pięćdziesiątej wiośnie życia, pozostawiając liczne i bogobojne potomstwo, rozsiane równomiernie po świecie.

Połowica Fajtłapy była to kobieta rozległa jak siedmioramienny świecznik z powściągliwie wykrojonemi usteczkami, nie zamykającemi się ani na chwilę. Próżno koledzy Fajtłapy zakładali się, że znajdą sposób na zamknięcie buzi, przegrywali zawsze z kretesem. Dopiero łaskawa śmierć, poprzedzona dwudniową torsją niebogiej, wybawiła hazardownych i hazardujących się graczy od haniebnego haraczu na rzecz Fajtłapy.

Od roku Fajtłapa oddychał swobodniej, pełną piersią, zaglądając zrzadka do swojej i cudzej komory. W dzisiejszą rocznicę miłości bożej sięgnął myślami wstecz i zarżał jak młody ogier.

Czegoż ta, o wściekłicy podniebienia, prawowita i zaprzysiężona, dwa razy w życiu po ślubie ucałowana, raz w policzek i raz w czoło, nie życzyła biednemu Fajtłapie?

Usta ziały stekiem wyzwisk, tytułów i życzeń, lawiną chorób, przeplatanych najrozmaitszemi odmianami śmierci. Aż się spełniło mądre przysłowie: Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada!

Na wspomnienie takich cierni czarne myśli przybrały swe pierwotne szaty. Przypomniał sobie, jak niejednokrotnie doprowadzony do ostateczności nosił się z zamiarem poćwiartowania żony i ulokowania jej przed ewentualnemi dochodzeniami wymiaru sprawiedliwości w firmowych sardelkach, słynnych na cały powiat. Ale łudził się, albowiem wiedział, że Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy. I nie omylił się. Obżarła się i konała, wzywając miło-

sierdzia ludzkiego. Fajtłapa, jeśli go pamięć nie myli, oddał konającej ostatnią przysługę, wlewając do niezamykającego się gardła litr terpetyny zaprawionej różanym likierem. Niewinnym żartem przyśpieszył ład na ziemi. Perliste łezki zaszkliły mu się w oczach na wspomnienie strasznej krzywdy, którą przeżył i przecierpiał. Toteż dumny był, że sumienie ma czyste, a to jest coś więcej warte, niż kieliszek wódki. Nie miał na sumieniu morderstwa, uniknął niezbyt przyjemnej perspektywy kryminału i nie zaszargał, jak to mówią, swego „ja". Przeciwnie, przedźwigawszy dwadzieścia lat z okładem krzyż ludzki i pański, zdobył się na najwyższy akt altruizmu i przebaczenia, wybudował nieboszczce grób i napisał znamienne epitafium: Niech Ci ziemia lekką będzie!

Tym sposobem zdobył sobie w Abderze opinję człowieka porządnego i czcigodnego. Kobiety zwłaszcza nie miały słów uznania dla dorodnego młodzieńca, mającego za sobą pół wieku kalendarzowego, ale który, według wiarogodnej oceny miejscowych rzeczoznawczyń płci brzydkiej, był jeszcze całkiem do rzeczy.

Walenty Fajtłapa był jednak nieczuły na te wszystkie kadzidła babskie. Chlał wódkę jak powietrze, bawił się jak dziecko i klął jak marynarz.

W dniu dzisiejszym, jako rocznicę odzyskania wolności, wydawał bankiet dla najbliższych przyjaciół jego serca i kieszeni. Miała być siła chłopa: nie mazgaje, nie pantoflarze, ale chłopy, co się zo-

wie! Nad wieczorem miał wpaść na chwilę sam komisarz Ażurek. Nie miał wielkiej pewności, bo wiedział, że jest teraz pochłonięty sprawami polityki i ciągle prowadzi rozmaite pertraktacje z dawną Radą Miejską, zbierającą się co wieczór w Hotelu Warszawskim. A zresztą, gwiazda Ażurka ostatnio przybladła i Fajtłapa zaczął z pewnem lekceważeniem odnosić się do granatowego munduru, oglądając się ciekawie i przewidująco za kimś bardziej wpływowym.

Osoba Dr. Mydłka nie wzbudzała w nim również wielkiego zainteresowania i czuł do niego abominację w wyższym stylu.

Fajtłapa, który dotychczas sprawami publicznemi nie zajmował się, gazet nie czytywał, nie był jednakże ciołkiem politycznym, gdy tylko bowiem groźne chmury zawisły nad modrem niebem Abdery, wyczuł wieszczym duchem, co się święci. Widział jak na dłoni wszystko co się działo w najintymniejszych zakamarkach, bo tu się urodził, tu się dorobił i tu zamierzał umrzeć.

Knajpka jego, znajdująca się na skraju miasta, nie brała wielkiego udziału w tłoku politycznym. Jakkolwiek znajdowała się w sąsiedztwie powiatowego więzienia i na drodze wiodącej w kierunku cmentarza, posiadała swój specyficzny urok i nie była omijana przez naród z taką samą pieczołowitością jak kościół. Nie odstraszały zgorszonych bywawalców ekscentryczne napisy: „Dziś za gotówkę — jutro darmo!“ lub „Kredyt umarł — borg nie

żyje!“ Przechodzono wobec nich do porządku dziennego, jak wobec innego napisu z dziedziny higjeny społecznej: „Pluć tylko do spluwaczek!“ Nikt tu bowiem nie pluł nikomu do półmiska, w cudzą kaszą lub studnię, a pouczenie to było skierowane pod adresem przygodnych warszawiaków, plujących przedmówcy w twarz, w przechodniów przez okna tramwajów, w plecy szoferskie lub koński ogon.

Knajpa miała przeważnie gości stałych i pewnych, pijących na wesoło i upijających się na smutno. Przygodnych gości prowadziła droga z tamtego świata, t. j. z cmentarza, którzy nie śpiewali: „U drzwi Twoich...“, „Sezamie otwórz się...“ lub „Precz, precz smutek wszelki...“, gdyż zakład stał otwarty jak stodoła porządnego gospodarza, który żadnych szacherek nie uprawiał. Jedynie tych lub innych zachęcał dużo mówiący szyld, oznajmiający przechodniom, że jest to knajpa „Pod jeleniem“, a dwa olbrzymie rogi jelenie rozjaśniały smętne oblicze wędrowca z tamtego świata, który, przed chwilą rozstał się na wieki wieków z żoną, teściową lub bogatym wujkiem.

Staropolska gościnność panowała tu pod wodzą przemiłego gospodarza. Niech tylko jakikolwiek kondukt żałobny ukazał się na widnokręgu Abdery, już Walenty Fajtłapa ustawiał stoliki, wychodząc z założenia, że Bogu świeczka, a djabłu ogarek, gdy zaś na cmentarzu umilkło podzwonne, wychodził

na drogę i wymownemi gesty zapraszał wracających.

Trudno było się oprzeć. I nikt nie wie w czem tkwiła moc przyciągania, albowiem niektórzy, nawet gorliwi i mocni w wierze, raz zaszedłszy, nie ruszali się z za stołu lub z pod stołu częstokroć w przeciągu dni kilku.

Rozbawieni goście, sprawiający pogrzebową ucztę u Fajtłapy, twierdzili niezbicie, że gdyby Fajtłapa takich pociągających ruchów używał względem nieboszczyków wiezionych na cmentarz, niejeden rozbiłby wieko i wskoczył do knajpki na jednego z pieprzem lub kropelkami.

Czysta z białą główką, w zakresie tężyzny narodowej, odgrywała niepoślednią rolę, gdyż topiła, jak lód na wiosnę, wszelkie smutki i rozgoryczenia, a kto pokusił się choć raz łyknąć należycie białogłowej miał już drogę powrotną zamkniętą nazawsze. Tak przynajmniej rozumował Fajtłapa, jakkolwiek daleki był od wytwornego gentlemana Oskara Wilde, który na wiele lat przedtem ustalił, że jedynym sposobem uwolnienia się od pokusy jest ulec jej.

I oczywiście, rozumowanie takie nie pozbawione było zdrowego rozsądku. Walenty Fajtłapa, ten domorosły chłopski filozof, doskonale znał dusze ludzkie i wystarczyło mu spojrzeć w twarz niejednego, żeby określić z całą ścisłością nagą i chłoszczącą prawdę, kryjącą się częstokroć w najtajniejszych zwojach mózgu delikwenta.

Z wyrazem najwyszukańszej radości powitał Walenty Fajtłapa zaproszonych kompanów, zapraszając uprzejmemi gestami do zajęcia miejsc przy okrągłym stole, ustawionym w prawym kącie sali niemal przy samym bufecie. Zastawa stołu była doborowa i wyborowa, bo to święto było, psiakrew, a nie bachanalja!

Całe towarzystwo stawiło się punktualnie. Miejscowy aptekarz, Anastazy Pęcherzyk, uprawiający nielegalny handel kokainą i innemi narkotykami, stawił się w towarzystwie dwuch dziw kabaretowych, przybyłych specjalnie na tę uroczystość z Warszawy i wzbudzających od kilku dni nielada sensację na bruku abderskim. Mańka Kubeł, korpuletna brunetka, z rozpierającemi pończochy łydkami, była wprost pożerana oczyma przez skromniutkich abderytów, że nawet sam ks. prał. Lasociński, spotkawszy w drodze z plebanji do kościoła Wszystkich Świętych, nie mógł oderwać od niej oczu. Druga zaś diwa, Zośka Flak, była uosobieniem wysmukłej blondynki z utlenionemi włosami, przypominającemi wiecheć wymłóconej słomy, i wzbudzała sentymentalne uczucia u starszego pokolenia, ganiającego za nią, jak stado wilków za jagnięciem.

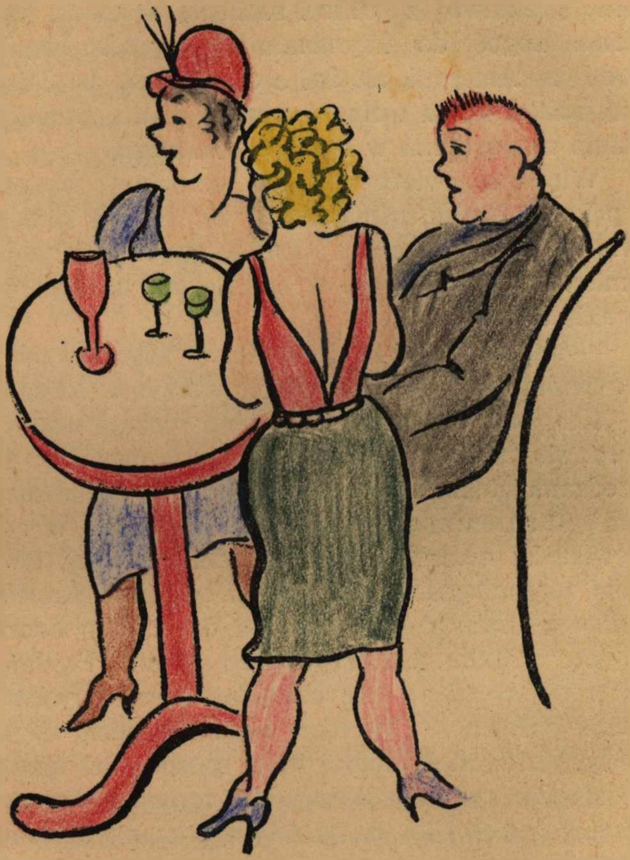
Przypuszczano powszechnie, że nie obejdzie się bez okolicznościowych mówek, od czego dziury w niebie nie będzie, a co nadaje zwykle apaszowsko-łajdackiemu towarzystwu charakter wzniosły i dystyngowany.

W ten sposób bal, zapowiadany od dość dawna, zyskiwał wiele na uroku. Nie było to bowiem ordynarne pijaństwo z okazji sadzenia drzewek, wsadzenia kogoś do kryminału lub pogrzebu bogatej ciotki z Ameryki, ale bal o charakterze familijno-przyjacielskim, za wolność naszą i waszą, poniekąd malum necessarium w obronie koniecznej.

Więc zachwiały się, jak sztandary, wysokie i pękate flachy, uśmiechnęły się, niczem kielichy kwiatów, różnokolorowe kieliszki, gruchnęły porozumiewawczo ustawione w baterję pod stołem różnorakie antałki.

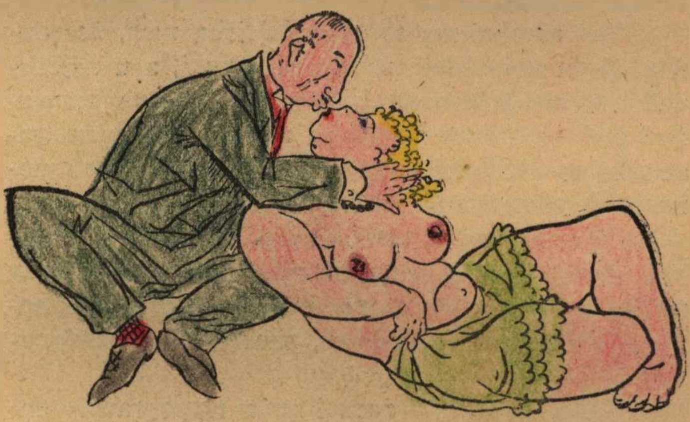
— Jak się bawić to się bawić! — znacząco przygadywali sobie zebrani współtowarzysze biesiady.

Kto nie uczęstniczył w tego rodzaju ucztach, temu się zdaje, że każda taka uczta musi być poprzedzana jakiemiś charakterystycznemi komplementami pod adresem gospodarza lub odwrotnie. W rzeczywistości rzecz się miała zupełnie inaczej, albowiem zebrani goście byli ludźmi bez jakichkolwiek etykietek towarzyskich, zdawali oni z tego dobrze sprawę, w jakim celu przybyli do spelunki Fajtłapy, nie tracili bezużytecznie czasu na ziewanie, obmawianie bliźnich i życzenie jeden drugiemu nagłej i niespodziewanej śmierci przy sposobności spożycia kawałka ryby lub śledzia. Bez ceremonji i wstępnych ceregieli, jak to się robi w porządnym domu, chwycili flachy w mocne i doświadczone ręce, jak djabeł duszę bogobojnej dewotki, i chciwie złopali bez miary i powściągliwości.



Aptekarz Anastazy Pęcherzyk w towarzystwie diw kabaretowych.

Narazie panowała przejmująca cisza, nikt bowiem nie zabierał głosu, gdyż był zajęty zabieraniem się do coraz nowych flach, z coraz innemi napojami. Zebrani goście byli przeciwnikami czczych i jałowych rozmów na trzeźwo, gdy z każdego niemal słowa, jak szydło z worka, wyłaziło kłamstwo. Zbytnie gadulstwo jest najniebezpieczniejszą i najszkodliwszą wadą ludzkości. Ludzie zaś powinni



Magda w objęciach Fajtłapy...

używać języka do bardziej celowych potrzeb, inaczej mówiąc, powinni więcej się szanować.

To też zgrane towarzystwo u Fajtłapy nic nie mówiło do siebie od dwóch godzin, a jedynie ruszało bez przerwy jadaczkami. Dopiero, kiedy ten lub ów odsapnął, tamten pasa popuścił, inny zaś po sali

rozejrzał się, jeden z bardziej elokwentnych, zwracając się w kierunku Fajtłapy, wykrztusił:

— No! to nalać!

— Aaaaa! — odpowiedział inny.

I znowu kubełki, zwane przez ironję kieliszkami, napełniły się i zakrążyły w powietrzu.

— Dobra jest! — znów rozpoczął gaduła.

— A tak! — odpalił sąsiad i sięgnął po nową butelkę alembikówki.

Ale alkohol ma tę czarodziejską moc, że rozwiązuje najbardziej zaplątane języki, a u najbardziej wykwalifikowanych kłamców można zauważyć pod wpływem wypitego alkoholu nieopanowane porywy szczerości, następuje bowiem w tych momentach odełgiwanie mocno załganej prawdy.

W głowach więc przezacnego towarzystwa zjawił się zpoczątku niewyraźny szum, zdradzający pierwsze objawy omroczenia świadomości, następnie powoli, w takt poloneza, zaczęły się rozwiązywać języki.

— No, to cóż? — zaczął znów niepoprawny gaduła.

— Trzeba wypić! — odezwał się tymrazem Fajtłapa, unosząc się z ławy.

Nieprawdą jest, że wódka gubi narody, albowiem dowiedzione jest, że zbliża nawet pojedyńczych ludzi. Czyż widział ktokolwiek na ulicy całujących się dwoje trzeźwych ludzi? Czyż słyszał ktokolwiek, żeby trzeźwa niewiasta nie nazwała sąsiadki lub przyjaciółki ladacznicą? Dawnoby djabli

wzięli różne narody, a nawet te, którym pić koran zabrania, gdyby nie dobrodziejstwa pijanych budżetów i inne nie omawiane w ekonomji okoliczności.

W imię tej nie obalonej prawdy pito u Fajtłapy naumor. A że niejeden mruk po wypiciu kilku litrów nabiera rezonu, czasem tkliwości, a nawet niejednokrotnie bezczelności, — nie dziwota: człowiek nie jest kamieniem! Inna sprawa, że korzystając ze sposobności niejeden przyoblecze skórę bydlęcia, co znowu nie było mu tak bardzo potrzebne, gdyż i bez tego wiadomo jest zazwyczaj z kim się ma przyjemność!

Towarzystwo u Fajtłapy składało się z tego rodzaju ludzi, którym się nic nie zarzuca. Że pili w przeciągu paru godzin, nie mówiąc do siebie niemal słowa, nie może być poczytane za wadę, lub gruboskórność, jakkolwiek utarło się zupełnie niesłuszne i krzywdzące przysłowie: „Piją jak szewcy!“ Pili, bo mieli mocne łby i wódeczności było poddostatkiem, reszta nie należy do rzeczy i nie warto nad tem zastanawiać się.

— Powiadasz, że trzeba wypić? — zniecierpliwił się znowu gaduła.

— Naturalnie! — odpowiedział niepytany.

Gdy w oczach wszystkich można było dostrzec iskrę bożą, jeden osobnik siedział jeszcze ciągle markotny i smutny: był to miejscowy rzeźbiarz, Michał Anioł Figurka, posiadający obok cmentarza zakład kamieniarski i narzekający wiecznie

na ciężkie czasy i małą frekwencję. Istotnie w tej dziedzinie od czasu wojny ponował tajemniczy zastój, a miejscowy magistrat wykazywał stałe zmniejszanie się śmiertelności: była to kwestja całkiem zrozumiała, albowiem, podczas wojny jeżeli ktoś nie był zabity na froncie, to zginął śmiercią głodową na własnych śmieciach, pozostali zaś ludzie byli jak z kamienia i nie wzięłaby ich cholera, tyfus, a nawet dżuma, jeżeli zaś od czasu do czasu ktoś niespodzianie umarł, to napewno śmiercią nienaturalną, albo po osiągnięciu maksymalnej ilości lat na uwiąd starczy. To też rzeźbiarz Figurka na ożywienie się potrzebował bardzo znacznej ilości alkoholu, poczem zaś w przystępie szczerości wymieniał nazwiska najpewniejszych swoich klijentów, dla których zawczasu upatrywał odpowiednie bryły, żeby we właściwym czasie przywalić niemi ich grobowce.

Sam Fajtłapa był w różowym humorze i dając folgę swemu językowi, zapytywał w kółko:

— Więc, mówicie, żeby nalać?

I towarzystwo, jak na komendę, nadstawiało wypróżnione kielichy, żeby nie ominąć ani jednej kolejki.

— Ależ ta banda chla, no, no! — odezwał się z sąsiedniego stolika wyrzucony z Klubu Urzędniczego, znany z niestosownych przypowieści, pielgrzym, popijający z czarnym razowcem piwo druciarskie.

— Panie! — powiada do siedzącego przy pobliskim stoliku Dr. Mydłka w towarzystwie Felki, — Od rana tu siedzę, naraziłem się na niepotrzebny koszt, wypiłem kilka kufli piwa, bo nie mogłem siedzieć bezczynnie, a ta hołota bez przerwy, pyska nie otwierając, żłopie i żłopie, a gdy który słowo rzeknie: To nalać! — i tyle. Panie drogi! Czy pan nie sądzi, że oni w przeciągu tych kilku godzin wleli do swych żołądków kilka beczek?

— Przesada, panie! — odpowiedział Dr. Mydłek, robiąc perskie oko do rozanielonej Felki.

— Panie! Panie! — upierał się przy swojem pielgrzym. — O! niech pan spojrzy: otwiera usta, pewno będzie mówił. Ciekawe, co on powie!

Tymczasem ów, który rzekomo miał mówić, zauważywszy, że czterem innym towarzyszom oczy z orbit wyłażą, że włosy stają im dęba, że świat wokół ich tańczy, głosem, przypominającym głos zawodowego wodzireja na sali tańca, zawołał do Fajtłapy:

— No... jakże... tego? Chciałem rzec:.. nalej!

Pielgrzym, moralista Abdery, wyrzucony z każdego środowiska za swe śmiałe powiedzonka, wyśmiewany przez wyrostków z powodu dziwacznych szat, wieczny tułacz po knajpach, wiecach i urzędach, nielubiany nawet przez okolicznych psów, — cierpiał, i dlatego żaden grymas nie zaigrał na jego uśmiechniętem obliczu. Ale dziś, wyjątkowo, wyszedł z roli pątnika, obserwował bachanalję, i kiedy przez cały dzień obijały się o jego uszy słowa „na-

lać"! — nie wytrzymał i parsknął prosto w nos Dr. Mydłka tak głośno, że obudził ogólne poruszenie na sali.

Dr. Mydłek, nie namyślając się długo, rozstrzaskał kufel na głowie pielgrzyma. W sali, mówiąc literacko, zrobił się rwetes. Mężowie zerwali się z miejsc. Zamilkł rozgdakany gramofon. Mignęła w powietrzu lampa: światło zgasło. Ktoś walnął antałkiem piwa w ścianę: bryznęło wokół piwo; ktoś jęknął: „Jezu!", był to niewątpliwie sam Fajtłapa, albowiem w ogólnym zamieszaniu przewrócono bufet z przekąskami.

Po przywróceniu do poprzedniego porządku sali i stwierdzeniu, że przybłęda zniknął jak kamfora, z najwyższym spokojem zajęto zagrożone placówki, zdecydowawszy zgóry bronić się do upadłego.

— Więc nalewać! — zakomenderował Fajtłapa głupkowatemu parobczakowi.

— Dobra nasza! — potwierdzili wesoło goście.

A gramofon w tym czasie wydzierał się całą siłą swojej tuby. Chwilami zniżał głos, skrzeczał, warczał, to znów wygrywał czule i żałośnie, przejmował mocą swych tonów i wyrazów najzatwardzialsze serca, obudzał żądzę i zmysły, podsuwał złe myśli i lubieżne pragnienia, wreszcie milkł, zdradzając ochrypłym głosem przedśmiertne rzężenie.

Publiczność zebrana na sali szalała. Tańczono do upadłego. Płeć piękna przechodziła z rąk do rąk, jak wytarty złoty polski. Panna Mańka Kubeł znalazła się w towarzystwie miejscowego powiatowego

weterynarza Alojzego Kozła. Jej nieodstępna towarzyszka Zośka Flak przyłączyła się do grupy marynarzy z kapitanem okrętu, który tegoż wieczoru zawinął do portu na Wiśle. Dr. Mydłek, którego stanowisko społeczne nie zezwalało na tany na drewnianej sali, czuł się często osamotniony, gdyż Felkę raz po raz ktoś wyciągał na salę i starał się usidłać w swoje sieci. Ale wracała, nie dała się namówić żółtodziobym facetom, pragnącym za wszelką cenę odbić ją Mydłkowi.

Splecione pary, przejęte wielkością swego posłannictwa, dreptały po sali z niebywałym temperamentem, ukazując wyuzdanej gawiedzi kościste lędźwie, obwisłe piersi, brudną bieliznę i barchanowe majtki. A wśród tego podniosłego nastroju, unosił się w powietrzu zapach potu, alembikówki, piwa i tanich perfum, pochodzących z oryginalnych flakonów najznakomitszych firm Coty'ego, Hobigant'a, Pinaud'a i Atkinson'a, dostarczanych przez Anastazego Pęcherzyka, właściciela apteki, będącego generalnym przedstawicielem warszawskich fabrykantów perfum zagranicznych.

Gdy knajpa „Pod Jeleniem" rozbrzmiewała bezeceństwami, jazgotem, jazzbandem, gdy niefrasobliwe wykwintnisie oddawały się zapamiętale w ramiona shimy, onestepów, cakewalków, charlestonów i tango, — Abdera już spała. Na ulicach było pusto. Tylko od czasu do czasu, jakaś zapóźniona para, która potrzebuje żaru, a nie światła księżyca, żeby ją rozniecić, przemykała się zaułkami, tłukąc

się po nocy, jak Marek po piekle, i nie mogąc znaleźć przytułku. Czasem przemknął się pod ścianami niewyraźny osobnik, który tej nocy coś zaryzykował i zmykał szczęśliwie gdzie pieprz rośnie, zanim pies wywiadowczy ugryzie go w łydkę, stwierdzając corpus delicti. A zresztą panowała conocna monotonność, przerywana chwilami melodyjnem wyciem psów, okrzykami nocnych stróżów, wydzierających się w niebogłosy, jak gdyby smażono ich żywcem na patelni, lub odzierano ze skóry.

Knajpka na skraju miasta święciła godnie uroczystą rocznicę. Siła ludzi przewaliła się od południa do późnej nocy. Popasali i flisacy z tęgiemi grdykami i marynarze pijący pod słowo boże i wykołaczkę całemi wiadrami, i urzędnicy dawnego regimu, którzy wpadli „na jednego“, a opróżnili litry, śmiejąc się w kułak, że „kazna“ bogata, i szwadron ułanów, mających tyle wspólnego z końmi, co ksiądz z celibatem, i tłum szarych robociarzy, dobijających sobotę, i olbrzymi odsetek bezrobotnych, ustanowiony przez Państwowy Urząd Pośrednictwa Pracy, zwanych poławiaczami pereł w Wiśle z powodu dziwnego zatrudnienia, wynalezionego przez Magistrat Warszawski, a polegającego na przewożeniu i przenoszeniu piasku wiślanego z jednego miejsca w inne i zpowrotem, i ćma młodych żonkosiów, przepijających z humorem posagi i noszących w zanadrzu formalne podstawy do ewentualnego rozwodu, i gromada chłopów, wracających po całorocznej spowiedzi, i garstka popisowych, udających przy flaszce

wódki zahartowanych w bojach żołnierzy, i z pół setki przemiłych żółtodziobów, wyrostków, uczniaków, subjektów i gazeciarzy, co, przed tygodniem odłączeni od piersi matczynej, udawali dzisiaj dorosłych przedstawicieli rodu męskiego, nie wyjmując papierosa z ust, a rąk z kieszeni, i kilkadziesiąt fertycznych dziewuszek, strzelających oczyma nakształt iskry lokomotywy, liczna wiązanka tajemniczych par ze zdrowym rozsądkiem i choremi organami, i armja włóczykijów, przybłędów, ludzi bez określonego zawodu, pochodzenia, wieku i miejsca zamieszkania, bez żadnych kwalifikacji i perspektyw na przyszłość, od których nawet miejscowy kryminał odwracał się z pogardą.

Naprzekór żądnym sensacji, bosym reporterom „Kurjerka", gotowym sfałszować poszczególne fragmenty wieczoru, niedziela dzisiejsza minęła jakoś spokojnie i poniedziałek zajrzał dyskretnie do knajpki.

Naprzekór miejscowemu kołu abstynentów, którym nerki i prawowite małżonki nie pozwalały zaglądać do butelki, dzisiejszy podwieczorek taneczny nie obfitował w gorszące sceny. Jeżeli ktoś z kimś zamknął się w alkowie, lub czyjaś niecierpliwa ręka zabłąkała się zdrawliwych sieciach misternych koronek, nie należy stąd wyprowadzać głupich wniosków, tembardziej, że ani jedna kropelka krwi nie splamiła tego wieczoru i nikomu nic złego nie stało się, a przeciwnie, może coś dobrego i miłego przy-

trafiło się, (mało to ludzi robi w koronkach, czerpiąc z tego źródła całkiem pokaźne zyski).

Prawda, Walenty Fajtłapa, budując świątynię Bacchusa „Pod Jeleniem“ nie miał zamiaru podnoszenia upadłych, miał bowiem zupełnie inną intencję i sądził, że zaraza, jak się uweźmie, to podniesie się sama. Ale musimy oddać sprawiedliwość, że zachowanie się zebranego towarzystwa było znacznie poprawniejsze, niż posłów niejednego parlamentu. Nie można bowiem przejmować się takim drobnym faktem, jak rozbicie kufla na głowie dziwaka, gdyż głowa została głową, a z kufla jeno szczątki. Wywrócenie zaś bufetu z taniemi przekąskami nie należy do tragedji i nie jest równoznaczne z wywróceniem kiszek lub języków.

Gdyby interes Fajtłapy zasługiwał na pogardę i przekleństwo do siódmego pokolenia, napewnoby Dr. Mydłek nie zaryglował się w alkowie z uroczą Felką, gdy ją wódka, sporządzona przez Fajtłapę za receptą aptekarza Anastazego Pęcherzyka, rozebrała nietylko z dobrej i nieprzymuszonej woli, ale nawet z sukni i zlekka przykrochmalonych reform.

Na temat owej alkowy krążyły najdziwaczniejsze legendy i niejedną w Abderze wytykano palcami, że rzekomo w tym przybytku przestąpiła rubikon. Ale złym ludziom, o zaszarganych, jak wiechcie kominiarzy, sumieniach, wydaje się zawsze, że jeżeli porządna dziewczyna nie jest w stanie ukryć się z parobczakiem w stodole, to nie można jej ukryć się przed oczyma natrętów w innym lokalu.

Zaiste, złośliwość ludzka nie ma granic, a języki ludzkie są jak jadowite żądła, których, jeżeli nie można wyciąć z korzeniami, należy unikać jak głodu i morowego powietrza. Dobrze też robią młodzi, że zaszywają się w gąszczach zagajników, lub w kabinach okrętów, kursujących na linji Toruń — Warszawa — Kazimierz. Sprytni kapitanowie okrętów, prujących mielizny i fale Wisły, znają niemal wszystkich pasażerów i pasażerki, odbywające od czasu do czasu podróż poślubną w coraz innem skojarzeniu. A nie jeden kapitan, który był świadkiem wielu scen, i nie jeden legjon dobrze rozwiniętych dziewcząt wywiózł do Argentyny, nie dziwował się, nie załamywał rąk, nie kiwał palcem w bucie, nie zamyślał się dłubiąc w nosie, tylko wspomagał i ułatwiał tego rodzaju podróże poślubne, wychodząc z założenia, że to leży w interesie bezpieczeństwa zagrożonego budżetu Marynarki Wiślanej. Był to bowiem człowiek światowy i bywały, które ze swego wysokiego stanowiska na pokładzie okrętu miał możność w przeciągu całego swego żywota przyjrzeć się wielu powiatom, poznać zwyczaje i narowy przybrzeżnych mieszkańców, poczynając od Młocin aż hen — z biegiem rzeki — do miasta Abdery, do tych bowiem punktów ograniczał się przeważnie zasięg pasażerski.

Ale, ale, zupełnie niechcący odbiegliśmy od właściwego przedmiotu, zwłaszcza w miejscu, z którego rozpościerał się przecudny widok na sprawy niewieście, albowiem kwestja płci od wiek wieków

zajmuje przodującą rolę nietylko w życiu codziennem, ale także w każdem naszem zamierzeniu, wysiłku i wyczynie. Może dlatego Abdera słynęła z siedliska sekt religijnych, a dowcipni apostołowie nowych dogmatów religijnych wychodzili z ciekawego założenia pierwiastków erotycznych, usiłując zaszczepić między nowymi swymi wyznawcami nową instytucję ślubów mistycznych, przypominających pewnego rodzaju odmianę małżeństw na próbę. A gdy się zagłębimy w tego rodzaju kulisy klasztorne i przyjrzymy się z bezstronnością człowieka zdrowego płciowo i na umyśle, to z przerażenia, nawet człowiekowi z wyższem wykształceniem, staną włosy dęba na głowie, chyba, że omawiana dziedzina spraw płciowych, która człowiekowi wiele soków zabiera, przedwcześnie pozbawiła go włosów na głowie.

To też plotka w Abderze znajdowała posłuch i panoszyła się od rana do nocy. Z najwyuzdańszym spokojem mówiono o rzeczach, na których wspomnienie rumieniły się dachy domów i szyldy niektórych sklepów aptecznych, dostarczających potrzebującym najprzeróżniejszych specyfików, pozostających w konflikcie z kodeksem karnym. Możnaby było przypuszczać, że tego rodzaju nieobliczalne plotki stawały się impulsem do wybijania zębów, skandali rodzinnych lub innych hec z dziedziny kunsztu miłosnego, że zachodzi zgóry ukartowana zmowa z dentystami, adwokatami i policją, żerującymi na podobnych ekscesach. Gdzietam! Ludek

był spokojny i kończyło się wszystko na wzajemnem obgadywaniu się, lub na wybiciu okien u oszczercy. Patrzano bowiem trzeźwo na te niezdrowe objawy rozkiełzania jęzorów w myśl znanego powiedzonka naszych parlamentarnych mydłków: jest źle, lecz będzie jeszcze gorzej!

Stare baby, przedpotopowe wygi, którym pozostał w spuściznie po wesoło spędzonej młodości zaledwie jeden ząb trzonowy i przedsmak astralnego romansu w zaświatach, nie pozostawiały suchej nitki na nikim. Biedne młode dziewczęta, sezonowe mężatki, dożywotnie rozwódki i okolicznościowe wdowy były przedmiotem bezustannych napaści. Jedną posądzano o romans z kominiarzem. Inna rzekomo powiła bliźnięta z krowim ogonem. Tamta już była w dziewiątym miesiącu i jakoś nic... Odsądzano wtedy od czci i wiary miejscową akuszerkę, kobietę zresztą bardzo uczciwą, wywodzącą się ze znanej i szanowanej w całem mieście rzeźnickiej rodziny Urwipołciów. A nieszczęśliwe żony urzędników i niższych dygnitarzy, pobierających skromne uposażenia, wystarczające na jedną jedyną kolację dla przyzwoitego człowieka, nie mającego zwyczaju odchodzić z knajpki z pustym żołądkiem. Te nieszczęśliwe kobiety nie mogły sobie kupić nowej pary jedwabnych pończoch lub sukni balowej ze złotej lamy, żeby falanga złych języków nie wylała na nie całych kubłów pomyj, doszukując się nielegalnego pochodzenia rzekomego zbytku i luksusu, opatentowanego przez Urząd Celny i Urząd Skarbowy

podatkami od zbytku. Wskutek czego, nie jedna musiała chodzić w cerowanych prawdziwym jedwabiem pończochach, w nicowanej na dziesiątą stronę sukni i przyoblekać swe boskie alabastrowe ciałko w płócienne koszulki i barchanowe majtasy.

Albo, chociażby taka Felka Kalosz, dziewczyna ognista, obdarzona przez naturę niepowszędniemi wdziękami i szalonym temperamentem, miała marnować po próżnicy sposobność miłego tête-á-tête z Dr. Mydłkiem, człowiekiem o wysokiej kulturze i wszechstronnych kwalifikacjach w dziedzinie wolnej i nieprzymuszonej miłości. Ale ludziska, nie mogąc dopatrzyć się głęboko zakorzenionego i ukrytego grzechu w córce, sięgają wstecz, doszukując się grzechów w ducha Bogu winnym ojcu, który, spędziwszy kilkanaście lat na Syberji jeszcze za ruska, bogobojnie strawił swój żywot na 6-ciomorgowem gospodarstwie. Ale cóż z tego, że był zesłany? Mało to przestępców kryminalnych zakrywa się bezwstydną szatką polityczną i wypływa zczasem na bohaterów? Mało to ludzi niewinnych czernieje w kryminale, że sędzia był głupi, jak buty Salomona, i nie poznał się na sprawie, lub skończył w domu obłąkanych?

— Ach, ta prowincja, prowincja! — żaliła się Felka w alkowie Fajtłapy, przeglądając się w upstrzonem przez muchy lustrze. — Co też powiedzą abderyci z pod ciemnej gwiazdy, gdy dowiedzą się o moim romansie z panem? — pytała się Mydłka,

układając się z wyszukaną gracją w nieznaną jeszcze Mydłkowi pozycję.

Gdyby to była dziewczyna z gminu, załatwiłaby się z Mydłkiem szybko, po familijnemu, jak Pan Bóg przykazał. Ale Felka znała się na wytwornych manierach i we wszystkie swoje czyny wkładała nieocenione pierwiastki inteligencji, co wyróżniało ją w tłoku ordynarnych i nieokrzesanych kobiet z półświatka.

A gdy Dr. Mydłek zainteresował się bardziej jej wyrafinowaną szkołą, której udzielali najprzedniejsi profesorowie z miasta i okolicy, wskoczyła zręcznie na stół i zaczęła na nim wytańcowywać sztajerka. Odrzuciła splot warkoczy, oplatających jej łabędzią szyję, wyciągnęła ramiona z przyległościami w kierunku oniemiałego z czarującego widoku Dr. Mydłka, zadygotała powolnym ruchem bioder i po odtańczeniu opętańczego tańca rzuciła się na szyję swego partnera.

Dr. Mydłek jęknął, oczy zaszły mu krwią, ale było mu dobrze i przyjemnie.

— No, to nalać! — dobiegł ich tubalny głos Fajtłapy.

Naleli również. I zapomnieli o świecie całym. A gdy świt zaczął dobierać się do nocnej spelunki, chyłkiem opuścili urocze gniazdeczko, do którego dobiegał jeszcze ochrypły głos pijanych:

— No, to nalać!

Na sali było istne pobojowisko. Jak sztandary pokonanych zwycięzców, leżały pod stołem wypróż-

nione i niedopite antałki i flachy. Stosy rybich głów, kości, ogryzków, odłamków, odpadków, okruszyn i niedopałków świadczyły niezbicie, że stoczono tu walną bitwę.

— Za naszą wolność i waszą! — wzniósł uroczysty toast Walenty Fajtłapa, puszczając na gramofonie wściekłego obertasa.

— Hurra! — odpowiedzieli z pod stołu pijani ze szczęścia zwycięscy.

— Więc nalać! — odpowiedział wieczny malkontent, który nie czuł pragnienia dopiero wtedy, gdy wódka zapalała mu się w gardle.

Nalano. Reduta opustoszała. Kilku bowiem leżało pod stołem. Inni, rozkrzyżowawszy ręce, zażywali błotnych kąpieli na dworze obok chlewników, zamieszkałych przez pieczołowicie strzeżone maciorki i tuczone warchlaki. Drobna garstka pod dowództwem gospodarza była zdecydowana bronić się do ostatka.

Nadobitek, wróciły z głębokich wywiadów, uważane już dawno za przepadłe bez wieści i sakramentów, dwie córy marnotrawne Olimpu, Mańka Kubeł i Zośka Flak, wnosząc w małe i zgrane towarzystwo nadzieję powrotu dawno minionych zapałów. Zadygotały przewidująco wymokłe w spirytusie i otłuszczone serca, unosząc rozanieloną wyobraźnię stetryczałych mężów stanu w świat niedoścignionych możliwości, wspominanych w chwilach błogiej podświadomości, nie dającej się jednak przyoblec w kształty bojowego napięcia.

Gdy świt naprawdę zaczął się wdzierać do spelunki, dwóch, mogących jeszcze ustać na nogach, mężów stanu, w towarzystwie swych dam, zabrawszy antałki i butelki, przeniosło się do opuszczonej dyskretnie przez Dr. Mydłka alkowy, żeby rozgościć się wygodniej na przytulnych i ukojonych kozetkach, mogących przyświadczyć nie jedną zdradę stanu małżeńskiego lub zbrodnię nad płcią piękną. Osierocony Fajtłapa przyjrzał się w lustrze, obejrzał z politowaniem straszne pobojowisko, leżące aż do południa bez życia i przytomności sponiewierane i zaplute ludzkie cielska, pokiwał smętnie palcem w nowym bucie, który mu troszkę doskwierał, że to ciało od nadmiernego wyszynku rozpuchło i nabrzmiało, splunął w stojącą dzieżę i mruknął do siebie:

— No, to nalać!

Wypił. Zaryglował drzwi od ulicy. I udał się do własnych apartamentów na zgóry upatrzone pozycje.

W komorze było jeszcze ludno: jedna z dziewek, rudowłosa Magda, szczerzyła bez pamięci i świadków zęby do ogłupiałego parobczaka, który nalegał, żeby wstała, bo... słońce wschodzi.

Magda, pod wrażeniem dziwnych snów, przekomarzała się z parobczakiem, wysuwała z pod pierzyny grube łydki lub obnażała wielką jak dynia pierś, udając dość wyuzdanie poszukiwanie zagubionego w betach szkaplerza.

— Pocałuj, to wstanę! — szydziła z dryblasa, rumieniącego się po same uszy na widok takich dewocyj.

I słusznie, albowiem nadchodził, zataczając się na wszystkie strony świata, jej pan i władca, podśpiewując znaną z płyt gramofonowych piosenkę:
— „Pani dziś jest bez koszulki, słońce mnie zdradziło to...!“

Parobczak znikł jak kamfora, a ciężkie ciało Fajtłapy zwaliło się na łóżko obok Magdy...

Zdala dochodził rechot żab, odmawiających swoje poranne pacierze w obliczu wschodzącego słońca. Beknęło w oborze młode cielę, nie umiejące cenić boskiego czasu, przeznaczonego na spoczynek. Zarżał w stajni podochocony ogier. Zadygotały w drgawkach konwulsyjnych spoczywające na podłodze cielska ludzkie, przypominające ową odwróconą teorję Darwina, że bydlę i małpa pochodzą od człowieka.

Magda ściągnęła buty Fajtłapie, rozebrała go z nowego przyodziewku, przykryła zmęczone ciało derką i zasnęła snem kamiennym.

Fajtłapa coś mamrotał, przewracał się, rozpychał pierzynę, a gdy otworzył zalane alkoholem oczy, ujrzał obok siebie jędrne ciało Magdy, ściągnął z niej silnie w pasie związaną kieckę, zsunął koszulę i oczom jego przedstawił się obraz chłopskiej Djany, dziewki jak rydz, pełnej wdzięków nieokreślonych i nienazwanych, przeszywających naskroś mózg i szpik, zaciemniających rozum i rozsądek,

wykluczających zdolność panowania nad sobą i swą wolą.

Dopadł jej ciała. Chwycił wpół, przegiął ją całą w swoich objęciach, zacisnął usta, stłumił oddech, i naprężył się wszystkiemi fibrami i mięśniami całego systemu fizjologicznego. Pragnął, może pragnął raz... ostatni!... Obudziły się na chwilę uśpione zdawna wary krwi, zabiły silniej tętna, nabrzmiały krwią wzburzone arterje, lecz otłuszczone serce Fajtłapy nie wytrzymało napięcia: pękło w chwili, gdy miał osiągnąć najwyższą rozkosz życia, osiągnąć poraz ostatni...

DRAMAT W CZERWONEJ WILLI.

Jednym z najczarowniejszych zakątków Abdery była „Czerwona Willa“.

Historja tej willi jest bardzo ciekawa i pouczająca. W dziejowym okresie wędrówki ludów, kiedy na terytorjum Państwa Polskiego rozgrywały się zapasy wojenne o śmierć i życie miljonów ludzi, pochodzących z najrozmaitszych zakątków świata, kiedy granice stały otworem dla całych armij nieprzyjacielskich, maszerujących wszerz i wzdłuż, względnie zasilających swemi kośćmi piaszczyste pola i łany, kiedy Ziemia Polska drżała w posadach od rozbrzmiewających bezustanku ryków armat, od ciężkiej przemocy najeźdźców i zduszonej za gardło ludności, — przybył z dalekiej zamorskiej krainy leciwy gentleman, Krzysztof Sobota.

Nie przybył sam, z kijaszkiem w ręku i tłomokiem przewieszonym przez ramię, takich bowiem w tym czasie przywykło się widywać pielgrzymów, zaglądających cichcem do Abdery, lub przemykających się na skraju miasta. Przybył z Gdańska luk-

susowym samochodem, przywożąc z sobą żonę Janinę i dwuletniego Kubusia, pozatem grube opancerzone walizy, których zawartość nie była nikomu bliżej znana.

„Hotel Polski“, w którym przejściowo zamieszkał, wydał mu się obskurną dziurą, pozbawioną najprymitywniejszych zdobyczy cywilizacji nie mógł przeto długo korzystać z jego gościnności i za radą miejscowego rzeźbiarza Michała Anioła Figurki, wybudował „Czerwoną Willę“ z prawdziwej czerwonej cegły, wypalonej w miejscowej cegielni na specjalne zamówienie.

W tej willi zamieszkał ze swą młodą żoną i dzieckiem oraz cennemi walizami.

Niebawem z za oceanu nadeszły na miejscowy bank wielotysięczne przekazy w efektywnych dolarach Stanów Zjednoczonych. Nasz gentleman, Krzysztof Sobota, który swojem zachowaniem zdradzał pewne braki w obejściu towarzyskiem, zapragnął wstąpić w szranki miejscowego ziemiaństwa i nabył spory majątek ziemski, znany w całej okolicy z uprawiania buraków i hodowli bydła.

Żona jego, typowa amerykanka, pochodząca z zamożniejszej rodziny polskiej, dość już dawno osiadłej w Stanach Zjednoczonych, była kobietą towarzyską i chętnie garnęła się do miejscowej elity, usiłując gościnnemi przyjęciami zaskarbić jej względy i szacunek.

Nie była to sprawa zbyt trudna: pieniądz ma niezastąpioną moc przyciągania, wobec której siła magnesu jest iluzorycznem pojęciem.

Ale w sennem poszumie miłosnych dreszczy, przelotnych słówek, niedomówień i dyskretnych uścisków, szybko zrodził się trójkąt. Nie był to jednak zwyczajny ordynarny trójkąt, gdzie ktoś trzeci dybie na cnotę naiwnego małżonka lub wyrafinowanej zdrajczyni. Było to coś osobliwego, co nie da się ująć w kilku słowach.

Bohaterem tego trójkątu był Mirosław Wszędobylski. On to pierwszy otworzył pani Janinie oczy i pokazał w różowej perspektywie świat złudzeń i majaków. Nie sztuka żyć, posiadać setki tysięcy (a może miljony) dolarów, ale sztuka *umieć* żyć! Taka Abdera, ze swemi śmierdzącemi i nieskanalizowanemi ulicami, nie powinna być siedzibą pięknej pani. Paryż! Ach, ten Paryż! Wenecja, Nicea, zaczarowane Włochy, zaklęta Korsyka, boska Madera!

A w pewnym momencie, gdy przenieśli się oboje myślą nad modre brzegi Nilu, gdy zobaczyli na chwilę majestatyczne budowle Kairu i odetchnęli świeżem morskiem powietrzem na transatlantyckim statku, Mirosław Wszędobylski zaczął mówić o miłości, o boskiej i nadzmysłowej rozkoszy, jakiej może zaznać w jego objęciach, w których nie spoczęła nigdy żadna kobieta, a które zachował w całej swej krasie i dziewiczości dla tej, co będzie jego wybraną i prawowitą małżonką!

Spuścił oczy. Srebrzysta łezka błysnęła w jego oku, jak gdyby na znak skruchy z powodu dawno zapomnianych miłostek i awantur, z których słynął w Abderze i całej okolicy. Cudna, wypieszczona rączka pani Janiny ścisnęła jego rękę: był to znak, że przystaje na wszystko.

Mirosław Wszędobylski nie próżnował. Nic tak nie zbliża i nie ułatwia kontaktu, jak wspólność i zdolność godzenia sprzecznych interesów. Szybko przeniknął wartość moralną i fizyczną Krzysztofa Soboty. Nie była to natura skomplikowana, którą huragan życia miotał na wszystkie strony, wysubtelniając duszę, a wykoszlawiając zmysły. Był takim, jakim się urodził, z kamienia i drewna!

To też Krzysztofa Sobotę podejść było łatwo: trzeba tylko było znaleźć jego najsłabszą strunkę. Mirosław Wszędobylski, przyjrzawszy się młodej i uroczej pani Janinie, odrazu trafną postawił djagnozę: musi być katem na piękne i młode dziewczęta!

Nie było nic prostszego, jak podsunąć mu sprytną i wyrafinowaną kobietkę: los padł na Felkę.

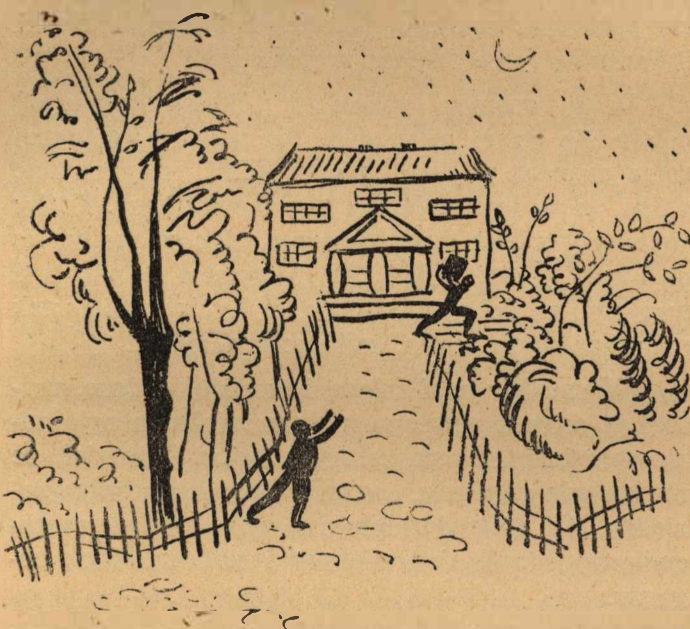
Cały szereg zręcznie zainscenizowanych wypadków zwrócił uwagę Krzysztofa Soboty na młodą i ponętną osóbkę.

Nie trzeba było długo czekać. Krzysztof Sobota w oględnej i poufnej formie zwierzył się Mirosławowi ze swoich trosk i obaw.

— Jestem wprost niespokojny o siebie! Ta bestja wlazła mi w mózg i nie daje przyjść do siebie.

— To głupstwo: żeby tylko nie wlazła do kieszeni!

— Nato jestem zawsze przygotowany. Cóż, zresztą, znaczy kilka tysięcy dolarów za rozkosz posiadania takiej samiczki?



Nagle Sobota ujrzał uciekającego z walizką człowieka...

Mirosław Wszędobylski uśmiechnął się pod wąsem:

— Postaram się pana z nią zapoznać!

— Ach, panie, będę stokrotnie zobowiązany!
Niebawem, w miejscowem kinie, do którego nawet pies z kulawą nogą nie zaglądał, spotkali niemal przypadkowo wystrojoną Felkę. Była to jedna z chwil, których dawniej Sobota nie miał sposobności przeżyć, albowiem życie przechodzi koło nas nie pokazując swojego istotnego oblicza, a blaski i plamy są tylko dziełem wypadku.

W wytwornym gabinecie „Hotelu Polskiego" polały się strugi szampana. Na małej wydeptanej sofce całował pulchne rączki Felki, zapominając o tem, że w domu czeka z niepokojem żona. Końby się uśmiał z tych czułości, a człowiek spłakałby się do utraty przytomności. Ale Krzysztof Sobota brał wszystko za dobrą monetę, bo w życiu swojem tak mało zaznał szczęścia, zwłaszcza u kobiet.

Wprawdzie miał młodą i przystojną żonę, wybrał ją sobie z pewnego matrymonjalnego ogłoszenia w jednem z pism amerykańskich. Wiedział, że nie kochała go nigdy, a wyszła zamąż dla jego pieniędzy, dla miljonów dolarów, które posiadł w zagadkowy sposób, jak większość nowoczesnych bogaczy.

Przypomniało mu się obejście Janiny w noc poślubną, gdy w przeciągu kilku godzin musiał błagać pode drzwiami, żeby go wpuściła do swego pokoju. A potem... istne komedje... Nie poruszał jednak nigdy tej drażliwej sprawy, bał się bowiem dowiedzieć rzeczy gorszej, niż się spodziewał.

A Felka! Rozkoszna dziewczyna! Gdy po kilku platonicznych randkach, spotkali się pewnego razu w gościnnych apartamentach Mirosława Wszędobylskiego, wynajętych specjalnie na ten cel za pieniądze Soboty, Krzysztof był wniebowzięty.

Rozkoszne ciałko Felki, przykryte ażurem jedwabnych pończoch i cienkiej crepe-de-chinowej koszulki, wstrząsnęło nim i zawładnęło bezpowrotnie. Porównywał jej krępą kibić ze smukłą sylwetką swej żony, obmacywał jej twarde jak rzepa i napęczniałe piersi tak, jak obmacuje hurtowy kupiec dynie lub kawony, chcąc się przekonać, czy wewnątrz nie są puste.

Wtedy zrozumiał wyższość Felki nad wszystkie inne kobiety, jakie kiedykolwiek dzięki zrządzeniom boskim i ludzkim posiadł. Ubzdurał sobie, że musi z Felką koniecznie ożenić się. I gdyby Felka była cokolwiek powściągliwsza w swych aspiracjach na metresę miljonera, okręciłaby go około małego palca. Ale dyrektywy Mirosława Wszędobylskiego brzmiały inaczej: musiała do nich stosować się we wszystkich szczegółach i detalach.

Zainscenizowała niebywałą scenę: rzuciła mu się w ramiona i oddała się jak pierwsza lepsza koza, zalewając się łzami. Musiał ją otulać i uciszać, błagać o przebaczenie za ten grzech pierworodny z niezaprzeczalnemi dowodami jej dziwiczej niewinności.

Zapomniał o świecie całym, albowiem kobieta jest tą nirwaną, na której łonie zapomina się o wła-

snej egzystencji. Apartamenty Mirosława Wszędobylskiego stały się rajem, gdzie na podobieństwo Adama i Ewy spędzali długie godziny beztroskiej miłości, dogadzając sobie w miarę sił i bożej woli.

A gdy późnym wieczorem wracał do domu, w sypialni pani Janiny gasło światło i na ścieżce wiodącej ku Wiśle słychać było obce kroki. Ale żadna myśl zdradziecka nie zabłąkała się w jego mózgu, jakkolwiek dobrze mu było znane przysłowie, że mąż i żona dowiadują się ostatni, jednakże nie miał najmniejszych powodów do podejrzeń, bo czyż był ktokolwiek w Abderze, ktoby dorównał mu majątkiem i ilością wolnej gotówki w efektywnych dolarach? Gdyby mu nawet kto napomknął o tem, uśmiałby się tylko z intryganta, pewien był bowiem zawsze nietylko siebie, ale i żony.

Wślizgiwał się do sypialni żony, zapalał światło, leżała jeszcze lekko zarumieniona od przeżytych wzruszeń w objęciach słodkoustego Mirosława, który całował aż ciarki szły po skórze, aż dotykał niemal podniebienia i języka, aż wgryzał się w usta i dziąsła. W Ameryce nigdy nie spotykała takich gorących i namiętnych ludzi. Był to prawdziwy stuprocentowy mężczyzna. Odsuwała lekko ciężkie ciało Krzysztofa, który przysiadł na łóżku by porównać swą prawowitą małżonkę z okazem piękna i urody boskiej Felki. Wydawał się jej obleśny i wstrętny, a gdy nakłaniał się ku niej, przykrywała twarz kołdrą, obawiając się, że ją pocałuje. Ale próżne jej były obawy: wracał syt pieszczot i po-

całunków, wyciskanych na jego rozlanej twarzy bez rachunku i wyczucia istotnej ich wartości. Kilkadziesiąt więcej lub mniej nic nie zaszkodzi. Niech się staruszek nacieszy, skoro ma okazję i pieniądze. Była to gra na zdewaluowaną walutę, za taką bowiem uważała Felka swoją miłość ku Krzysztofowi.

A gdy w jakiś czas pani Janina przekonała się, że mąż ją zaniedbuje, była przekonana, że nastąpiła nieunikniona niemoc płciowa, połączona z uwiądem starczym: machnęła wtedy na wszystko ręką, albowiem odtąd miała rękę wolną i bez żadnych skrupułów mogła pójść własną drogą, gdyż mąż już nie był mężem w ścisłem tego słowa znaczeniu, a tylko ciężkim i uprzykrzającym się meblem domowym.

I gdyby nawet dowiedziała się o owych awanturkach Krzysztofa, nie bolałaby nad tem, nie zalewałaby się gorzkiemi łzami, lecz cieszyłaby się, że znalazł na schyłku lat przedmiot niewinnej rozrywki, bo tam, gdzie wykluczony jest naturalny stosunek fizjologiczny, niema powodu do zazdrości, a wchodząca w grę kobieta jest tylko filigranową zabawką w rękach mężczyzny. Kobieta bowiem, zaślepiona w swem macierzyńskiem posłannictwie, nie zdołała wyzwolić się z przyziemnego instynktu samczego, w którym dopatruje się punktu wyjścia dla wszystkich problemów życiowych. Jest wielka prawda, którą nie każdy dostrzega, że uduchowienie i sentymentalizm kobiet wypływa przeważnie

z uśpionej lub nieuświadomionej zmysłowości. Gdy mężczyzna atakuje, kobieta buja w obłokach, marząc o boskiej nadziemskiej miłości, spowitej w pięciolistnych pączkach szczęścia i spiętej klamerkami platonizmu, gdy zaś mężczyzna zaczyna się roztkliwiać na tematy zapożyczone z pamiętników starej dewotki, kobieta zdobywa się na jedyne powiedzenie, niegodne ust kobiety, a które w narzeczu codziennem brzmi: mazgaj!

Krzysztof Sobota w pojęciu jego prawowitej małżonki był zdawiendawna przesądzonym mazgajem. Godziła ten wyraz nietylko z jego kwalifikacjami na małżonka, ale i z wyglądem zewnętrznym. Kilka włosków, jakie mu jeszcze zostały z dawnej bujnej czupryny, stanowiły bezkształtny wiecheć, nadający się do rozmaitych celów, ale nie do upiększenia obszernej łysiny, pociętej długiemi napęczniałemi niebieskiemi żyłami, wśród których umieściły się pagórki i guzy podejrzanego pochodzenia. Jakże innym wydawał się w tym samym czasie Mirosław Wszędobylski z wykwintnie rozczesanym przedziałem, wypomadowaną i przylizaną główką, z podstrzyżonemi wąsikami i zlekka przyczernionemi brwiami. To były dwa odmienne światy, dwa bieguny, z których jeden już dawno skapcaniał, a drugi buchał płomiennym żarem, gotowym sparzyć każdą napotkaną na drodze przeszkodę.

Nie miała jednak pani Janina słuszności: wprawdzie wiek przytłoczył pana Krzysztofa, ale nie zniszczył jego bogactw naturalnych. Że skapcaniał,

zaniedbywał się, to może wina jej, nie jego, albowiem kobieta powinna w każdem stadjum swego małżeństwa odgrywać rolę narzeczonej, a w najgorszym wypadku — kochanki, gdyż w ten sposób zmusi mężczyznę do czujności i zabiegów około swojej osoby, żeby być zawsze w pogotowiu do odparcia nieprzewidzianych zakusów.

Stara, jak świat, prawda spoczęła w domowym lamusie. Nagie ciało małżonki, wystawione w dzień i noc na widok ciekawych oczu, nie zawsze odpowiednio nastawionych do podziwiania kobiecych wdzięków, spowszedniało zczasem, a boski fluid, łączący dwoje ciał niedostrzegalnym ogniwem, spalił się i przestał wywierać swój czarodziejski skutek.

A im bliżej byli siebie, im w głębsze tajniki zaglądały ich oczy, tembardziej oddalali się od siebie, stawali sobie obcy, nie rozumieli się, a może nawet nienawidzili.

Ten rozdźwięk duchowy podobny był do owych stanów, jakie stwarzają zazwyczaj łatki teściowych, przypinane zręcznie znienawidzonej osobie zięcia. Akcja prowadona systematycznie i uporczywie dopina zwykle celu. Doświadczona hetera, która zęby zjadła na wycieraniu zagajników i kawalerskich kominków, umie, jak nikt inny, stworzyć całą sieć niedostrzegalnych intryg, opartych na imaginacji i przypuszczeniach, i otworzyć córce oczy na rzeczy, które nie przeszły nawet przez umysł naiwnego małżonka, zapatrzonego, jak w obraz, w cielęce oczy swej połowicy, podejrzewającej go, ducha Bo-

gu winnego, o zdradę na każdym kroku ze wszystkiemi znanemi i nieznanemi kobietami.

A jeśli, nie daj Boże, ubzdra się takiej osobie szukać w zięciu wad i przywar, niech lepiej biedaczyna zawczasu utopi się w przydrożnym stawie lub obwiesi się na strychu własnego domu. Albowiem mężczyzna, zbudowany jak Apollo, zostanie koślawym grzmotem, wymoczkiem, pokraką, a przy zastosowaniu okoliczności łagodzących niemrawym niedźwiedziem. Dobra i kapitały, hipoteki i odsetki, z których rozrzutna ręka małżonki będzie skwapliwie czerpała dochody, złośliwy jęzor teściowej przeniesie na księżyc, lub jeszcze dalej, o ile lotność jej umysłu dosięgnie owych astronomicznych przestrzeni.

Nie będziemy dłużej zastanawiali się nad dobrodziejstwem instytucji teściowych, gdyż teściowa Krzysztofa Soboty, dzięki szczególnym zrządzeniom boskim i ludzkim, opuściła ten padół ziemski przed laty ku chwale boskiej i na pożytek ludzki. Możemy tylko w tem miejscu wyrazić najwyższe ubolewanie, że tego rodzaju wypadki przedwczesnej śmierci teściowych zdarzają się raz na sto lat i że ich długi żywot jak gdyby zawarowany był przez prawo kanoniczne w celu poddawania ogniowym próbom sakramentu małżeństwa i dogmatu nierozerwalności tegoż.

W ten sposób żyli obok siebie nie przeszkadzając sobie wzajemnie. Wprawdzie usiłowali zachować pozory i utrzymać w tajemnicy szczegóły swego

podwójnego żywota, nie domyślając się nawet jak daleko każda ze stron była już zaangażowana.



Felka — rozkoszna dziewczyna oczekuje na Sobotę...

Zczasem jednak zapały pana Krzysztofa do Felki zaczęły gwałtownie ostygać. Zaczęło się to od

owego fatalnego wyjazdu do Warszawy, gdzie Krzysztof zapoznał w jednym z kabaretów wytrenowaną we wszystkich sposobach baletniczkę.

Była to bardzo miła i uczciwa osoba która tańczyła w kabarecie dla sztuki, nie zaś dla pieniędzy, gdyż jej za owe roznamiętniające wibracje na scenie nie płacono z tego prostego powodu, że kabaret zmieniał właścicieli przed upływem miesiąca, a kasę zabierał magistrat za stale zalegające podatki.

Panna Iza Ględzianka przychodziła codziennie do kabaretu w towarzystwie swojej rodzonej matki. W wyuzdanej Warszawie tego rodzaju przyzwoitka nabrała zczasem specjalnego posmaku. Nie marnowała bowiem czasu napróżno. Jeżeli nie otrzymywała od partnera boskiej córuchny skomplikowanych zleceń co do dalszego spędzenia nocy, to w każdym razie troskliwie inkasowała pieniądze, dbała o higjenę, należyty dobór trunków, przekąsek i innych nieprzewidzianych dodatków w postaci cennych pamiątek, które z zadziwiającą wprawą umiała podsuwać przygodnym towarzyszom uczt artystycznych w zamkniętem gronie i gabinecie, do którego dostęp był umożliwiony tylko wybranym i majętnym ludziom bez różnicy wyznania i pochodzenia.

Krzysztof Sobota ani spostrzegł, jak się dostał w drapieżne kleszcze Ględzianki. Gdy po słodko spędzonej nocy powrócił do Abdery, zastał tam już dwie depesze wzywające go do łoża zbolałej Izy. Nawet nie spodziewał się, jakie los zgotuje mu

szczęście w nieszczęściu. Po paru tygodniach takich romantycznych zawodów, podczas których panna Iza nie pozwoliła mu nawet dobrze zbadać i zgłębić gruntu, rozpatrzyć się w sytuacji i okolicach, oświadczyła mu bez ogródek, że zaszła w ciążę...

Zwykle mężczyzna w takich wypadkach łapie się za kieszeń, wyciąga mniejszą lub większą sumkę, obieca wystarać się o adres znajomej akuszerki, — i sprawa zostaje od ręki na miejscu zlikwidowana. Wyjątkowo przytrafia się rzeczywista tragedja, gdy nierozważna dziewoja odda się zapalnemu młodzieńcowi w Parku Skaryszewskim, na ławce w Łazienkach, lub w cienistej alei Ogrodu Saskiego, wtedy bowiem zachodzi poważna obawa, że po upływie kilku miesięcy, utarłszy nosek chusteczką, spostrzeże z przerażeniem, że pęcznieje... Rodzi się wówczas przysłowiowe twierdzenie, że zajść można we śnie lub od wiatru.. Nato już niema rady: trzeba wtedy, rzeczywiście, szukać znajomej akuszerki lub młodego chirurga!

Ale tutaj wyszło małe qui pro quo. Krzysztof Sobota, gentleman w całym calu, dawno już stracił wiarę w możliwość zapłodnienia kogokolwiek lub czegośkolwiek. Nawet trawa posiana przed willą na wiosnę wschodziła powoli i nie chciała rość, gdzieżby zaś dziecko? Ucieszył się i wyraził gotowość zaopiekowania się przyszłym wspólnym potomkiem.

Panna Iza dawno nie spotykała takich głupców. Coprawda, przed rokiem, jeden studencina, przyszły spadkobierca ordynacji, gdy mu w tajemnicy zwierzyła się, że zaszła, zaproponował jej natychmiastowe małżeństwo według wyznania marjawickiego. Była gotowa na ten stanowczy krok: imponowało jej nazwisko i tytuł, co zaś do owej ordynacji miała wielkie wątpliwości, gdyż mówiono w tym czasie zupełnie poważnie o nieuniknionej parcelacji majątków ziemskich bez odszkodowania. Ale cała sprawa spaliła na panewce, gdyż rodzina przewąchała, co się święci, studencina dostał baty, a Izie zagrożono kryminałem za szantaż. Ale tutaj doprawdy, wydarzyła się rzecz nieoczekiwana. Skąd mu wziąść to dziecko? Przecież dla przyjemności starego warjata nie będzie starała się zajść naprawdę? A miała nawet wątpliwości, czy to na zawołanie da się zrobić. Postanowiła wyperswadować starowinie, że przecież nieślubnego dziecka urodzić nie może: coby powiedział świat!? Trzeba więc odbyć dłuższą i kosztowną kurację, na którą nie ma pieniędzy. Będzie musiała przytem przerwać na pewien czas swoje gościnne występy w mającym się zamknąć za dwa dni teatrzyku.

Ale Krzysztof był nieubłagany. Jakże można zabijać własny płód: cóż on zawinił?

Po dłuższych rozprawach machnęła na wszystko ręką: zrodziło się bowiem u niej podejrzenie, że Krzysztof nie taki głupi jak wygląda i poznał się na kawale, dlatego tak natarczywie domaga się dziec-

ka. Zupełnie inaczej zaśpiewałby, gdyby to była prawda!

Ale Krzysztof nie dał za wygraną.

Zaczął domagać się, żeby rzuciła scenę i poświęciła się zawodowi macierzyńskiemu.

Tutaj bomba pękła.

Nie wytrzymała i powiedziała mu całą prawdę. Rzucił chciwej ladacznicy banknot dolarowy, nie wiedząc nawet jakiej wartości i wyszedł zgorszony. A gdy wrócił do Abdery stał się codziennym gościem w przemiłej knajpce Fajtłapy. Macnął od czasu do czasu Magdę w łydkę, zajrzał w czarne ślepia czternastoletniej dziewce od krów, podającej do stołu smażoną wątrobę z cebulą, i pił. Wkrótce zaprzyjaźnił się z Fajtłapą i stał się jego nieodłącznym towarzyszem. Wychodzili często za miasto, w stronę cmentarza, lub spacerowali wzdłuż murów miejscowego kryminaliku, napomykając od czasu do czasu o różnych możliwościach, których zgóry przewidzieć i przeczuć nie można.

Owego pamiętnego wieczoru, gdy Fajtłapa obchodził uroczyście rocznicę odzyskania wolności, Krzysztof Sobota, wysłuchawszy w Klubie Urzędniczym odczytu złotoustego Dr. Mydłka, przyszedł również do Fajtłapy.

Był zbolały i szukał zapomnienia. A zły los i tutaj go prześladował. Niebawem dostrzegł Dr. Mydłka w towarzystwie Felki. Nie był wprawdzie o nią zazdrosny, ale uczucie pewnego żalu za tem, co utracił już bezpowrotnie, jątrzyło się w nim bezu-

stannie. Pił tego dnia naumor. Pił więcej, niż zwykle, i częściej, niż inni.

A gdy nad ranem, niemal już na czworakach, czołgał się do domu, ujrzał na tle willi tajemniczą postać z walizą na karku.

Serce zamarło w nim na ten widok. Poznał bowiem jedną ze swych waliz, naładowaną od dołu do góry banknotami dolarowemi. Usiłował biec w kierunku tajemniczego złodzieja, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa, zatoczył się i padł, uderzając głową o przydrożny kamień.

Nazajutrz, st. przodownik Piotr Zaremba, obchodząc swoją dzielnicę, natknął się na zastygłe ciało Krzysztofa Soboty. Zabezpieczywszy trupa na miejscu, dał znać do Komendy Policji, zawiadamiając jednocześnie Sebastjana Ażurka, jako w takich wypadkach nakazywał regulamin służbowy.

Tymczasem Abdera spoczywała w objęciach Morfeusza, śniąc słodki sen o zbliżających się wyborach i przeżywając we śnie wrażenia z minionego tygodnia.

AGITACJA WYBORCZA W ABDERZE

Zbliżały się wybory do Rady Miejskiej.

Dotychczasowi rajcowie miejscy pospuszczali nosy na kwintę. Przygnębieni niepowodzeniem zalewali robaka od rana do nocy. Rojno było w Hotelu Warszawskim i Polskim, wrzało u Fajtłapy i w „Złotym Ulu“.

Tylko jeden Kozik nie próżnował. Z uczuciem najwyższego zadowolenia wyciągał na światło dzienne najintymniejsze sprawki dotychczasowych działaczy miejskich, zaopatrując je we własne komentarze i z taką omastą puszczał bez zająknienia w świat.

W „Kurjerku dla Abderytów“ ukazywały się co dzień wstępne artykuły pióra znakomitego publicysty Dr. Mydłka, pisującego również siarczyste feljetony pod tytułem: „Ruchomy Bezwład“.

Pod wpływem tych artykułów i feljetonów, światopogląd abderytów zaczął się powoli przekształcać. Poczęto stawiać różne horoskopy na przy-

szłość, marzyć o kanalizacji, o wybudowaniu linji kolejowej łączącej Abderę ze światem, o sprowadzeniu dziesiątków autobusów do czasu wybudowania nowej elektrowni, wybudowania torów dla tramwajów elektrycznych, lub zaopatrzeniu miasta w inne najnowsze środki lokomocji.

Wśród płci pięknej rozeszła się lotem błyskawicy niesprawdzona przez nikogo pogłoska o uzyskaniu przez profesora nauk plastycznych, specjalnie przybyłego w tym celu do Abdery, zezwolenia na otworzenie sali tańca, a w kilka dni potem twierdzono z całem przekonaniem, że na jesieni ma być otworzony w centrum miasta luksusowy dancing.

Komisarz Ażurek, postać nawpół uspołeczniona, pragnąłby odgrywać rolę męża opatrznościowego, ale dzięki ostatnim wydarzeniom, związanym z procesem Kozika, wypadł niezręcznie ze swej roli i zaszargał swoją opinję niebywałym skandalem. Trzeźwem okiem patrzał na zaciemniający się widnokrąg, na zbierające się zewsząd chmury i chmurki, ale nie chciał już zabierać głosu w ogólnym bałaganie, żeby nie rozjątrzać opinji publicznej.

Sędzia Grzmot, który swym znamiennym wyrokiem utarł nosa Ażurkowi, a połechtał ambicje Kozika, trzymał się zdala od wrzącego kotła politycznego, wychodząc z założenia najwyższego objektywizmu.

Toteż na powierzchni życia publicznego pływał, jak pączek w maśle, nasz znakomity Dr. Mydłek,

stwarzając wokół siebie coraz większe zainteresowanie, przechodzące poniekąd w apoteozę.

W związku z wyborami wytworzyły się niemal samorzutnie dwa obozy. Jeden z nich — to grupa inteligencka z uświadomioną klasą robotniczą, drugi zaś — to chałupnicy, drobni kupcy i bezrobotni. Nie było dla nikogo tajemnicą, że na czele pierwszej grupy stanie Dr. Mydłek. Drugą grupą nikt poważnie nie zajmował się, a sympatja jej chyliła się ku stopom Pana Burmistrza, pokładającego jeszcze jaką-taką nadzieję na zrozumienie szerszych warstw społeczeństwa, z których rzekomo wywodził się.

Jednakże byli również i tacy, którzy wyłamywali się z pod dyscypliny partyjnej i bruździli jednym i drugim. Do nich należał przedewszystkiem Michał Anioł Figurka, który, jakkolwiek wywodził się z gminu, skłonnego do lizania łapek, miał jednak duszę nawskroś arystokratyczną i wysokie w tym kierunku aspiracje.

Jeżeli martwą bryłę marmuru lub stupudowy kamień potrafił ożywić i nadać im kształty uduchowionych symbolów, tembardziej potrafił wysubtelnić i zmodyfikować swą duszę, w której tliła się niespokojna iskierka artyzmu, będącego pierwszym szczeblem na gigantycznej drabinie arystokratyzmu ducha.

Stąd wyłaniały się nieokiełzane żądze do wywyższenia się, zadziergnięcia stosunków z osobami, którym, z tytułu swego pochodzenia, winien był

słać się do stópek, całować rączki, lub najordynarniej wysługiwać się przy najmniejszej sposobności.

Ale rzeźbiarz Figurka lubił otaczać się ludźmi, którzy na gruncie abderskim uchodzili za możnowładców. Nie znaczy to, że ludzie ci ubiegali się o jego towarzystwo. Była to tylko zwyczajna wymiana usług. Możni bowiem powierzali mu ważne zlecenia uczczenia swych bliskich i drogich spadkodawców, lub za pomocą kolosalnych pomników, opiewających tytuły i godności zmarłych pratoplastów, przyczynienia się do świetności rodu i wzmocnienia tą drogą nadwyrężonego czasem niebacznie kredytu moralnego. Wzamian za ten wysiłek ducha arystokratycznego, Michał Anioł Figurka przestępował niejednokrotnie progi swych zmarłych klijentów, żeby przykucnąwszy w trwodze przy katafalku zdjąć jeszcze nieostygłą maskę pośmiertną. Pozatem brał udział lub służył wskazówkami podczas uroczystości pogrzebowych, szedł raźno za trumną na cmentarz, chcąc osobiście dopilnować, żeby nieboszczyk nie zawrócił z drogi.

Być może, że owe skomplikowane stosunki z możnymi, psychikę jego przekształciły do tego stopnia, że patrzał z odrazą i pogardą na motłoch. Jako artysta z bożej łaski lubił wykwint, luksus, a przedewszystkiem smak artystyczny, mający bardzo wiele cech wspólnych z arystokratyzmem. Dlatego najnowszy kierunek myśli politycznej, który zyskiwał w Abderze coraz więcej zwolenników, nie wzbudzał w nim entuzjązmu. Trzeźwem okiem oceniał halucy-

nacje obałamuconych abderytów, skłaniających się ku grupie mydłkowej.

Życie polityczne i towarzyskie opierał na pięknie, a piękno w jego pojęciu wynikało z dobra. Był to swego rodzaju spadkobierca wielkich idej greckich, jakkolwiek pojęcie dobra wyprowadzał od dóbr materjalnych, nie zaś duchowych. Pozatem pochodzenie Michała Anioła Figurki okryte było tajemnicą, chociaż akta stanu cywilnego były w zupełnym porządku. Pewna legenda, krążąca wśród starszego pokolenia, napomykała piąte przez dziesiąte o romantycznych przygodach jego matki, która za czasów panieństwa sprawowała urząd ochmistrzyni w pewnym wielkim dworze, który z biegiem lat podupadł, dobra zaś zostały rozparcelowane. To dziecko kunsztu miłosnego, aczkolwiek uroda jego kolidowała z tem oderwanem pojęciem, zajmowało zawsze stanowisko opozycyjne wobec wszystkiego, co stawało w obronie maluczkich i uciśnionych.

Obóz konserwatywny tedy miał w nim gorącego poplecznika, ba! nawet wielbiciela. Albowiem Michał Anioł Figurka, stworzył nawet nową teorję polityczną, której punktem wyjścia była praktyka. Na praktyce bowiem, zdaniem jego, opierał się cały ustrój państwowy. Nie można powiedzieć, żeby wywody jego pozbawione były zdrowego rozsądku. Praktyka, dzięki zbiegowi wypadków lub okoliczności, prowadzi do wynalazków. Praktyka w przeciwstawieniu do teorji, nie buja w świecie abstrakcji, lecz ucieleśnia piękno i dobro, a zatem jest torem,

wiodącym do wszechpoznania. Dopiero praktyka rodzi teorje, które zostają podniesione do godności dogmatów wtedy, gdy życie zdoła przyoblec je w formę praktyczną. Słowem wszystkie wywody Michała Anioła Figurki zbiegały się w jędrną i rozumną definicję, że w życiu wszystko powinno być wykute jak z kamienia.

Ale Michał Anioł Figurka nie grzeszył i racjonalnym sposobem myślenia. Hołdował amerykańskiemu wyścigowi pracy na każdem polu. Nic dziwnego, że przy każdej sposobności, a często i tam, gdzie nie trzeba, powtarzał z patosem: „Kuj żelazo, póki gorące!“

Nad Abderą, zdaniem Figurki, zawisły ciemne złowróżebne chmury. Należało stanąć mężnie i zdecydowanie w obronie mienia i zdrowia narodowego. O tem też mówił z burmistrzem od kilku dni, nie wychodząc z Hotelu Polskiego, gdzie chwilowo zainstalował się w gabinecie restauracyjnym Komitet Wyborczy.

Burmistrz był pewien, że Dr. Mydłek dotrzyma słowa: w wyborach będzie raczej narzędziem obozu przeciwnego i odegra rolę doppen-agenta. Tego rodzaju typki z czasem w Niepodległej Polsce rozmnożą się jak króliki, świat zainteresowany będzie nazywał ich prowokatorami, a opinja społeczna Judaszami.

Nie zdawano jednak sprawy, jak dalece zło zakorzeniło się: trzeba było wyrywać chwasty z korzeniami, a wybory były już za pasem.

Najwidoczniej horoskopy były pomyślne, albowiem burmistrz protekcjonalnie poklepał Michała Anioła po ramieniu:

— Więc powiadasz, że drukarnia załatwiona?

— Murowane! Wszystko w porządeczku!

— A to będzie heca!

— A czy ta kanalja, Mydłek, nie zawiedzie? — zatroskał się niespokojnie rzeźbiarz.

— Niema obawy! — uspokoił burmistrz. — A więc te związki chemiczne tak reagują na farbę drukarską, że po godzinie nie pozostaje żadnego śladu?

— Po godzinie ani śladu druku, ani jednej kropki nad i.

— Znakomity wynalazek! Ktoby się spodziewał! Mądra głowa, no, no! A ileż takich kartek zamówiono?

— 90% bezmała, trzeba bowiem liczyć się z tem, że lwia część wpadnie w ręce niepożądane, część ulegnie zniszczeniu, w każdym bądź razie nie otrzymają więcej, niż jedną trzecią tego, co powinni otrzymać.

— Wystarczy! — wykrzyknął radośnie podniecony wiadomościami burmistrz.

— Jedno jest niepokojące, żeby nie przyśpieszono druku kartek, gdyż już po upływie doby chemikalje zaczynają działać, druk blednie, aż w końcu znika zupełnie!

— To już rzecz Mydłka! — odpowiedział burmistrz. — Sprawa wszechstronnie omówiona!

— Ale czujność nie zawadzi, Panie Prezydencie, — niepokoił się rzeźbiarz, — trzeba pilnować kanalji, bo może pokrzyżować wszystkie nasze plany: strzeżonego Pan Bóg strzeże!

— Jestem o niego zupełnie spokojny.

— — — — — — — — — — — —

Na przedmieściu Abdery, w złotym piasku wiślanym, grupa nieletnich dzieciaków prowadziła ożywioną wymianę swoich poglądów politycznych.

— A ja będę miała braciszka, — chwaliła się rudowłosa Zosia o szelmowskich oczach, trzymając się umorusanemi ręczynami za boki.

— Hi! Hi! — zaśmiały się dzieci. Tylko najmłodszy Wacek, który zawsze trzymał się na osobności, zapytał ciekawie:

— A skąd...?

— Wiadomo skąd: bocian przyniesie!

I dzieciaki znacząco parsknęły śmiechem na tę wiadomość.

— To ciebie bocian przyniósł? — odpowiedział Wacek, zakręcił się na pięcie i oddalił się w stronę rzeki.

— Zaczekaj: zabawimy się w tatę i mamę! — wołał za nim starszy Julek, andrus jakich mało.

Ale Wacek znikł w zaroślach, gdzie lubił przesiadywać samotnie, przyglądając się krzykom dzikich gęsi i pluskającym się rybkom w nurtach Wisły.

Następnie do grupy dzieciaków zbliżył się Maciek Fajtłapa, syn karczmarza.

— Aha! U nas umarł ojciec, a u was gówno! — odezwał się pretensjonalnie do grupy dzieciaków.

— To już nie będzie więcej Magdy łapać...? — informowała się zlekka skandując rudowłosa Zosia.

— Może chciałaś, żeby ciebie łapał, sucha szczapo!? Łapał, bo było za co. W całem mieście drugiej takiej dziewki niema.

Młodociane towarzystwo skupiło się i Maciek Fajtłapa zaczął opowiadać ze wszystkiemi szczegółami i drobiazgami przebieg ostatniej uczty u Fajtłapy, nie zapominając o niczem, ani o jednem określeniu i powiedzeniu ucztujących, ani o przygodach poszczególnych gości, zamykających się na pewien okres czasu w sąsiedniej alkowie, do której mały Maciek zaglądał chętnie przez szparkę w ścianie lub przez dziurkę od klucza.

Sam Pan Bóg nie wiedział, kto był naturalnym ojcem tych dzieci, a ludzie nie wiedzieli, kto je wychowywał. Rosły sobie patrząjąc na las i na płynącą wodę w Wiśle. Jedno można było powiedzieć, że dorastające pokolenie powojenne nie będzie potrzebowało doszukiwać się prawdy w życiu, albowiem prawda ta będzie wyryta w każdym jego ruchu i spojrzeniu, pójdzie zahartowana w świat, złorzecząc Bogu i ludziom, którzy wydali je na świat.

— Więc rośnijcie dziateczki na chwałę Bogu i pociechę ludziom! — odezwał się Franciszek Bogobojny, badacz pisma świętego na własną rękę,

znany z zakłócenia spokoju w Klubie Urzędniczym i w knajpie u Fajtłapy, który zbliżył się do grupy dzieciaków i przysłuchiwał się opowiadaniom Maćka.

W odpowiedzi na owe pobożne życzenie posypały się na głowę nieproszonego intruza większe i mniejsze kamienie wiślane, jak gdyby mające przyświadczyć niezbicie, że młodzież powojenna jest zadzierzysta i nie pozwoli sobie byle komu pluć w kaszę.

Podania ludowe głoszą, że kiedy dzieci krzyż stawiają, umrze panujący lub ktoś bliski, kiedy bawią się w wojsko — wojna w powietrzu wisi, gdy zaś dzieci kamienują starców — będzie głód, lub wybuchnie epidemja cholery, tyfusu lub innej nieciekawej choroby, będącej żerowiskiem dla karawaniarzy i innych grabarzy...

W Abderze nie gościła dotychczas żadna epidemja, nie było lat chudych i tłustych, nie było ludzi wyrobionych politycznie, których można byłoby zaliczyć do indywidualności silnych, albowiem tylko katastrofa żywiołowa, ciężka sytuacja polityczna albo ekonomiczna wysuwa na czoło takie indywidualności, uchodzące zczasem za kulfonów całego miasta.

Powiedziane jest gdzieś: Panie! zbaw mnie od przyjaciół, albowiem z wrogami sam dam radę...

Powiedziane jest gdzieś: Drżyjmy, albowiem znamy duszę zbrodniarza, a nie znamy duszy człowieka uczciwego.

I mówią również, że głupstwo rozum zjadło. Niema bowiem nic gorszego, jak tak zwane przebłyski świadomości u ludzi, których podłożem jest zwykle głupota...

I poco, naprzykład, w takiej Abderze tyle zamieszania? Poco te wiece, odczyty, owacje i inne szopki?

Istota żywa (mowa o człowieku) pnie się, naprzykład, do władzy?

I poco?

Czy, żeby za pomocą tej władzy usłać sobie wygodne gniazdko?

Czy, żeby zadowolić swoją wybujałą ambicję?

Nikomu bowiem przez umysł nawet nie przejdzie, że jedynem usprawiedliwieniem dążenia do władzy może być praca z samozaparciem się dla dobra publicznego.

Ale uchylmy zasłonę, uderzmy się w piersi i orzeknijmy, czy dużo takich się znajdzie?!

Dzieciaki w Abderze znają potęgę pięści i przeznaczenie kamienia. Że służy on za materjał budowlany i do brukowania ulic jest to rzecz drugorzędna. Kamień jest przeznaczony do tego, żeby go w odpowiednim momencie ulokować na głowie nieprzychylnego sobie człowieka: w tem tkwi cała mądrość, o której nie śniło się filozofom.

Dzieciaki w Abderze sprawę stawiają jasno: kto miesza się w cudze sprawy, tego po łbie! Gdyby zagadnął ich w tej uroczystej chwili Mydłek, ukamienowałyby go również. O ileż ciekawsze są dzie-

ci, ileż dobrego można spodziewać się od nich, gdy pokolenie dojrzałe jest zaprzeczeniem własnego jestestwa.

W żadnym zakątku kraju kłamstwo nie dosięgło takich szczytów jak w Abderze. Ale i w żadnym zakątku śmiałość, nawiasem mówiąc bezczelność, nie miała takiego podatnego gruntu dla swojej występnej działalności. Albowiem tępota umysłowa witała z entuzjazmem wszystkie przebłyski kłamstwa i spaczonych idej. Ludzie o złych instynktach i zbrodniczych zamiarach w przeciągu jednej doby urastali na bohaterów. Wystarczyło, że ktoś mlasnął językiem, a opinja publiczna reagowała na swój swoisty sposób. A to, co ukrywało się za kulisami wielkiej polityki, idącej po linji największego napięcia, nie wypływało nigdy na światło dzienne, i trzeba wyjątkowego zbiegu okoliczności, ażeby cała zgnilizna abderska wypłynęła na powierzchnię.

— — — — — — — — — — — —

Felka, po burzliwej nocy spędzonej „Pod Jeleniem", zapragnęła wyniosłej roli maszynistki i sekretarki Dr. Mydłka. Chciałaby może czegoś więcej, naprzykład, być podniesioną do godności metressy, ale nie wiedziała dokładnie znaczenia tego słowa, zdawało jej się tylko, że godność ta jest wysoce zaszczytna. Czytała kiedyś potężny romans w 48 zeszytach, którego bohaterka, zwykła kwiaciarka uliczna, zostawszy metresą pewnego hrabiego, odrazu zajaśniała na widnokręgu Paryża. Zawro-

tna karjera kwiaciarki przewróciła w głowie Felce. Toteż podrzędne stanowisko maszynistki i sekretarki traktowała raczej jako dopust boży, niż wywyższenie się w hierarchji społecznej.

Nieoczekiwana zmiana w jej sytuacji socjalnej zmusiła ją również do rozejrzenia się nietylko wśród nowego otoczenia, ale i około siebie.

Zaczęła zesznurowywać usta, a rozsznurowywać sznurki stanika, czuła bowiem, że piersi jej rosną, że w gwałtownem tempie zatracają swe cechy dziewicze. Nie pomagały stosowane oddawna zabiegi, a nawet zauważyła od pewnego czasu, że jej chluba, kawowe brodawki, nabierają jakiegoś niebieskiego koloru, który zwiastował niedwuznacznie utratę dawnej jędrności i siły.

Pokładała jednak wielką nadzieję w swych zgrabnych nóżkach, podobnych do nóżek pełnoletniej sarenki, które z takim zachwytem owego pamiętnego wieczoru podziwiali goście u Fajtłapy. Wyczuwała niemal instynktownym zmysłem samczym, że całe zainteresowanie się Dr. Mydłka skoncentrowało się w jej nogach. Z uczuciem królewskiej dumy postanowiła tegoż dnia, nie czekając soboty, umyć nogi i obciąć paznokcie.

Felka nie lubiła samotności: bała się jej i wolała zawsze być z kimś.

Ale już następnego wieczoru została sama. Dr. Mydłek politykował i nie miał czasu na miłe tête-à-tête. Nie znała się na polityce i nienawidziła jej. Uważała ją za coś głupiego i szkaradnego i za-

mierzała ubłagać Mydłka, żeby się wycofał ze swojej działalności politycznej.

Pozatem nurtował w niej niepokój: obawiała się zawiści ludzkiej. Małoż to kobiet zagina parol na Mydłka. Chociażby ta ruda małpa Agnieszka z Kościuszkowskiego wybrzeża, co to zadaje się byle z kim i byle za co. Albo ta burmistrzanka Sabina, którą w zeszłym roku gajowy przychwycił w zagajniku z huzarem śmierci.

Nadomiar wszystkiego, już na trzeci dzień po zainstalowaniu się u Dr. Mydłka, ujrzała tam exburmistrza we własnej swojej osobie.

Dr. Mydłek właśnie dyktował Felce memorjał w sprawie wyborów, gdy niedyskretne pukanie do drzwi przerwało tę cudowną pracę. Pokraśniała cała ujrząwszy we drzwiach samego burmistrza i trzeba było dłuższej chwili, zanim ochłonęła ze wzruszenia.

Ale najbardziej było przykre i opokarzające, gdy Felka, która nie zaznała jeszcze przesytu w sprawowaniu swego nowego urzędu, musiała opuścić gabinet, żeby umożliwić poufną wymianę myśli w sprawach niecierpiących zwłoki.

Burmistrz miasta Apolinary Igraszek bezceremonjalnym ruchem przysunął sobie fotel i usadowił w nim swoje dobrze utrzymane okrąglutkie ciało.

Mydłek, który w roli gospodarza zawsze był niezręczny, wymowną grą twarzy nie omieszkał uświadomić gospodarza, że wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi.

Gospodarz i gość, zostawszy w cztery oczy, jako ludzie, którzy nie z jednego pieca chleb jedli, dłuższy czas milczeli, lecz wyraz ich twarzy wskazywał znakomicie, że wiedzą o co właściwie chodzi, tylko żaden z nich nie decydował się otworzyć posiedzenia, na którem trzeba było grać w otwarte karty.

Obaj rozumieli dobrze, że niema sensu owijać sprawę w bawełnę. Obaj rzucali, jak gdyby od niechcenia, pogardliwe spojrzenie przez okno na przechadzających się abderytów. Sprawa była jasna. Burmistrzowi chodziło o zatrzymanie teki burmistrzowskiej przynajmniej jeszcze na jedną kadencję. Dekret o rozwiązaniu Rady Miejskiej zastał go zupełnie nieprzygotowanym do usunięcia się w zacisze domowe, albowiem ludzie-działacze muszą przygotować się nawet do spoczynku. A burmistrz należał do ludzi wielce ruchliwych i nieoczekiwane przejście na emeryturę mogło się odbić nawet na jego tuszy. Sprawy municypalne, komunalne i społeczne, nad któremi przecież biedził się całemi godzinami, nie były jeszcze ostatecznie rozwiązane. Przedewszystkiem nie została doprowadzona do końca paląca sprawa kanalizacji miasta i to z powodu nastręczających się trudności w uzyskaniu odpowiednich kredytów. Nie zapadła też ostateczna decyzja w sprawie zabrukowania rynku, gdyż z jednej strony nasuwały się trudności co do wyboru: asfalt czy kostka, z drugiej zaś odczuwano absolutny brak funduszów na tego rodzaju luksusowe in-

westycje. Również w toku pertraktacji była sprawa budowy elektrowni. Dojrzewała powoli sprawa otworzenia gimnazjum. W tece burmistrza kiełkował oddawna projekt budowy rzeźni miejskiej. Dotychczas Rada Miejska nie mogła ostatecznie zdecydować się na wybór placu pod teatr miejski, którego budowę zamierzano rozpocząć przed paru laty. Opracowany jeszcze za ruska projekt budowy Domu Ludowego nabierał mocy. Urządzenie schroniska dla bezdomnych i starców było na najlepszej drodze, a sprawa zatrudnienia bezrobotnych była w opracowaniu, samo zaś rozwiązanie zagadnienia miało nastąpić po zbiorach. W sprawie wywiezionych dzwonów przez okupantów opracowywano memorjał do władz miarodajnych. Sprawa zmuszenia miejscowych właścicieli nieruchomości do budowy chodników była w stadjum realizacji. W sprawie Bibljoteki Publicznej miano zgłosić wniosek na najbliższem posiedzeniu Rady Miejskiej.

I oto w chwli, gdy tysiąc najprzeróżniejszych spraw było w toku, dekret władz centralnych, nie zdających sprawy z doniosłości zapoczątkowanych przedsięwzięć, miał usunąć go ze stanowiska, w które włożył tyle energji, przedsiębiorczości, sprytu i inicjatywy, nie otrzymując wzamian nic — nawet dobrego słowa.

Sprawa mogłaby być zresztą załatwiona, gdyby pozwolono mu odejść z honorem i spocząć na laurach. Ale człowiek szczodrze zaopatrzony przez los w złoto i srebro, który niejednemu demagogowi

mógłby rublami oczy powybijać, nie mógł pogodzić się z krążącemi gadkami o rzekomych nadużyciach i szerzącej się korupcji w miejscowym magistracie.

Burmistrz Apolinary Igraszek, utkwiwszy swój wzrok w oczach Dr. Mydłka, wymownemi słowy starał się udowodnić, że był predystynowany do dziejowej misji, a boskie swoje posłannictwo wywodził tak zapamiętale, z takiem zaparciem się siebie, że można było chwilami wnosić, że był istotnie przedstawicielem rządu silnej dłoni i czystych rąk.

Dr. Mydłek słuchał uważnie tych wynurzeń, ale oczy jego szydziły, zdawały się mówić, że trzeba w całej sprawie szukać innego punktu wyjścia, bardziej rzeczowego i realnego, gdyż dotychczasowa poezja sprowadza się do banalnego powiedzonka: bujać to my, ale nie nas.

W ten sposób dobro społeczne stało się przedmiotem targów dwuch mężów stanu, z których każdy był nie w ciemię bity i pragnął wyciągnąć jak największe korzyści z nadarzającej się sposobności.

Dr. Mydłek, nie bez zdziwienia, zauważył, że osoba burmistrza nie jest znowu tak odrażająca. Łatwość, z jaką operował liczbami i walutą zagraniczną, topiła pierwsze lody i dziergała złotą nitkę przyjaźni, która miała być podłożem do nawiązania bardziej zażyłych stosunków i stosuneczków.

Wkrótce pojawiła się na stole butelka maślacza i wykwintne przekątki, a sztywny Mydłek przybrał postać uprzejmego gospodarza, burmistrz zaś okazał się wyrafinowanym pieczeniarzem. Towarzy-

stwo rozkrochmaliło się. Zaproszono nawet Felkę, która pode drzwiami podsłuchiwała każde powiedziane słówko, nie mogąc zorjentować się o co właściwie chodzi, gdyż mówiono górnym stylem i z takim patosem, jak ksiądz proboszcz Lasociński na kazalnicy.

Około północy zakończyła się uczta, a burmistrz Apolinary Igraszek, znalazłszy się na ulicy, czuł się jak nowonarodzony i taki lekki, jak gdyby część swego majątku w złocie i srebrze oraz dolarach Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej zostawił w depozycie u Dr. Mydłka. Dr. Mydłek był człowiekiem chciwym na grosz, ale gardził byle czem, tylko grubszą sumą można mu było zaimponować, wszelkie zaś propozycje drobniejsze, niegodne jego osoby, odrzucał z pogardą. To też porozumienie z nim było utrudnione i trzeba było niebylejakiej wymowy i sprytu, żeby dojść do porozumienia. Burmistrz był jednak zadowolony z odegranej roli i wracał do domu będąc najlepszej myśli.

Ten Ojciec miasta, który za wiekopomnych czasów okupacyjnych karmił ludność kasztanami, trocinami i tłuczonem szkłem, który ułatwiał okupantom grabież majątku publicznego i prywatnego, ten wielki znawca dusz ludzkich i pustych żołądków, nigdy nie mylił się w swoich sądach i wiedział do kogo z czem trzeba było przyjść, albowiem cała mądrość polega nie w głębokości zagadnienia, a w sposobie skonstruowania środków, umożliwiających

opanowanie całej pojemności niedocieczonych głębin.

Wprawdzie Mydłek niemało mu krwi napsuł, całą opinję obrócił przeciwko niemu, ale należało to już do przeszłości. Z uczuciem ulgi wracał do własnych apartamentów, pokładając nadzieję w jaśniejsze jutro i osiągnięcie za wszelką cenę stolca burmistrzowskiego przy następnych wyborach.

A Mydłek tymczasem wygładzał stos banknotów, układając je w osobne paczki, opiewające na okrągłą sumę.

— — — — — — — — — — — —

Rankiem, następnego dnia, wpadł do Mydłka, jak bomba, dymisjonowany wachmistrz żandarmerji Wandalin Kozik.

— Ogłosili listę. Na pierwszem miejscu burmistrz Apolinary Igraszek. Redaktor Cezary Oligarch-Wykpijgemba zrzekł się kandydatury.

Dr. Mydłek który kończył swój poranny posiłek, uśmiechnął się obojętnie, jak gdyby sprawa była już przesądzona zgóry i zawyrokował:

— Hm! Sprawa jasna: pan jego zastąpi!

Kozik oniemiał.

W tem jednem słowie było coś, co uderzyło go jak młotem. Wystarczyło jednak chwilki, żeby zrozumiał swoją przewagę i innem okiem zajrzał w twarz Mydłka. Skoro zostanie radnym miejskim, może zostać i burmistrzem. Godność miejskiego „prezydenta“ połechtała go skwapliwie po lędź-

wiach. Czuł, że rośnie na siłach i znaczeniu, ale na chwilę nawet nie zastanawiał się, co może być powodem takiego wywyższenia.

Cóż wobec niego takie Mydłki, Igraszki i Wykpijgemby? Czasy się zmieniają: przychodzi do władzy ten, kto ma silne pięści, mir u ludu, stosunki i koligacje w wojsku! Któż to wszystko ma, jeżeli nie on, dymisjonowany wachmistrz żandarmerji Wandalin Kozik?

Ale Dr. Mydłek nie odezwał się więcej jednem słowem. Kozik sądził, że będzie tłumaczył, usprawiedliwiał i nadciągał powód jego kandydatury, a on — nic! To go cokolwiek skonsternowało, ale nie wyprowadziło z błędu i równowagi.

Że Wandalin Kozik raptem zafigurował na drugiem miejscu na liście, nie zmieniło to stosunku Dr. Mydłka do jego osoby. O ile stary magistrat na czele z burmistrzem Apolinarym Igraszkiem mógł przejść do historji, osoba Kozika pozostałaby nadal kreaturą nic nie mówiącą. Postawienie Kozika obok starego burmistrza było tylko sprytnie pomyślanym manewrem, liczono się bowiem z tem, że lepiej jest z mądrym zgubić, niż z głupim znaleźć. A kandydatura Apolinarego Igraszka zyskiwała wiele w towarzystwie nic nieznaczącego Kozika.

A Kozik tymczasem z głową zadartą do góry przechodził ulicami miasta, czując się niemal „panem prezydentem“ i zwysoka patrzył na szary zmizerowany tłum ludzi, pochłonięty codzienną pracą i troską o chleb powszedni.

Aż zbliżył się dzień wyborów do Rady Miejskiej.

— — — — — — — — — — — —

Dzień wyborów stał się erekcją wszystkich namiętności. Abdera nie znała jeszcze takiego dnia. Zwykle do urn stawała garstka wybranych i wtajemniczonych, która decydowała o wszystkiem. Teraz naród stanął hurmem. Zgłosili się nawet ci, którzy do głosowania nie byli uprawnieni, i trzeba było wielkiego wysiłku woli, żeby wszystkim razem i każdemu zosobna tłumaczyć poszczególne artykuły ordynacji wyborczej.

Oba stronnictwa zawczasu przygotowały się do zdecydowanej walki.

Sędzia Grzmot, przewodniczący komisji wyborczej, człowiek taktowny i wyrozumiały na ułomności ludzkie, zaognione tarcia partyjne sprowadzał do kulturalnej walki parlamentarnej.

Porządek i bezpieczeństwo publiczne zagwarantował Komendant Policji Ażurek, powołując na ten dzień cały aparat służby policyjnej, jaki pozostawał w jego dyspozycji.

O ile w obozie konserwatywnym panowała tajemnicza cisza, o tyle w radykalnym wrzało jak w kotle. Niepokój wzrastał jeszcze bardziej, gdy drukarnia opóźniała się z doręczeniem kartek. Dr. Mydłek, który całą technikę wyborczą powierzył Kozikowi, jako najbardziej zainteresowanemu

w grze, odwrócił temsamem od siebie wszelkie podejrzenia.

Kozik biegał, jak opętany. Ale wszędzie napotykał same trudności, jeżeli wogóle chciano z nim mówić.

Jednocześnie zaczęły obiegać miasto pogłoski, że obóz radykalny wysunie na burmistrza kandydaturę Kozika.

Pogłoski te dotarły niebawem do Komendanta Policji Ażurka, który swego czasu poprzysiągł Kozikowi zemstę, a teraz, obiegającą wersją, przejął się naprawdę. W zwycięstwie Kozika widział swój zmierzch. A zwycięstwo nabierało cech prawdopodobieństwa.

Nie zwlekając wydał podwładnym ostre zarządzenie aresztowania wszystkich, zakłócających porządek publiczny, a obserwację Kozika powierzył dwum rutynowanym konfidentom, umiejącym w stosownej chwili zainscenizować nawet odpowiednią scenę w celu umożliwienia przytrzymania ptaszka, który, nie zdając sobie sprawy z wytwarzającej się sytuacji, zbytnio się gorączkuje.

Gorliwość policji przechodziła wszelkie granice, albowiem z obozu radykalnego nie można było nikogo spotkać na ulicy, ponieważ policja wszystkich zatrzymywała z powodu rzekomego uprawiania agitacji wyborczej na terenie lokalu wyborczego. Interwencja Kozika i skargi na rzekome bezprawia policji nie odnosiły żadnego skutku. Sędzia Grzmot zbywał je milczeniem, lub dawał odpowiedzi wymija-

jące, tłumacząc się, że władza jego nie wykracza poza ściany lokalu wyborczego.

Zaczął zakradać się nieład. Mąż zaufania ławnik Dróżdż splunął siarczyście i opuścił dyskretnie lokal, żeby odwiedzić nieboszczyka Fajtłapę. Kozik się wściekał. Ale wkrótce nadszedł zaspany Mydłek. Wydał kilka zarządzeń i przywrócił jaki taki ład.

Spokojnie, z namaszczeniem, podchodzili do urn wyborcy, oddając swoje kartki.

Tłum płynął. Zmęczony sędzia Grzmot mitygował co chwila zbyt krewkich wyborców, usiłujących za pomocą pięści okazywać swoje niezadowolenie przeciwnikom politycznym.

Sprawdzanie dowodów, wydawanie ostemplowanych kopert i stwierdzanie uprawnień według list wyborczych, należało do sztabu pomocników, rekrutujących się z najpoważniejszych obywateli miasta. O wszelkiej najmniejszej wątpliwości meldowano natychmiast sędziemu, ten zaś decydował, co należało uczynić. Sędzia, jak to sędzia, najmniejszą wątpliwość rozstrzygał niedwuznacznie, pozbawiał wątpliwego wyborcę głosu, polecając mu usunąć wszelkie wątpliwości, żeby w przyszłości mógł spełnić obowiązek wyborczy narówni z innymi.

W całym magistracie panowało bezkrólewie, ale dawni dygnitarze cieszyli się nie mniejszym szacunkiem, niż za najlepszych czasów, albowiem świat urzędniczy był przekonany, że wszyscy, bez wyjąt-

ku, po krótszym lub dłuższym urlopie, napowrót pozajmują swoje fotele zamiast szubienicy.

Miasto dyszało gorączką wyborczą. Tu i owdzie grupki ludzi omawiały w podnieceniu ewentualny rezultat wyborów. Usiłowano śmiać się i chichotać, podkpiwać cokolwiek z niedoszłych kandydatów, ale w duszy wszystkich czaił się pewien zapamiętały i nie dający się wytłumaczyć niepokój, gdyż nikt nie wyobrażał sobie Abdery pod rządami Kozika. Niejeden niósł oddawna pielęgnowaną kartkę, ale w ostatniej chwili zmieniał decyzję: niechta będzie po staremu!

BOMBA PĘKŁA.

Nagła śmierć Fajtłapy nie poruszyła ogółu, lecz tylko grono wtajemniczonych o żywszych umysłach i temperamentach, którzy, jak to bywa w takich wypadkach, obawiali się większego skandalu.

Ale, gdy w ślad za pogłoską o śmierci Fajtłapy, dowiedziano się o znalezieniu trupa Soboty, wracającego pamiętnej nocy z knajpki „Pod Jeleniem", a żona jego, Janina, zameldowała policji o wykradzeniu tej nocy z jej mieszkania opancerzonej walizki, zawierającej około miljona efektywnych dolarów Stanów Zjednoczonych, biżuterję i różne kosztowności, — sprawa odrazu zyskała na sensacji i poruszyła wszystkich.

Abdera ożywiła się. Zeterkotały telefony. Zatrajlowały języki. Płeć piękna biegała jak oparzona, a stateczni mężowie, pospuszczawszy nosy, biegali jak kot z pęcherzem, pragnąc dowiedzieć się bliższych szczegółów. Trudno jednak było dotrzeć do sedna, śledztwo sędzia śledczy Onufry Niepokoj-

czycki otoczył nimbem tajemniczości, chcąc je w ten sposób izolować od wpływów zewnętrznych.

Zawezwany aż z Warszawy ekspert sądowy, Dr. med. Euzebjusz Dąbrowa - Grzybowski, próżno się biedził nad zabezpieczonemi na miejscu trupami: zakonserwowane od wewnątrz nadmierną ilością alkoholu, nie poddawały się nawet wpływowi czasu, nie rozkładały się, a brak jakichkolwiek objawów gwałtownej śmierci nasuwał powszechnie cenionemu znawcy, doktorowi medycyny i profesorowi uniwersytetu, różne wątpliwości. Zachodziło zupełnie niedwuznaczne podejrzenie letargu, lub zatrucia jedną z egzotycznych trucizn, od jakich zaroiło się w Europie od czasu wielkiej wojny, a na które oficjalna medycyna nietylko nie posiadała antydotum, ale i dostatecznych środków do jej rozpoznania.

Ciała w Bogu spoczętych obywateli przewieziono do trupiarni szpitala Siedmiu Boleści, gdzie zabezpieczono od przymusowego rozkładu i ewentualnego wykradzenia, albowiem ewentualna śmierć obu posiadała w sobie cechy pewnej łączności.

Po kilku dniach, gdy zauważono powolny rozkład ciał, wykluczający możliwość letargu, Dr. Med. Dąbrowa-Grzybowski, w asystencji miejscowych lekarzy, dokonał sekcji zwłok i wtedy wyszło najaw, że obojgu staruszkom, pod wpływem jakiegoś nadzwyczajnego wzruszenia, musiało pęknąć serce, przeciążone i tak od dość dawna nadmierną pracą nad utrzymaniem obiegu krwi w pokrytych połaciami sadła organizmach.

Ale sędzia śledczy Onufry Niepokojczycki nie zadowolił się owem orzeczeniem lekarskiem, był to bowiem jeden z filarów, który gruntownie pogłębił nietylko procedurę śledczą, medycynę sądową, ale w swych dociekaniach teoretycznych i praktycznych sięgał znacznie dalej i na podstawie nic nieznaczących poszlak i przesłanek mógł zbudować cały gmach oskarżenia. Sędzia Niepokojczycki dobrze wiedział, że orzeczenie znawców nie wiąże sądu, że sąd podnosi je do godności dowodu tylko wtedy, gdy orzeczenie jest niedwuznaczne i poparte innemi dowodami. Głębokie studja prawnicze, przeprowadzone przez wybitnych kryminologów, ujawniają niebywałą statystykę omyłek sądowych, okazuje się bowiem, że zaledwie 10% orzeczeń znawców od medycyny, kaligrafji, chemji i t. p. bywa trafnych, inne zaś idą w kierunku popierania oskarżenia. Jest rzeczą zrozumiałą, że tego rodzaju taktyka znawców wynika z ich zainteresowań materjalnych, gdyby bowiem zawodowi znawcy, utrzymujący się częstokroć z wynagrodzeń za swoje orzeczenia, wydawali opinje bezstronne lub nawet negatywne, urząd prokuratorski niechętnie korzystałby z ich usług. Opierając się na takiej opinji kryminologów o wartości orzeczeń znawców, sędzia Niepokojczycki uważał tylko siebie za powołanego do roztrzygania zawiłych problematów kryminalnych, a sędziów, zbyt pochopnie korzystających z usług rzeczoznawców, uważał za matołów o płytkim umyśle. Tego rodzaju opinja sędziego o sędzi nie należała zresztą do rzadkich, nie-

ma bowiem takiego sędziego, który nie dopatrywałby się w koledze swego zawodu pewnych braków logicznego myślenia i wyciągania trafnych wniosków, dotyczących winy i kary. Dlatego ustawodastwa wszystkich krajów walczą o sądy przysięgłych, gdyż o ile przemądrzały umysł sędziowski przyczynia się niejednokrotnie do wykrycia prawdy w stadjum śledztwa, o tyle w czasie ferowania wyroków zmierza do obalenia tezy swego poprzednika lub oskarżenia urzędu prokuratorskiego. Tutaj najlepszym probierzem wymiaru sprawiedliwości jest zdrowy rozsądek sędziów przysięgłych, nie wyciągających swoich przesłanek z prawa Rzymskiego i analów kryminalnych, a bezpośrednio z życia. Albowiem zbudowane misternie oskarżenie przez artystę - prokuratora może znaleźć przychylną ocenę u sędziego teoretyka, ale runie, jak domek z kart, przy zetknięciu się z życiem.

Sprawa Fajtłapy, Soboty i walizki opancerzonej nabrała szerokiego rozgłosu. Najpierwszy uderzył na alarm „Kurjerek dla Abderytów“, za nim brukowa prasa stołeczna przy akompanjamencie różnych „Kurjerków“, „Głosów“ i „Dzwonków“ z prowincji. Wkrótce sensacja przedostała się do prasy zagranicznej, a w ślad zatem nadeszły zapytania ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, niepokojących się o miljon dolarów, który w zagadkowy sposób znikł swego czasu w pewnej instytucji pan-amerykańskiej.

Śledztwo sądowe Sędzia Niepokojczycki po-

prowadził z nadzwyczajną sprężystością i energją, gdyż uważał tę sprawę za sposobność do wykazania swojej wiedzy prawniczej, doświadczenia i kwalifikacji do objęcia wyższego urzędu. Posunięcie się o jeden szczebel w hierarchji sądowej nie jest wypadkiem powszednim i trzeba nadzwyczajnych zdolności, zasług i sprytu, żeby zwrócić na siebie uwagę władz miarodajnych i uprawnionych do kooptacji.

Przesłuchał niemal wszystkich gości ucztujących pamiętnej nocy „Pod Jeleniem", rozesłał listy gończe za Zośką Flak i Mańką Kubeł, których policja warszawska nie mogła odszukać w rodzimych legowiskach przy ul. Wilczej i w zamkniętym przed tygodniem kabarecie. Zarządził unwigilację kilku podejrzanych osobników, a zwłaszcza niejakiego Wszędobylskiego, który od paru dni nie ukazywał się na bruku abderskim, a krytycznej nocy spędził kilka godzin w „Czerwonej Willi".

I, zdawało się, że śledztwo utknęło na martwym punkcie.

Ale takby się zdawało napozór. W rzeczywistości śledztwo zatacza zwykle szersze kręgi, a promotorem do tego jest władza administracyjna. Niech tylko zdarzy się jakikolwiek wypadek, a już policja i żandarmerja musi tam swoje trzy grosze wsunąć. Wprawdzie procedura sądowa upoważnia ją do prowadzenia śledztwa pierwiastkowego i współpracy z władzami sądowemi, ale, gdy śledztwo sądowe toczy się w pewnym określonym kierunku, śledztwo

administracyjne napewno obierze sobie inny teren działania.

Tak się zdarzyło i teraz. Komendant Policji Sebastjan Ażurek nie podzielał tez młodocianego sędziego śledczego do spraw szczególnej wagi Onufrego Niepokojczyckiego. W jego doświadczonym i wytrawnym umyśle zrodziły się podejrzenia, skierowane w zupełnie przeciwnym kierunku. Nie czekając i nie żądając jakichkolwiek pełnomocnictw, rozpoczął śledztwo na własną rękę. Wskutek czego powstała tak zwana dwutorowość śledztwa, nie znajdująca aprobaty w procedurze karnej, ale odgrywająca niepoślednie znaczenie w życiu prywatnem ducha Bogu winnych ludzi.

Zaczęło się od niewinnego podsłuchu telefonicznego w cukierni „Złoty Ul". Wprawdzie w państwie demokratycznem takie podsłuchy są niedopuszczalne, ale było to jeszcze w czasie, kiedy nie obowiązywała żadna konstytucja i nie wiadomo było gdzie kończyło się bezprawie, a zaczynało się prawo, słowem rządzono się prawami wojennemi, a to zło konieczne usprawiedliwia wszystkie bezprawia i największe bezeceństwa.

Mirosław Wszędobylski, obawiając się krzyżowych pytań sędziego Niepokojczyckiego, ukrył się narazie w sąsiednim powiecie, zalecając Felce udzielanie mu telefonicznych informacji o ogólnym nastroju i przebiegu sprawy. W tym celu miała przychodzić o umówionych godzinach do cukierni „Złoty Ul" i oczekiwać na telefon.

Pewnego omówionego wieczoru stacja podsłuchowa zanotwała następującą rozmowę:

— Hallo! To ty?

— Tak, to ja, Felka!

— Cóż mówi Mydłek: czy są jakie poszlaki?

— Jest zajęty sprawami wyborów i pertraktuje całemi dniami z burmistrzem i Kozikiem.

— Ale czy mówi coś o sprawie?

— Hm! Mówi, że sprawa jasna! Że albo jeden albo drugi będzie burmistrzem!

— A to ciekawe! A o mnie nie było mowy? Nie pytają, nie szukają, niema jakiego wezwania?

— Podobno opieczętowali mieszkanie!

— I co jeszcze, mów, to ciekawe!

— Mówili coś o psach gończych, ale nie rozumiem co to znaczy!

— I co jeszcze?

Tutaj stacja przerwała rozmowę.

— Cukiernia „Złoty Ul". Hallo! Kto przy aparacie.?

— A kto żąda połączenia z Abderą? — pytała stacja podsłuchowa.

Ale Mirosław Wszędobylski nie był taki głupi, żeby podać swoje nazwisko. Przerwał rozmowę i szybko oddalił się. W kilka minut później miejscowy posterunek policji otrzymał polecenie przytrzymania pana o takim a takim rysopisie. Zanim zdążył opuścić miasto, był już zatrzymany i odstawiony do Abdery.

W Abderze Mirosława Wszędobylskiego osadzono w więzieniu, oddając go do dyspozycji sędziego śledczego Niepokojczyckiego. A za Felką ustanowiono ścisłą obserwację. W kilka dni później Felka znowu przyszła do cukierni „Złoty Ul". Podstawiony agent Ażurka natychmiast zatelefonował do cukierni i poprosił do aparatu Felkę.

Hasło poskutkowało. Felka gotowa była do udzielenia dalszych informacyj.

— Co porabia Kozik?

— Biega nieustannie: jest bardzo niespokojny. Mówił ostatnio, że ma tego już po same uszy!

— A czy interesuje się moją osobą?

— Dowiedziawszy się o pewnych podejrzeniach, powiedział: Szkoda! zmarnował się człowiek!

— Powiesz co jeszcze ciekawego?

— Nic! Nic więcej nie wiem!

Nazajutrz Kozik został aresztowany i wraz z protokułem podsłuchanej rozmowy odesłany do sędziego śledczego.

Podczas rewizji w mieszkaniu wachmistrza Kozika, znaleziono w dyskretnym schowku, znajdującym się w pułapie, adres Franciszka Bogobojnego, badacza pisma świętego na własną rękę. Ażurek natychmiast zarządził ścisłą obserwację pielgrzyma, plądrującego od rana do nocy po całem mieście.

W godzinach poobiednich, Franciszek Bogobojny, jak to miał we zwyczaju, wstąpił do spelunki dorożkarskiej znanej wśród mętów społecznych pod

nazwą „Pod Hetmanem“, na jeden jedyny kufelek piwa druciarskiego.

Było tam gwarno, albowiem jeden z biesiadujących dorożkarzy odwoził poprzedniego dnia wachwistrza Kozika w zamkniętej budzie nie gdzieindziej, a tylko do kryminału.

I taka postać, powszechnie czczona i szanowana, na którą pokładano tyle nadziei przy ostatnich wyborach zblamowała się tak paskudnie. Nie miano najmniejszych wątpliwości, że był zabójcą Fajtłapy i Soboty i że skradł opancerzoną walizkę z dolarami.

— A to mądra sztuka! Przy jednym ogniu dwie pieczenie chciał upiec: burmistrzem zostać i miljonik dolarów zagarnąć! Pomyśleć tylko: tyle grosza! Coby też z niemi robił! Ale ciekawa rzecz, gdzie on to zamelinował!? Musiał dobrze schować, nie darmo w żandarmerji służył.

— Też gadanie! — Odezwał się Franciszek Bogobojny. — Niewinnego człowieka zamknęli: zemsta tego drania Ażurka! Taki człowiek: ostatni grosz człowiekowi oddałby!

— Groszby oddał, ale dolary zatrzymał! — ironizował wyłysiały dryndziarz, posiadający jedyną na całą Abderę dorożkę na gumach.

— Nie znacie jego, więc nie gadajcie! Miałem możność poznać go bliżej i nie jeden wieczór spędziliśmy razem na rozstrząsaniu zagadnień natury moralno-etycznej.

— Możeście do spółki obrobili tego Sobotę, że tak waszmość bronisz mordercę dwojga godnych obywateli miasta.

I zasmucony sałaciarz jął opowiadać, ile to razy woził czcigodnego Fajtłapę i wielmożnego Sobotę do pensjonatu cioci Frani na Wołówkę i oczekiwał przy świetle czerwonych latarni aż szlachetni obywatele miasta ulżą sobie w gronie cacanych pensjonarek, oczekujących łaskawego wyboru i pieszczot cokolwiek już przytęchłych jegomościów.

— Nie stała się wielka strata, że dwuch zbereżników, co będą w smole się warzyć, odeszło z tego świata wprost do piekła! — orzekł zgorszony Franciszek Bogobojny.

— Będziesz mi tu pyskował, stary kajdaniarzu! — zaprotestował dorożkarz i zamachnął się biczyskiem.

— Błogosławieni ubodzy duchem... — rozpoczął nową sentencję komentator pisma świętego na własną rękę, ale nie dokończył, albowiem dwoje silnych rąk rozhuśtało go w powietrzu i wyrzuciło za drzwi.

Zanim zdołał podnieść się z ziemi, dwuch sympatycznych panów zaproponowało mu udać się razem z nimi.

I Franciszek Bogobojny zupełnie nieoczekiwanie znalazł się w rękach oprawców na posterunku policji.

Wprawdzie nie była to pierwszyzna dla niego, albowiem często miewał zatargi z policją o zakłócenie spokoju lub obraze moralności, ale tym razem sprawa przybrała na wadze, gdyż, zamiast wpakować go do dziury na dni kilka, poddano szczegółowym badaniom z dziedziny, nie mającej nic wspólnego z pismem świętem.

W małym ale schludnym pokoiku, gdzie nie zdążono jeszcze sprzątnąć niezapomniane pamiątki po byłych carskich czasach, za stołem, przykrytym zielonem suknem, rozsiadł się w całej okazałości Komendant Policji Sebastjan Ażurek.

— Jak się nazywasz? — zapytał.

— Wszyscy mnie znają: Franciszek Bogobojny, badacz pisma świętego na własną rękę.

— Ahaaa! To wy: słyszałem już o was! A skąd znacie wachmistrza Kozika?

— Chrystus Pan powiedział: Nadejdzie czas, że zjawią się fałszywi prorocy i zwodzić was będą. Strzeżcie się ich, albowiem są to wilcy drapieżni w owczej skórze. Poznacie się na nich po uczynkach ich.

— Ale co to ma wspólnego z Kozikiem? — zniecierpliwił się Ażurek.

— A ma! — odpowiedział z pewnością siebie Bogobojny. — Kozik jest jednym z tych, którego Pan Nasz Chrystus zesłał, żeby demaskował i tępił wszystkich tych, którzy przebierają się w postać anioła pokory, a wewnątrz są pełni fałszu i obłudy.

Wszystko zawrzało w Ażurku. W powiedzeniu Ażurka wyczuł aluzję do siebie. Walnął pięścią w stół i krzyknął aż szyby zadźwięczały w oknach:

— Morderca jesteś! Bandyta! Dość tych bzdur! Znamy się na tem! Mów, jak było z Kozikiem! Gdzieście walizę ukryli?

— Nie rozumiem o co Komendantowi chodzi! Nie zamordowałem nikogo i walizy nie ukryłem.

— Mów, albo zgnijesz w kryminale!

— Co mam mówić, jeżeli o niczem nie wiem!

— A kto opowiadał w knajpie „Pod Hetmanem“, że Kozik niewinny, kto bronił Kozika, gdy władza posiada dowody, że on zamordował Fajtłapę i Sobotę i zrabował walizę, zawierającą miljon dolarów!

— To fałsz, co pan mówi! — odpowiedział spokojnie Bogobojny.

— Zaśpiewasz jutro inaczej: jeszcze się zobaczymy. Skuć i pilnować jak oka w głowie, to niebezpieczny bandyta! — rzucił policjantom i wyszedł.

Zakuto Bogobojnego w kajdany i wsadzono do ciemnej i mokrej celki, gdzie odbywały się dramatyczne sceny śledztwa administracyjnego, przypominające tortury średniowiecza.

Około północy, gdy zbolały na duszy i ciele Franciszek Bogobojny zdrzemnął na twardej kamiennej posadzce, otwarły się drzwi i postać owinięta w białą płachtę zbliżyła się do niego i, położywszy rękę na ramieniu, rzekła:

— Dlaczegoś zwątpił, o małoduszny!? Pan Nasz czuwa nad nami! Przynoszę Ci pozdrowienie od Kozika! Waliza jest w niebezpieczeństwie i trzeba ją przenieść w pewniejsze miejsce!

Bogobojny otworzył szeroko oczy. Poczuł obecność i oddech osoby żyjącej. Zimny dreszcz wstrząsnął całem jego ciałem. Wyciągnął ręce przed siebie, chcąc namacać ową postać, ale wokół była próżnia.

— Kto tu? — zapytał niespokojnie.

— To ja! Przychodzę w imieniu Kozika! Zrobiłem burdę na mieście, żeby dostać się do aresztu i porozumieć się z tobą. Kozik kazał mi ukryć walizę w bezpieczniejsze miejsce: przyszedłem naradzić się z tobą. Mów, bo czas nagli! Niedługo świt i zostanę zwolniony. Musimy do tego czasu całą sprawę szczegółowo omówić! — recytował jednym tchem złotousty dobroczyńca.

— Ja nic o walizce nie wiem!

— Jakto nie wiesz: Kozik mówił, żeście ją razem ukryli!

— To kłamstwo!

Bogobojny opadł na ziemię i zaczął płakać. Powoli podniósł się, wyciągnął w górę ręce i jął się żarliwie modlić.

W czas jakiś zaskrzypiały zawiasy w drzwiach i biała postać wymknęła się, rzucając w oczy pielgrzyma smugę stłumionego światła.

Nazajutrz przewieziono go do więzienia, przekazując jednocześnie do sędziego śledczego proto-

kuły przesłuchań świadków, wobec których obstawał, twierdząc z całą pewnością, że Kozik jest niewinny, gdyż morderstwa i kradzieży dokonał inny, kogo nie chce wydać.

Tymczasem żandarmerja przytrzymała w koszarach huzarów śmierci Mańkę Kubeł i Zośkę Flak, i odstawiła obie do dyspozycji sędziego Niepokojczyckiego.

Narazie sprawa okryła się nimbem tajemniczości. Tylko w „Kurjerku dla Abderytów" ukazywały się obszerne artykuły, z których coprawda nie można było dowiedzieć się żadnych szczegółów, prócz tych chyba, że sprawa zatacza coraz szersze kręgi, aresztowano tych i tych, przewidywane są dalsze aresztowania, śledztwo prowadzi z nadzwyczajną energją i sprężystością Komendant Sebastjan Ażurek, kapitan żandarmerji Benjamin Hundełek, no i sędzia śledczy Onufry Niepokojczycki.

Opieczętowano spelunkę Fajtłapy, mieszkania aresztowanych, przychwycono handlarza żywym towarem, który usiłował nawiązać kontakt z Felką, pozostającą jeszcze na wolności, ale śledzoną przez cały sztab wytrawnych agentów.

Policja i żandarmerja, które prawem kaduka wmieszały się w sprawę, prześcigały się w gorliwości, nie była to jednak gorliwość podyktowana interesem służbowym, ale rozliczona na możliwość nadzwyczajnego obłowienia się, wszak w grę wcho-

dził okrągły miljon dolarów, nie licząc biżuterji i innych kosztowności.

Niepokojczycki niechętnem okiem patrzył na owe machinacje, zwłaszcza, że wszystkie wnioski stawiane przez jednych i drugich były wyssane z palca i w toku śledztwa rozpadały się jak domki z kart. Nawet powoli zaczął zniechęcać się do sprawy, widząc, że nie da się z niej wyciągnąć tego, co zamierzał zpoczątku. Rozumiał dobrze, że obecnie sprawa zeszła na fałszywe tory, i w tem stadjum należałoby ją wprost umorzyć, a uwięzionych zwolnić. Ale dawał możność Ażurkowi wyczerpania wszystkich swoich pomysłów, mając zamiar w następstwie na nim odegrać się za wszystko.

Miasto tymczasem rozbrzmiewało sensacją. A z każdym dniem opinja publiczna coraz silniej piętnowała Kozika, Bogobojnego i Wszędobylskiego, uważając ich za zgraną szajkę bandytów, która zdawiendawna grasowała w okolicy, a co do udziału w której pomawiano nawet swego czasu Ażurka.

Teraz wyczuwając energiczną rękę Komendanta Policji, opinja powoli zaczęła przechylać się na jego stronę, przypomniano sobie wyrządzone mu swego czasu krzywdy przez dawanie wiary niecnym pogłoskom, rozsiewanym przez ludzi zainteresowanych w utrąceniu go ze stanowiska. Bardziej dojrzali umysłowo zamierzali nawet zwrócić się do władz z memorjałem o odznaczenie Ażurka jednym z nowoustanowionych w Rzeczypospolitej Polskiej orderów, a ksiądz proboszcz Lasociński zamierzał na-

wet wystąpić do Kurji Biskupiej z wnioskiem o przedstawienie Komendanta Policji Sebastjana Ażurka do jednego z licznych orderów papieskich. Wśród bardziej wtajemniczonych rozeszła się pogłoska, że Stolica Apostolska w uznaniu zasług odznaczyła już Ażurka wysokim orderem św. Grzegorza, którym zostanie udekorowany podczas najbliższych świąt.

Ale gdzieś poza murami więzienia sądu kołatała się obrzydliwa plotka, że cała sprawa to wielki bluff, a sama waliza nigdy nie istniała i była mitem w oczach pani Janiny Sobotowej, gdyż mężulek jej Krzysztof Sobota dawno już wszystkie kapitały przehulał i przełajdaczył z aktorkami w Warszawie i u Fajtłapy.

Wersja ta nabierała coraz większego prawdopodobieństwa, a gdy sporządzono inwentarz pozostałego po Fajtłapie majątku i przekonano się, że śmierć jego przysporzyła znacznego majątku spadkobiercom, że ani jeden grosz nie zginął z jego kufrów w pamiętną noc jego śmierci, a więc nie było wątpliwości, że nikt nie czyhał na jego skarby, dostępne zresztą dla każdego, ktoby zapragnął niemi zawładnąć.

Tymczasem poszukiwano gwałtownie nowych świadków i dążono za wszelką cenę do rozmazania i rozszerzenia śledztwa. W toku bezustannych plotek, krążących z ust do ust wersji, tajemniczych podszeptów, rozwielmożnienia się anonimów i fałszywych telefonów, nie była to sprawa zbyt trudna.

Ale sędzia Onufry Niepokojczycki, w którego rękach spoczywało całe śledztwo, był ostrożny w swych posunięciach. Przesłuchiwał świadków, dochodził każdego nowego szczegółu, ale nie ufał policji, nosząc się z zamiarem zwolnienia wszystkich aresztowanych. Ale tak się złożyło, że żaden z nich nie miał obrońcy, nie występował z prośbą o zwolnienie za kaucją, wskutek czego rola sędziego stawała się bardzo utrudnioną, gdyż zwalniając wszystkich na swój własny wniosek, stawał się, jak gdyby obrońcą obwinionych, nie chciał rzucać na siebie podejrzeń, że sprawę bagatelizuje, gdy nabrała ona rozgłosu i szerokiem echem odbiła się w całym kraju.

Zbierał różne szczególiki, które ujawniły się podczas śledztwa i zamierzał jeszcze raz przesłuchać obwinionych, podczas zaś przesłuchania pouczyć ich, jakie przysługują im środki prawne, chcąc w ten sposób przyśpieszyć likwidację całej sprawy.

Tymczasem sprawa skomplikowała się.

PODZWONNE.

Pogrzebem zmarłego Fajtłapy zajęli się jego najbliżsi z rzeźbiarzem Michałem Aniołem Figurką na czele.

Smutny ten obrządek odbył się w najwyższem skupieniu ducha, albowiem wszyscy byli jeszcze pod wrażeniem innej śmierci, która dopełniła czarę goryczy i przypominała wszystkim uczestnikom pamiętnej uczty, jak znikome jest życie ludzkie wobec wieczności.

Jak gdyby dla upamiętnienia tej chwili spadły rogi jelenie nad knajpką Fatjłapy, gdzie już od tygodnia, w apartamentach, nieobjętych pieczęcią sędziego śledczego, zagościł nowy gospodarz, Izydor Brzuchała, który zawzięcie restaurował lokal, zamierzając otworzyć nowoczesną garkuchnię pod „Żelaznym Biustem".

Wierni towarzysze, wracając z cmentarza, długo medytowali przed zamkniętym lokalem nad sposobem uczczenia Walentego Fajtłapy. Smutna zaduma nie schodziła z ich czoła, a w subtelnych du-

szach budziło się dużo ciekawych refleksyj. Ten i ów gorzko zawył, tamten zastękał, a jeden zapłakał jak żubr. Smutek i żal zagościły na tych wesołych niegdyś twarzach, a wspomnienie minionych błogich chwil dławiło gardła, przygniatało piersi i mąciło umysł.

Stawał przed oczyma żywy obraz jubileuszowej uczty, nie platońskiej wprawdzie, ale nie pozbawionej zdrowego sensu i niezwykłej gościnności.

— Umarł! — zawodził niedowarzony wesołek, pobudzający do śmiechu całe towarzystwo.

— Zamknięte! — jęknął spazmatycznie Michał Anioł Figurka.

I znów towarzysze, przykryci całunem śmierci, odbywali społem pielgrzymkę w czasie i przestrzeni, gdzie rej wodził Fajtłapa.

— Biedny Fajtłapa! — litował się Anastazy Pęcherzyk. — Niedługo biedaczysko cieszył się wolnością! Znów spotka się z największym swoim wrogiem: prawowitą małżonką!

Tu słuchacze nie wytrzymali: jęknęli aż zadrżały posady karczmy, aż zawył podwórzowy wyżeł, nie karmiony od dnia śmierci Fajtłapy, aż schowało się słońce za chmury zawstydzone sromotnie, aż wybiegł z izby ogłupiały parobczak i rozwarłszy usta, jak wierzeje stodoły, trwał w oniemieniu.

— Żeby chociaż karczmy nie zamknięto! — zaskrzeczał wesołek, opuszczając miejsce niedawnych zabaw i ekstrawagancyj.

Ociężałym krokiem, oddawszy hołd historycznemu miejscu, ruszył pierwszy Michał Anioł Figurka, za nim zaś inni. I tak, niczem żywe trupy, kroczyli przez ulice Abdery na drugi koniec miasta, do przybytku Polikarpa Mrugały, żeby pokrzepić się snadnie i zapomnieć o jątrzącej duszę ranie.

Tutaj rozegrała się jedna z tych bachanalij, które można było policzyć na palcach.

Doprawdy, warto umrzeć, warto spotkać się z najgorszym wrogiem w zaświatach, żeby zasłużyć sobie na taką pamięć, na taki żal, który wyciska łzy najzatwardzialszym ludziom.

Mało w Abderze było ludzi takiego pokroju. Wszyscy chodzili mocno po ziemi: łatwiej możnaby było przekuć kamienie, niż ich serca! Wyrafinowany cynizm przesiąkł wszystkich i wszystko nawskroś!

I w tym czasie wlokły się jałowo długie letnie dnie w Abderze. Płynęła smutnie i majestatycznie szara wyschła Wisełka. Przeciągłe i przeraźliwe ryki syren okrętowych rozdzierały powietrze i dusze mieszkańców. Wybladła dziarska niegdyś Magda, zanudzana raz po raz przesłuchaniami sędziego Niepokojczyckiego. A jej kraciaste pończochy, będące przedmiotem ogólnego podziwu, zdradzały zatrważający nieład w jej dolnej garderobie, będący jak gdyby wyrazem zrezygnowanej apatji. Ogłupiały parobczak ukrywał się w pobliskim lesie i tylko od czasu do czasu wpadał do miasta, żeby coś przełknąć i zaspokoić niepokojący głód.

Mniejszość polityczna, która przewaliła wybory na całego, dając możność dojścia do władzy staremu burmistrzowi, chodziła, spuściwszy nosy na kwintę, podśpiewując rewolucyjną piosenkę: „Na barykady!.....", w której takt zawodziły opuszczone żony, bezdomne psy i zawiedzione w nadziejach panny...

Tymczasem od strony Komendy Policji, gdzie trawił noce nad rozwiązaniem tragicznej zagadki Sebastjan Ażurek, dochodziły wersje projektowanego zamachu politycznego. Na łamach „Kurjerka" zaczęły się pojawiać ostrożne aluzje pod adresem tajemniczych osób, które rzekomo maczały ręce w potwornej zbrodni, pragnąc zdobyć tą drogą odpowiednie kapitały na agitację polityczną.

Pewnego dnia, czerwonym drukiem, „Kurjerek" zamieścił artykuł pod tytułem:

BYŁY ŻANDARM — KONFIDENT OŚCIENNEGO MOCARSTWA — ZABÓJCA FAJTŁAPY I SOBOTY.

Artykuł kończył się takiemi słowami:

„Pozamykać granice, bo zbrodniarz na wolności! Co robi Komisarz Ażurek? Gdzie sędzia śledczy? Opinja publiczna domaga się szybkiej a energicznej akcji władz sądowych! Tu nic nie pomogą matactwa adwokackie, albowiem jesteśmy w posiadaniu druzgocących dokumentów, że..."

W tem miejscu widnieje biała plama, dzieło konfiskaty Pana Starosty Apolinarego Gajdy, al-

bowiem w tem miejscu następował opis uczty jubileuszowej u Fajtłapy z wymienieniem z imienia i nazwiska wszystkich ucztujących.

„Kurjerek" nie zasypiał sprawy. Jeden za drugim ukazywały się artykuły, piętnujące dotychczasowy bieg śledztwa. Gdzie mógł, między strofkami, przyklaskiwał działalności Ażurka, wzywając go do zamknięcia spelunki „Pod Jeleniem". Dostały się również potężne cięgi innemu właścicielowi podmiejskiej knajpki, Mrugale, ale tego rodzaju artykuły posłużyły jeno za reklamę dla tej podrzędnej instytucji kulinarnej. Mrugała tak się zainteresował artykułami, że zaprenumerował odrazu aż pięć egzemplarzy pisma i przy każdej sposobności rozdawał je przygodnym gościom.

Takie wystąpienia redaktora Cezarego Oligarcha - Wykpijgemby jakkolwiek godziły w samo serce radykałów, stawały się niemal równocześnie kością niezgody wśród zgranego dotychczas towarzystwa.

Mydłek nie mieszał się zbytnio do spraw bieżących, a redaktora nawet podejrzewał o szantaż, robiąc zupełnie usprawiedliwione przypuszczenie, że bezustannem jątrzeniem opinji publicznej chce zmusić Kozika do pewnego okupu, jak to ma we zwyczaju czynić prasa brukowa.

Tymczasem, powoli, cichaczem, ten lub ów wracał do obozu konserwatystów.

Osoba Kozika nie schodziła nikomu z ust. A gdy owego pamiętnego dnia, kiedy podczas skru-

tynjum pełnił obowiązki nieoficjalnego męża zaufania w lokalu wyborczym, Ażurek w towarzystwie kilku policjantów zaaresztował go i z prawdziwie młodzieńczą werwą założył mu kajdanki na ręce, i, tak udekorowawszy, uprowadził ku przerażeniu biernych i czynnych wyborców, do więzienia, Kozik stał się najwyższą sensacją Abdery.

Tłum, jako taki, z natury swej jest zawsze upośledzony i idzie najczęściej za pierwszym popędem. Szybko jednak zbacza z drogi i staje się żywiołem.

Nie można jednak tego było powiedzieć o abderytach. W Abderze ludzie byli obdarzeni wrodzonym instynktem, a nie świadomością dokonywujących się wydarzeń. Jeżeli ktoś tonął, rzucano mu do wody zamiast pasa ratunkowego — kamienie! Jeśli ktoś wieszał się, ciągnięto go za nogi! Jeśli ktoś zmysły postradał, wręczano mu na pamiątkę dobrze nawecowaną brzytwę. To też wierny tym podszeptom krwiożerczego instynktu, tłum, w chwili aresztowania jego bożyszcza, ubóstwianego Kozika, zamiast ratować go, zawył jak dzikie stado wilków i obrzucił kamieniami.

Ażurek tylko bosko uśmiechnął się i czekał chwili, kiedy będzie go „z urzędu" przesłuchiwał.

W gabinecie swym, wspaniałomyślnie zezwolił zdjąć niewygodne bransoletki, zastrzegając, że w razie wykrętnych odpowiedzi lub nietaktownego zachowania się w obliczu władzy, poleci skuć go ponownie, tymrazem na rękach i nogach.

Ażurek pałał jeszcze inną chęcią: świerzbiała mu ręka i pragnął zbić Kozika na kwaśne jabłko, zanim zacznie go przesłuchiwać.

Tymczasem Kozik obrał zupełnie inną taktykę: oświadczył kategorycznie, że wobec bandyty zeznań składać nie będzie.

Wskutek takiego stanu rzeczy, zagwarantowanego proceduralnie, oskarżony, o ile mu nie wlewa się cysterny wody do nosa, albo nie wpuszcza się do wewnątrz wygłodzonego szczura, mógł milczeć jak kamień i Ażurek nie mógł „urzędowo" wydobyć z niego nawet jednego słowa. Nie było innego wyjścia jak oddać go do dyspozycji sędziego wraz z aktami sprawy. A sprawa, w której ewentualny winowajca mógł dostać w prezencie od sądu krawat z prawdziwych krajowych konopi, z miejsca decydowała o dalszej karjerze wyborcy.

Kozik, który nie poczuwał się do żadnej winy, uważał całe obwinienie za misternie ukartowaną intrygę i grę polityczną w związku z jego kandydaturą na fotel burmistrzowski. Z pompą i brawurą, jak jaki bohater i zwycięzca, wkroczył do kancelarji więziennej, żeby otrzymać swój numer. Zachowanie się jego było raczej podobne do zachowania się jakiegoś ministerjalnego wizytatora więzień, niż zwykłego więźnia śledczego, któremu za chwilę miano nałożyć kaganiec na buzię.

I, rzeczywiście, kilka dorodnych i rosłych przedstawicieli porządku więziennego, w szewrowanych zielenią i złotem mundurach, przypomina-

jących raczej elegancką młodzież Korpusu Paziów, niż zwykłych więzienników, chwyciło ognistego Kozika w swoje ramiona i wrzuciło do lochu, zwanego karcem, gdzie szczury i myszy miały swoje siedlisko i rządziły się swemi prawami.

— Małczat! — krzyknął dozorca więzienny, któremu Kozik pragnął wytłumaczyć kilka artykułów procedury karnej, i zatrzasnął z impetem drzwi karceru.

— Biją! — ryknął na całe gardło Kozik, ale tylko echo jego słów odezwało się w różnych zakątkach tej średniowiecznej instytucji.

Nikt go jednak nie bił, a hasło: biją! — było tylko zręcznym manewrem w ustach doświadczonego żandarma. Sądził bowiem, że tym okrzykiem wywoła wzburzenie umysłów innych więźniów, którzy odrazu, jak na komendę, zaczną demolować cele i drzwi na dowód solidarności więziennej.

Pragnął rozejrzeć się w swoim nowym przytułku, ale daremnie otwierał i zamykał oczy: ciemność i wilgoć rozpościerały się we wszystkich kierunkach. Położył się zgnębiony i zbolały na zimnym asfalcie, czekając, co dalej będzie. Nasunęły mu się niemiłe reminiscencje.

— Nosił wilk, ponieśli i wilka! — pomyślał, wspominając, iluż to ludzi niewinnie oskarżył, zadenuncjował, zasadził do więzienia, ileż krzywd wyrządził, ileż spokojnie żyjących stadeł rozbił i poróżnił, ileż oczerniających anonimów wysłał do władz, a potem przeprowadzał na podstawie tych

bezimiennych donosów dochodzenia, nadciągając protokuły i zeznania, teroryzując świadków i podszczuwając znajomych i zainteresowanych. Stanęła przed jego oczyma cała jego służba żandarmska w jednem z ościennych mocarstw, skąd wydostał się wreszcie na własne śmiecie, chcąc wykorzystać swoją wiedzę i doświadczenie służbowe do zrobienia karkołomnej karjery, a tymczasem stał się ofiarą niecnego systemu, który przedostał się i do naszych praktyk.

— Czem wojujesz, od tego zginiesz! — szeptało mu podświadomie rozkładające się sumienie.

— Katy! — krzyknął na cały głos.

— Śpiewać nie wolno!— odezwał się spokojnie dozorca, zaglądając do wewnątrz przez judaszkę.

— Wody skurczybyku! — krzyknął Kozik.

Za chwilę rozwarły się żelazne podwoje i tajemnicza ręka wylała mu na głowę kubeł prawdziwej źródlanej wody, którą sąsiadujący klasztor Marjawitów sprzedaje łatwowiernym na wagę złota, jako środek na porost włosów, utratę tuszy, odmłodzenie i niemoc płciową.

— Chcę pić! — jęknął.

Tajemnicza ręka pstawiła obok niego kubeł wody i niedużą cegiełkę, przypominającą imitację chleba.

— Tak ginęli za wiarę i ideje prorocy i wszyscy święci, — odezwał się Kozik sam do siebie, zapominając, iluż to ludzi sam zgubił w ten, a nie inny sposób.

Skulił się na zimnej posadzce, dopił resztki wody i zasnął.

I śniło mu się, że uzbrojony tłum wtargnął do więzienia i uniósł go na rękach do ratusza! Ażurek zaś zawisł na latarni ratuszowej i z ust jego toczyła się zielona piana.

A gdy obudził się, leżał już w szpitalu, gdyż lekarz więzienny stwierdził 39 stopni gorączki.

Tuż obok niego leżał pątnik apokaliptyczny Alojzy Baranek, znany wróg marjawitów, dopatrujący się w tej nowej sekcie różnych zbereżeństw i głoszący bez umiaru i opanowania różne historje z życia marjawitów, które mają ich zczasem zaprowadzić za kratki więzienne, tymczasem zaś sam Baranek podzielał ich los za zbytnią szczerość i śmiałość w zdradzaniu tajemnic klasztornych.

— I przyjdą fałszywi prorocy i za nosy wodzić was będą! — odezwał się do Kozika, gdy zobaczył jego smutne czarne oczy, podkrążone błękitną obwódką.

Ale Kozik nie spojrzał nawet w jego stronę.

Za chwilę podszedł opasły posługacz szpitalny więzień Felicjan Konopka. Zmierzył temperaturę. Przyniósł pierwszy posiłek i zaczął pocieszać, jak mógł:

— Mogą ci dać artykuł 15-sty, a wtedy, bracie, giemza!

I wymownym ruchem prawej ręki wskazał na szyję.

Kozik nie odpowiadał.

— Robota „na mokro“ nigdy nie popłaca! — dorzucił oddalający się posługacz.

Kozik przykrył twarz kołdrą i srebrna łezka zabłąkała się w jego oczach, które na niejedno cierpienie i ból patrzyły z najwyższym spokojem.

— Frajer albo warjata struga! — zawyrokował Felicjan Konopka, gdy inni chorzy więźniowie zapytali, co to za nowy czuwaks.

Gorączka powoli minęła i Kozik znalazł się w celi więziennej.

Zapowiedziano mu, żeby zaniechał swoich wybryków, gdyż znowu pójdzie do karcu. I Kozik godził się dzielić dolę i niedolę tych wszystkich, których swego czasu również niewinnie zapakował do więzienia.

W zasadzie nie wiedział o co go oskarżono. Sędzia, który w terminie ustawowym przyjechał, żeby go przesłuchać, sporządził tylko krótki protokuł, z którego nie wiele się dowiedział. Sam fakt, że go aresztowano, stwierdzał niezbicie, że musiały być jakieś podstawy, które upoważniały sędziego do zastosowania środka prewencyjnego. W całej aferze dopatrywał się grubszego łajdactwa. A jego niespokojny umysł pracował bezustannie. Nie ulegało wątpliwości, że morderstwa Fajtłapy i Soboty musiał dokonać sam Ażurek. A największem nieszczęściem, które zadecydowało o utrzymaniu aresztu śledczego, była ta błaha okoliczność, że Kozik nie pamiętał i nie mógł udowodnić, gdzie spędził pamiętną noc, gdy dokonano owego morderstwa.

Zręcznie skonstruowane alibi mogłoby go uniewinnić i oczyścić od wszelkich podejrzeń. Fakt, że nie był tego wieczoru w knajpce u Fajtłapy, potęgował jeszcze podejrzenia.

Mijały tygodnie i miesiące, a wszyscy siedzieli spokojnie i wspaniałomyślnie w więzieniu. Pies z kulawą nogą o nich się nie troskał, a wszystkie władze zbierały dalsze dowody niewinności winnych i winy niewinnych.

Życie abderskie, chwilowo wyważone ze swego koryta, znowu popłynęło jak po maśle.

Stary burmistrz dalej urzędował w ratuszu, a Dr. Mydłek został zaangażowany na radcę prawnego.

Plany, projekty i wnioski, które podczas wyborów wydostały się na światło dzienne. znowu powędrowały do archiwum: ktoby w tych ciężkich czasach zajmował się, naprzykład, kanalizacją miasta, kiedy brakowało pieniędzy na uposażenie urzędników magistrackich i djety rajców miejskich.

Obóz radykałów skonał bez bólu i łez. Nikt nie poszedł za jego pogrzebem. A rozproszeni po domowych zaciszach członkowie widzieli niejedno dobro przez magistrat powzięte.

Zrozumieli, że się mylili. A na usprawiedliwienie swej głupoty mieli wymowny argument, że ten się nie myli, kto nic nie robi.

A Kozik nerwowemi krokami mierzył swoją celę i czekał zmiłowania bożego.

Napisał w tej sprawie obszerny memorjał do Dr. Mydłka, prosząc go o podjęcie się obrony. Ale Mydłek odpowiedział, że z uwagi na brudny charakter sprawy — obrony podjąć się nie może.

Więzień zbladł i przycichł. Wtedy przypomniał, jakich swego czasu używał kruczków i matactw, żeby swoją ofiarę oplątać tak misternie, że stwarzały się niezaprzeczone dowody winy i najbardziej wytrawni i zdolni sędziowie nie umieli tych kłębków Arjadny rozplątać.

Stał się zrezygnowany i apatyczny. Oprócz zwykłych nawyknień więziennych, miał jedno, które współtowarzyszów niedoli pobudzało do śmiechu: co pewien czas mierzył paskiem swą talję, podciągał spodnie i ze smutkiem stwierdzał, że brzuch mu do krzyża przysechł.

Wzdychał do wolności, ale tracił już nadzieję, nie wątpił bowiem, że Ażurek dołoży wszelkich starań, ażeby go przytrzymać do rozprawy.

W stosunkach więziennych zaczął się zapoznawać z tradycjami i porządkami sądowemi. Z wyrafinowanym rozmysłem i sprytem wdawał się w obszerne i poufne rozmowy z więźniami, stałymi bywalcami różnych więzień i klijentami różnych sądów, skłaniał ich do wynurzeń i skwapliwie notował wszystkie zasłyszane fakty, które miały mu służyć zczasem do zdemaskowania korupcji i łapownictwa tych lub innych osób. Nie ominął jednego zakątka, ani też jednej sposobności, żeby nie dowiedzieć się coś ciekawego i lapidarnego o wysokich dygnita-

rzach Abdery i miast okolicznych. A niema chyba bardziej wtajemniczonych ludzi jak więźniowie, rekrutujący się ze wszystkich sfer społecznych, których zasięg wtajemniczenia we wszystkie zakulisowe i pokątne drogi jest tak obszerny, że można bez przesady powiedzieć, że jeżeli w więzieniu mówią, że ten człowiek jest bez skazy, to musi być czysty jak brylant.

Tymczasem minęło lato. Skończyły się ferje sądowe. I zbliżała się smutna abderska jesień.

KLIJENTKA Z „PEKINU".

Jest w Warszawie, w samem sercu pulsującego życia, dom ochrzczony mianem „Pekinu".

Złota młodzież i leciwe damy niejedną pamiątkę wywodzą z tego zakonspirowanego przybytku. Niejeden przygodny pielgrzym po Warszawie zanotował w swych pamiętnikach dosadną przygodę, nie pozbawioną posmaku kryminalnego.

Bo tylko kronika kryminalna miljonowego miasta, a za nią jej nieodrodna siostrzyca kolorowa prasa, beknie czasem o podziemnych praktykach tej spelunki, ale milknie rychło przytłoczona okupem w postaci ślicznie zbudowanych klijentek boskiego przybytku, lub innych bardziej realnych wartości.

Tego rodzaju bek prasy codziennej rozbija czasem monotonję wielkomiejskiego życia. Stolica wogóle lubi skandale. A jeżeli już prasa zdecyduje się podać go do wiadomości publicznej, to poda z omastą i w odpowiedniej szacie.

Nie będziemy już poruszali różnych awanturek leciwych dobrodziejek, dziedziczek i innych emerytek, jest to rzecz znana i wytarta jak zły szeląg. Nie zaciekawi nas również koronkowe okradzenie prowincjała, który, wzorem przodków, wpada od czasu do czasu do stolicy, żeby ulżyć sobie i kieszeni. Nie należy również do godnych zanotowania wypadków, że ktoś kogoś bez ceremonji i z zimną krwią z piątego piętra na bruk zrzuci, że ktoś komuś jelita wypruje, chwaląc się nazajutrz, że dokonał czynu humanitarnego, że ktoś kogoś obleje kwasem siarczanym, notabene niesłusznie, bo gdy kto pofolguje zapędom miłosnym, raczej kubła zimnej wody potrzebuje, niż witrjoleju, że ktoś komuś w kwadratowy łeb strzeli i sądzi, że wyzwolił świat, lub wymierzył sprawiedliwość, bo moralność została obrażona, potargane węzły rodziny i... złamana przysięga. Chodzi nam o coś zupełnie innego, co może zrozumieć tylko ten, kto przerósł tradycje i zwyczajowe konwenanse, kto patrzy na świat zupełnie innemi oczyma, zapomniawszy o tem, że jest składową cząstką tego społeczeństwa, które grzęźnie i kapcanieje w nienaruszalnych labiryntach głupoty.

Rankiem, kiedy cała pracująca Warszawa z wywieszonym językiem biegnie obok tramwajów do biur, fabryk i interesów, kiedy rozbawione strojnisie i zawodowe kokoty wracają do swoich luksusowych apartamentów, żeby przespać spokojnie biały dzień, kiedy zbiedzony tłum robotników wylewa swój ostatni pot, żeby wcześniej skonać, pozosta-

wiwszy w spuściznię swoim dzieciom zarodek gruźlicy, — wtedy z Pekinu wysuwają się chyłkiem i nieobaczkiem splecione pary, mknąc w świat i poszukując nowego żeru.

I życie płynie niczem koryto Wisły, które zdolne jest pochłonąć wszelki kał, brud i zgniliznę i sprowadzić wszystko do jednego mianownika.

I, zdaje się, że wóz życia, ciągniony przez jednych i wypełniony po brzegi nieprawościami, tak samo nie załamie się, jak i ten, co idzie bez żadnego wysiłku i nieobarczony niczem...

W tym wielkim domu, mającym swoje tradycje i zwyczaje, o których długo rozwodzi się długoletni stróż tego domu Marcin Safanduła, zczasem podniesiony do godności dozorcy, mieszkała na drugiem piętrze od frontu Aurelcia Wsunczaj, urodzona na Dalekim Wschodzie nad brzegiem morza Żółtego.

Nie mam zamiaru wchodzić w tajemnice zbiorowego życia Pekinu, gdyż interesuje nas tylko osoba Aurelci. Zresztą Aurelcia, jako cudzoziemka, nie utrzymywała bliższych stosunków z innymi mieszkańcami Pekinu. Jej mężem zaufania i powiernikiem był stróż tego domu Marcin. Od niego wynajmowała mieszkanie, jemu płaciła komorne, i z nim dzieliła się swojemi dochodami.

Sąsiadki zprzeciwka jednej i drugiej oficyny napróżno zabiegały o poznanie intymnego życia Aurelci, nikt jednak nigdy nie mógł dotrzeć do wnę-

trzą sanktuarjum, albowiem koronkowe firaneczki izolowały je od świata zewnętrznego.

Jedno tylko było powszechnie wiadome, że Aurelcia miała lat 22, była naturalną blondynką, oraz elegancko i wytwornie ubierała się.

Niejednokrotnie nagabywano elokwentnego Marcina, żeby wtajemniczył w życie zagadkowej lokatorki, ale dyskretny cerber spluwał siarczyście i z nonszalancją i wykręcał kota ogonem.

Ustaliły tylko drogą wywiadu pantoflowego, że Aurelcia pracuje w pewnym Urzędzie do badań nad rozwojem socjalizmu w Chinach, ale nie mogły zrozumieć na czem polegała działalność takiego urzędu. Nawet Marcin, który dokumentnie o tem się przekonał z przedstawionej mu legitymacji urzędniczej, jako człowiek stateczny i uspołeczniony, bądźcobądź przedstawiciel bezpieczeństwa publicznego, łamał często sobie głowę nad tem, co też w takim urzędzie panna Aurelcia może robić.

Ale poza rozmyślaniem w swojej dyżurce w bramie domu, nie lubił wdawać się w szczegóły lub mędrkować z lokatorami i przygodnymi interesantami na wzór swoich domorosłych kolegów po fachu, traktował bowiem Aurelcię jako zwykłą śmiertelniczkę, nie zaś osobę urzędową lub półurzędową, dla której winien niejako posłuszeństwo i zachowanie tajemnicy. Marcin, jakkolwiek chętnie wyciągał łapę po datki, nie lubił po próżnicy psów na lokatorach wieszać, dlatego był lubiany nietylko w całym domu, ale nawet w Komisarjacie Policji.

To też, dzięki tym nadzwyczajnym kwalifikacjom Michała Safanduły, do dziś dnia nikomu nie jest wiadome, że do Aurelci niemal co tydzień przyjeżdżał z Abdery Mirosław Wszędobylski.

Kim był ten elegancki i wytworny pan, który za każdym razem zostawiał mu sowitszy napiwek, Marcin Safanduła nie mógł się w żaden sposób połapać. Raz mu się zdawało, że to był rejent, to znów, że komisarz policji, a czasem przychodziły do głowy najczarniejsze myśli, które odganiał coprędzej, bo może to był szpicel lub szpieg. Wprawdzie szpicel i szpieg oznacza to samo, ale w umyśle Michała te dwa odmienne wyrazy nabierały specjalnego znaczenia: szpicel to był zwyczajny konfident policji, a szpieg musiał być agentem obcego mocarstwa. Z korespondencji, adresowanej do Aurelci, a siłą faktu cenzurowanej przez dyskretnego Marcina, nic nie mógł się dowiedzieć, albowiem listy były pisane tak lakonicznie i pełne różnych domyślników, że trzeba było ukończyć dwie klasy szkoły powszechnej, żeby to wszystko zrozumieć, a Marcin był człowiekiem swego chowu i w papierach było zapisane, że wykształcenie posiada domowe.

Marcin nie należał do tej kategorji sprytnych powierników, co to przez dziurkę od klucza odtwarzają sobie obrazy Sodomy i Gomory, ale był nie w ciemię bity i kuty na cztery nogi. Gdy nadszedł list, a sympatycznego pana dość dawno nie było, rzucił się nań skwapliwie, nad parą odkleił kopertę i, ku wielkiemu swemu przerażeniu, spostrzegł na

liście długą kolorową pieczątkę: „Cenzurowano. Więzienie w Abderze“. Serce zamarło mu ze wzruszenia. Taki porządny pan. Zawsze kilka papierków wcisnął. I siedzi. Jak kamień w murze.

Przeczytał treść: była mętna i ciekawa. Trzeba było zaangażować adwokata i coś jeszcze.... Wysuszył coprędzej list, zakleił i zaniósł.

Następnego dnia nadobna Aurelcia, zapakowawszy walizki, kazała odnieść je do portu przy moście Kierbedzia. Zamknęła swoje sanktuarjum na siedm spustów i, powierzając klucze Marcinowi, odjechała w stronę Abdery.

Na Wiśle panowała cisza. Od strony morza dął wiatr niespokojny, ale ciepły. „Józef Ponury“ pruł fale Wisły, kołysał się z boku na bok, wyszukiwał w Wiśle najgłębsze koryto, żeby nie osiąść w błocie lub na mieliźnie i gwizdał strasznie i przeraźliwie, aż dusza Aurelci wyskakiwała nazewnątrz, podobnie jak wyskakuje oko za uderzeniem silnej pięści.

Siedziała niespokojnie w swojej kajucie, wychodząc od czasu do czasu na pokład, gdzie zgryźliwa mniejszość narodowa szwargotała tak obrzydliwie, a wojskowi tak zręcznie robili do niej oko, jak gdyby uprzednio przeszli specjalny skrócony kurs celowania w tym kierunku.

Nie mogła doczekać się chwili, kiedy twardą nogą stanie na gruncie Abdery. Nie znała tego prowincjonalnego miasta, ale tyle o niem słyszała pod-

czas długich nocy i wieczorów, spędzonych razem z Wszędobylskim.

Drżała na samą myśl, że będzie musiała odwiedzić go w więzieniu i zobaczyć człowieka uwięzionego, postawionego poza nawias całego społeczeństwa, ale obowiązek nakazywał zrobić wszystko, żeby uwolnić ukochanego, może człowieka zupełnie niewinnego. I przypomniała sobie, jak swego czasu aresztowano jej znajomego, a potem jak przyszło co do czego, zamknięto wszystkich oskarżycieli, a oskarżony był wolny.

Przeraźliwy gwizd syreny przeszył powietrze i obudził ją z chwilowej drzemki.

"Józef Ponury" niespokojnie pruł Wisłę i dobijał do brzegów Abdery.

Abdera zaledwie budziła się ze snu. I był śliczny jesienny ranek.

Opodal Pałacu Sprawiedliwości, tuż przy rynku miejskim, wałęsała się grupka pokątnych doradców sądowych.

Nie rekrutowali się oni z wykolejonych urzędników sądowych, ani też z pośród adwokatów, którzy z braku posażnej żony nie mogli stworzyć własnych kancelaryj adwokackich. Byli to ludzie swojego chowu, zrośnięci z sądownictwem w jedną całość, że zdawało się, brak ich mógłby podważać całą instytucję wymiaru sprawiedliwości.

Oni, ci pokątni doradcy, zgóry wiedzieli, jak nikt inny, jaki obrót sprawa weźmie. Oni pisali są-

żniste apelacje i kasacje do sądów wszystkich instancyj. Oni redagowali podania i memorjały do wszystkich ministerstw i urzędów z powołaniem się na modne cytaty b. Departamentu Kasacyjnego Rosyjskiego Senatu. Oni przyśpieszali terminy rozpraw lub odkładali je ad celendas graecas, aż zjawi się jakaś amnestja lub nastąpi przedawnienie. Oni wiedzieli na jaki komplet sędziów można liczyć: który z sędziów jest łagodny, który zaś surowszy, jakie jest zapatrywanie każdego z sędziów na różne rodzaje przestępstw i jakiego należy z tego powodu spodziewać się wymiaru kary. Oni wiedzieli najlepiej w jakim stopniu na wymiar kary wpływa klimat, stan rodzinny sędziego, zatargi miłosne i małżeńskie, nieporozumienia z teściową i wierzycielami, jak również znali wszystkie wypadki z najdrobniejszemi szczegółami, kiedy sędzia wygrał lub zgrał się w karty, jakie lubi napoje chłodzące i wyskokowe i kto mu ceruje skarpetki.

Z tych wszystkich drobiazgów wysnuwali horoskopy, na nich budowali swoje tezy, z tez zaś wyroki.

Byli to więc, jakkolwiek nie dyplomowani, ludzie sprytni, jak gdyby miniaturowe postacie mydłków.

Gdy zrozpaczony klijent wytarł kąty wszystkich instancyj, został docna wydojony przez różnych mecenasów, gdy jedyną deską ratunku był stryczek z dobrego powrósła na złość wszystkich

wierzycielom i dłużnikom, pokątni doradcy jeszcze wtedy umieli niejednemu poradzić i zaradzić.

Gdy chłopek z pod Abdery, wyśrubowany do ostatniego grosza przez komorników i egzekutorów, mógł jeszcze jako tako dociągnąć do przednówka, sprytni doradcy wsiadali mu na kark, zanim kilka kłosów w polu strzeliło w niebo.

Gdy nieugięty kark chłopski trwał zajadle i wytrwale, że nie można zeń było nic wydoić, sprytni doradcy szukali innych sposobów, żeby okiełznać cwanego chłopka. Drogą niedostrzegalnych podszeptów podsuwano myśl wyjazdu do Ameryki, Peru lub... Argentyny, gdzie dolary walają się w rynsztokach, a złoto po ziemi.... I nieugięty kark ustępował. Dolar rzecz łasa. Przez zręcznych doradców wyszukiwał pociotka, kuzyna lub powinowatego, sprzedawał za bezcen ojcowiznę i wyruszał po złote runo...

Djabli wiedzą, co też stało się z takim bohaterem, co przez ocean pędził do familji, która nie mogła poznać swojaka lub się z nim dogadać.

Widzimy teraz jaką wybitną rolę w życiu Abdery odegrywała zgrana paczka doradców, urzędująca na rynku miejskim w pobliżu Pałacu Sprawiedliwości.

Oni to bowiem stanowili poniekąd mechanizm całej naszej biurokracji, bo nie znajdziecie w Abderze mądrego, który bez tego mechanizmu potrafi cośkolwiek załatwić w jakim urzędzie: zostanie niewątpliwie wyrzucony na bruk przez drzemiącego

draba, który zdawało się, że oczekiwał tylko takiej sposobności do wyładowania swojej energji.

Aurelcia, która doskonale znała te stosunki z opowiadań kochanka i z tradycyjnych zwyczajów w urzędach warszawskich, nie była tak naiwną, żeby odrazu wstępować w podwoje Temidy, nie zasięgnąwszy uprzednio porady u znakomitych doradców.

Wprawdzie ufała swojej kształtnej figurce i szelmosko rozchylonym usteczkom, ale nie miała pewności, czy który z abderytów pozna się na tych subtelnych specjałach.

Ale, gdy tak rozmyślała nad gustem abderytów, usłużny brunet zaofiarował się bezinteresownie zająć się odszukaniem sędziego Niepokojczyckiego, prowadzącego śledztwo w sprawie morderstwa Fajtłapy i Soboty.

Wszystko wiedzący brunet, korzystając ze sposobności, poinformował również, że sprawa Wszędobylskiego nie przedstawia się znowuż tak różowo i że z uzyskaniem widzenia będą znaczne trudności.

Aurelcia uwierzyła sympatycznemu brunetowi, który rzekomo pełnił obowiązki aplikanta sądowego w Pałacu Sprawiedliwości. Ale nie będziemy zbyt podejrzliwi lub zgryźliwi, jeżeli zaznaczymy, że brunet istotnie był aplikantem i nie zajmował się pokątnemi sprawami, a zainteresował się Aurelcią tylko dlatego, że wydała się na bruku abderskim typem niepowszednim i rzadkim.

Był to typowy gentleman prowicjonalny, nie zdejmujący z siebie nigdy kostjumu wizytowego i nie rozstający się ze sztywniakiem. Zawsze schludnie ubrany, z laseczką i w rękawiczkach, zaprawiał się do objęcia wysokiego urzędu. A tymczasem nawiązywał stosunki i koligacje.

Uprzejmy brunet tak energicznie zajął się sprawami Aurelci, że zaangażował ją nawet na cały wieczór, który spędzili razem w restauracji „Hotelu Polskiego".

Nie była to wprawdzie uczta platońska, ale zato platoniczna, Aurelcia bowiem raz po raz rumieniła się i nie dała swemu towarzyszowi dojść do słowa, nie mówiąc już o bardziej głębokich roztrząsaniach subtelnej materji.

Już pierwszy kur zapiał, gdy wytworna para szła w kierunku „Hotelu Warszawskiego", gdzie Aurelcia, dzięki pomocy bruneta, znalazła czasowe locum. Zasnęła błogo, jak dziecko po całodziennych igraszkach, w towarzystwie specjalnego rodzaju pluskiew, harcujących wesoło na świeżem i wilgotnem jeszcze od prania prześcieradle, na którem wczorajszej nocy pociło się dwoje nieokiełznanych ludzi w przejeździe do maj. Niemrawo.

A w dzielnicy podmiejskiej, tuż nad wężowo wijącym się strumykiem, w którym dwa razy do roku ukazywała się woda, uśmiechał się do abderytów gościnnem spojrzeniem obwarowany murami kryminał. Tam, w miniaturowej celce, tak zwanej

pojedynce, gryzł usta i robił dwa kroki wszerz i dwa wzdłuż, zapłakany Mirosław Wszędobylski.

Około południa wywołano Wszędobylskiego do tak zwanej rozmównicy, gdzie miało się odbyć widzenie w obecności dozorcy przez jedno okienko.

Oddzieleni od siebie ścianą, rzucili się w ramiona przez małe okienko, patrząc smutnie i z politowaniem.

— Zaco? — było pierwsze słowo Aurelci, która zawsze uważała swego pierworodnego kochanka za człowieka uczciwego, co nie poważy się nawet na szpilkę cudzą, a cóż dopiero na coś, zaco można się dostać za kratki.

Tu Wszędobylski, z patosem i gestykulacją, imponując dozorcy, opowiedział, że został wmieszany, dzięki prowokacji i intrygom politycznym, w sprawę rzekomego zabójstwa dwuch ludzi, zręcznie pomijając sprawę walizki. A gdy dozorca cokolwiek oddalił się, widząc, że Wszędobylski zalewa na całego, nawpół szeptem zaczął ją informować:

— Odszukasz kirkut w Abderze. Od strony wschodniej pnie się w niebo stuletni dąb. Między konarami dębu zakopałem ogromną opancerzoną walizkę, zawierającą miljon dolarów, bliżuterję i kosztowności. Wokół dębu rozpościera się zagajnik, gąszcz i paprocie... Gdy pójdziesz na cmentarz, odkopiesz walizkę i wyjmiesz z niej tyle pieniędzy, ile potrzeba będzie na moje uwolnienie...

— Tak... I cóż mam zrobić, żeby cię uwolnić?

— To rzecz bardzo łatwa. Jest tu w Abderze jeden adwokat, zresztą bardzo sympatyczny człowiek, on wszystkich sędziów i prokuratorów za pysk trzyma: co chce, to z nimi robi... Ale drożnik, bestja, z byle czem iść do niego nie można... Kilkadziesiąt tysiączków dolarów to mu zaimponuje i sprawy podejmie się...

— Jak się ten mydłek nazywa? — pyta zaciekawiona Aurelcia.

— Zgadłaś: Dr. Mydłek się nazywa. Idź do niego. Ile zechce: płać! Może będzie potrzebna kaucja: daj! Resztę zachowaj w tajemnicy: nikomu ani mru-mru... A gdyby.... — zniżając głos informował dalej.

— A szeptem mówić zabrania się, — wmięszał się do rozmowy dozorca.

— Bydlę! — mruknął Wszędobylski i zaczął mówić o rzeczach obojętnych.

A bydlę, jakby przeczuwając nieczystą sprawę, stanęło okrakiem przy okienku, a po chwili zakomunikowało, że widzenie skończone.

Dopiero za bramą więzienną Aurelcia odetchnęła swobodniej i oprzytomniała.

Nie tracąc zimnej krwi, jako że była zdolna do opanowania każdej sytuacji, postanowiła przedewszystkiem odwiedzić Mydłka.

Coprawda, nie wydawała się jej miłą ta wizyta. Wolałaby w innym charakterze odwiedzić tego sympatycznego mecenasa, co takiemi wpływami rozporządzał. Ale dziś nakazywał jej jednak obo-

wiązek zajęcia się sprawą wieloletniego kochanka, który tyle grosza swego czasu w niej ulokował. A i teraz jeszcze rozporządzał takiemi skarbami. Na wspomnienie tego miljona dolarów, biżuterji i jeszcze innych kosztowności mąciło się jej trochę w głowie, ale starała się nie wypaść z roli i wywiązać się sumiennie z pokładanego w niej zaufania.

Myślała nawet, że może byłoby wskazane uciąć skromny flircik z Mydłkiem, żeby tem samem skłonić go do solidniejszego traktowania całej sprawy.

Ale Mydłek, gdy znalazła się w jego gabinecie, wydał się sztywny i oficjalny, niemal niedostępny.

Była nieprzygotowana na takie przyjęcie. Oczekiwała gwałtownego ataku prowincjonalnego dandysa, gotowa nawet była ulec, żeby tylko przyjść z pomocą kochankowi. Znała doskonale całą brutalność dzisiejszych ludzi, którzy, drogą nieoczekiwanych wypadków i nieobliczalnych kataklizmów potrafili wspiąć się na wyżyny życia społecznego, żeby stamtąd pod płaszczykiem upozorowanej moralności sączyć jad i zgniliznę i podważać wszystko u rdzenia.

Wyciągnęła swoją delikatną, i wypieszczoną rączkę w kierunku Mydłka, jak dziecko przesypujące złote perełki piasku, bawiąc się nad brzegiem Morza Żółtego, skąd wywodziła się i przyjechała do tej nieznanej i obcej Polski. Ale Mydłek ani drgnął. Nie zapytał nawet skąd pochodzi i dlaczego mówi takim szkaradnym akcentem.

Aurelcia kleciła niesforne frazesy, pragnąc oddać możliwie przejrzyście powód swego przybycia i charakter sprawy, ale Mydłek okazał się dobrze o wszystkiem poinformowany.

Nie zdradzał, bynajmniej, chęci podjęcia się obrony. Mówił, że sprawa jest brzydka i rozdmuchana, wprawdzie, dałoby się wiele zrobić, ale czyż gra jest warta świeczki?

Wtedy Aurelcia uderzyła w najbardziej czułą strunę: wszak kwestja honorarjum nie gra roli. W przeciągu kilku dni może dostarczyć pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Gdyby było za mało, może być więcej, chodzi wszak o życie i wolność człowieka, który jest jej narzeczonym.

Zapłoniła się cała przy tych słowach i lekki dreszcz przeszył jej ciało. Podniosła dumnie głowę, że tak lekko dysponuje takiemi sumami i czekała.

Mydłek przycichł, zamyślił się i po chwili rozwagi odpowiedział:

— Dobrze! Ale jutro muszę mieć pieniądze, gdyż później może być zapóźno!

— Będą, mecenasie! — odpowiedziała wzruszona

Odprowadził ją do drzwi bez słowa i pożegnał.

Wyjrzał za nią przez okno, a gdy znikła na zakręcie ulicy, wybiegł szybko i podążył krok za krokiem.

Okiem wytrawnego wygi obserwował każdy jej ruch. Studjował każde spojrzenie i zainteresowanie rzucone mimochodem w witryny sklepowe. Nieba-

wem zatrzymała się przed większym sklepem narzędzi rolniczych i, po chwili wahania, weszła do wewnątrz.

Lisim krokiem zbliżył się do okna, wspiął się na palcach: wybierała nieduży ogrodowy rydel i w końcu poleciła jeden z bardziej zręcznych zapakować.

Już teraz wiedział doskonale, co oznacza ten tajemniczy zakup i jakie będzie rozwiązanie całej sprawy. Przeszedł na drugą stronę i skrył się we wnęce domu.

Aurelcia błąkała się długo po ulicach miasta, spędziła kilka godzin w „Złotym Ulu“, gdzie piła kawę i przeglądała ostatnie dzienniki warszawskie.

Spotkała się tam z owym brunetem, aplikantem sądowym.

Aplikant gwałtownie ją emablował, zapraszając naprzemian do kina, lub na kolację, ale Aurelcia nie poddawała się tym namowom, albowiem wieczór dzisiejszy zamierzała poświęcić innej wyprawie, pragnęła zajrzeć do owej tajemniczej walizki i poznać jej zawartość.

Wreszcie poprosiła uprzejmego aplikanta, żeby odprowadził ją do hotelu.

Brunet znakomicie wywiązał się ze swej roli, obdarzył Aurelcię wiązanką róż i omówił się z nią na następny dzień.

Tymczasem Mydłek obserwował ich zdaleka, robiąc najrozmaitsze przypuszczenia co do roli aplikanta, którego znał z sądu jako bardzo zręczne-

go i ustosunkowanego geszefciarza. Znajomość jego z Aurelcią była mu bardzo nie narękę, obawiał się bowiem, że jeżeli to nie jest zręcznie ukartowany plan przez oboje, to napewno aplikant wie o roli Mydłka w tej sprawie.

W każdym bądź razie był zdecydowany zbadać sprawę do końca i w tym celu ulokował się wpobliżu „Hotelu Warszawskiego“, w którym mieszkała Aurelcia.

Aplikant, pożegnawszy Aurelcię, kręcił się jeszcze czas jakiś w pobliżu hotelu, podejrzewając widocznie, że jego przygodna znajoma zamierza odwiedzić jakąś znakomitą osobistość, że nie chciała z nim spędzić tego wieczoru. Gdy zaś nikt nie nadchodził, oddalił się. I Mydłek pozostał sam.

Wieczór zbliżał się powoli. Był to jeden z tych dni jesiennych, który za wszelką cenę nie chce skonać. Duża, ognista tarcza słoneczna, chyliła się ku ziemi, rzucając zdala swoje ostatnie blaski na roztęskniony skrawek ziemi, aż wreszcie zapadła się zupełnie w ziemię i Abdera pogrążyła się w ciemność.

WYPRAWA PO ZŁOTE RUNO.

Gdy zmierzch zapadł, a księżyc zaczął kokietować rozanielone pary, Aurelcia również wymknęła się ze swego chwilowego locum i szybkim krokiem skierowała się w odległą dzielnicę miasta, gdzie niemal w polu rozłożył się cmentarz żydowski, znany w kronikach abderskich z różnych spornych pogrzebów i innych awantur pośmiertnych.

Aurelcia kroczyła niespostrzeżenie, przedzierała się jak sarenka między krzakami młodej olszyny, serce tylko biło jej głośno i złowieszczy niepokój płoszył ją co chwila.

Wokół panowała cisza. Czasem tylko czujne gałązki leszczyny, pragnąc głębiej odetchnąć i wychylić się z gąszczu, zadygotały niespokojnie na wietrze, zamierając po chwili w bezruchu.

Jej bujna i zmysłowa wyobraźnia tworzyła wokół tajemnicze i ruchome cienie. Słyszała zagadkowy tupot nóg, nieuchwytne rozmowy i pocałunki, a nawet stłumiony oddech doprowadzonej do ostateczności samiczki. Doznawała wtedy dziwnego

wzruszenia i jakiś rozkoszny dreszczyk przeszywał jej ciało. Wspomniała twarz wszechpotężnego Mydłka, który okazał się tak powściągliwy na jej wdzięki, jak nikt inny z mężczyzn. Zapłoniła się na jego wspomnienie, ale zdrowy rozsądek przywoływał ją do porządku, żarła ją gorączka jak najszybszego wydostania pieniędzy, ukrytych na kirkucie.

W drodze zaczęła ją nurtować znamienna myśl, żeby z tajemniczej walizki wydobyć większą sumę, naprzykład pół miljona dolarów, a może nawet cały miljon... W czasie tych rozmyślań doznawała dziwnych dreszczów niepokoju, otwierających wierzeje całego świata.

— Boże! Miljon dolarów! Toż to suma, za którą można cały powiat wykupić! Całą dzielnicę kamienic w Warszawie! A ulokowawszy kapitał na procent, to można mieć samych procentów...

Gdy tak bredziła, jak we śnie, Dr. Mydłek szedł za nią krok w krok, nie spuszczając niemal z oczu.

Nie słyszała jego ostrożnych kroków, gdyż pogrążona w marzeniach czuła się możnowładczynią, do stóp jej uginały się kolana pochlebców i składających hołdy młodzieńców. Każdy pragnął całować wypieszczone paluszki, szukać jej towarzystwa, szaleć za nią... kochać się w niej.

Do uszu jej dobiegały symfonje przeróżnych utworów muzycznych, zasłyszanych w różnych czasach i najdziwniejszych okolicznościach. W powie-

trzu wyczuwała unoszący się zapach kwiatów i pachnących olejków.

— Jak rozkoszne jest życie! Jak cudny jest świat, gdy się posiada klucz do niego.

Młoda pierś zafalowała. Twarzyczka oblała się rumieńcem. I tak podniecona żądzą życia i użycia pędziła już naprzełaj, nie zważając na nic, żeby tylko prędzej dotrzeć do miejsca ukrytego skarbu.

Nagle drgnęła... Zadrżały pod nią nogi... Głowa, jakby pozbawiona mózgu, runęła w otchłań kotłujących się myśli: ktoś szedł za nią.

Całą siłą swej woli i świadomości, odwróciła się i spojrzała wstecz: nie było nikogo!

A słyszała, jak zatrzeszczał chrust, jęknął miękki mech pod ciężkiemi stopami, ale odrazu wszystko zamarło: cicho i pusto!

Rozejrzała się wokół i przyczaiła się obok dużego pnia, chcąc chwilę odpocząć, przysłuchać się, ochłonąć, bo serce zabiło w niej niespokojnie na myśl, że może jest śledzona przez policję.

Ale nie mogła sobie wyobrazić tej okropnej sytuacji, jednak myśl raz rzucona kiełkowała dalej i nie opuszczała jej.

A noc była cudowna! Jedna z tych nocy wrześniowych, które kładą się na ziemię w postaci cudnego baldachimu odurzającego dojrzałego lata.

Wrodzony instynkt kobiecy wyczuwał w tej czarodziejskiej nocy misternie uknutą zdradę. Nie mogła jednak przeniknąć ukrytej przed nią tajemnicy i cała inteligencja mózgu, pracującego bezustan-

ku, załamywała się wobec nieprzebytej opony, którą tylko podświadomość chwilami rozświetlała tajemniczemi błyskami.

Nagle stanął przed jej oczyma obraz Wszędobylskiego. Ujrzała kraty więzienne, brzęk kluczy i monotonny śpiew więźniów.

Srebrna łezka zaperliła się na jej policzku. Za nią jeszcze jedna. Aż wkońcu wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

Zrosiwszy łzami niewdzięczną ziemię i uczuwszy niejako ulgę na sercu, ruszyła dalej, pragnąc jeszcze tego wieczora stać się właścicielką owych dolarów, beznadziejnie gnijących w ziemi.

— Naplewat', — odezwało się melodyjnie echo.

Skądś zerwał się wiatr. I las napełnił się skoczną muzyką. Smukłe dębczaki rzucały się dystyngowanie w objęcia białych brzózek i rozpoczynały tany. Od swawolnego czardasza przechodziły w takt posuwisty i rytmiczny, zdradzając w czułych objęciach wobec jasnej nocy swe najtajniejsze myśli. A gdzieindziej można było dosłyszeć szept tajemniczy, lecz nie złowrogi. To odwieczne dęby, buki i klony, zrzadka rosnące tu i ówdzie w promieniu cmentarza, coś mają do powiedzenia przyglądając się młodszej latorośli, coś dorzucają, przytupują lub tłumaczą sobie.

— Panowie do swych pań! — zakomenderował urodziwy dębczak.

I znowu zakołysały się pary, aż znieruchomiała z podziwu żółknąca kępa paproci i stary dąb ugiął

swoją srebrzącą się w świetle księżyca koronę, żeby lepiej przyjrzeć się młodzieży.

A księżyc dziś wyjątkowo dobrze był usposobiony i nie ukrywał swego łysego łebka za chmurami, lecz tylko poważnie patrzył na świat, medytując nad nieskończonością przestrzeni i czasu.

I gdy wiatr zniżył swą muzykę o pół oktawy, Aurelcia dotarła wkońcu do oznaczonego miejsca, wydobyła ze zgrabnego neseserku elegancką łopatę i, zakasawszy rękawy, jęła się pracy.

Ważne miał snadź sprawy do załatwienia zawsze ciekawy księżyc, skoro w tym czasie zakrył się chmurami i pogrążył Aurelcię w zupełnej ciemności. Minęły dobre dwie godziny, a on ani zerknął w tę stronę. Napróżno Aurelcia wyglądała ku niebu, oczekując boskiego światła, musiała w ciemności wkopywać się w korzenie dębu, aż wreszcie, kiedy pot kroplisty wystąpił na jej czoło, dokopała się do walizki.

Ale z wydobyciem walizki była sprawa trudniejsza. Obkopała ją ze wszystkich stron, to jednak w żaden sposób nie mogła wydobyć z jamy. Ciężar bowiem walizki przekraczał jej siły. Z tem się Wszędobylski, dając polecenie, nie obliczył.

Napróżno słabe rączyny Aurelci chwytały żelazne okucia walizki: nie mogła jej ruszyć z miejsca. Wysiłek jej był tak wielki, że pękły sznurówki gorseciku, a skarb ciążył ciągle ku ziemi.

Wściekła była na Wszędybylskiego, że ją, słabą, do takiej misji powołał. Zagryzła jednak

uszminkowane usta i z jeszcze większym wysiłkiem zaczęła zasypywać dół, a potem sprytnie układać darninę na wierzchu. Usunąwszy wszystkie ślady, popędziła ku miastu.

Kiedy nocna rusałka popłynęła w głąb lasu, żeby wydostać się na znajomą ścieżkę, z gąszczu wysunęła się postać mężczyzny, który wprawnem okiem oceniwszy sytuację, smutnie pokiwał głową i powiedział:

— Eh! babska robota, nawet łopatę zostawiła! I takiej się zachciewa dolarów!

Na pudełku od papierosów skreślił zręcznie plan sytuacyjny, zapalił papierosa i zawrócił zpowrotem.

Dopiero następnego wieczoru, zaopatrzywszy się w odpowiednie narzędzia, przybył Dr. Mydłek na miejsce, gdzie w cieniu rozłożystych gałęzi dębu spoczywał skarb. W przeciągu kilku minut wyrzucił ziemię i dostawszy się do obok wykopanego dołu, kilku uderzeniami oskarda dobrał się do wnętrza walizy, przełożył wszystkie znajdujące się banknoty dolarowe, biżuterję i inne kosztowności do dwóch zręcznych sakwojaży i z tym nieoczekiwanym łupem wydostał się na świat boży.

Waliza, pozbawiona swego majątku, spoczęła do góry dnem, i została zasypana piachem na wieczną rzeczy pamiątkę, a Mydłek szybkiemi krokami oddalał się od miejsca, niosąc łatwo zdobyty pieniądz do swej kosztownej willi, gdzie mógł pędzić

życie sybaryty, stawszy się za jednym zręcznym manewrem miljonerem dolarowym.

A gdy już znalazł się w domu, ucieszony i uradowany, zaczął roić o szybkiej karjerze, zamierzając w najbliższym czasie przenieść się do Warszawy, żeby wypłynąć na głębsze wody.

W kilka dni później Aurelcia znowu odwiedziła Dr. Mydłka.

— Pieniądze pani przyniosła? — zapytał obcesowo dystyngowany gentleman.

— Niestety! — jeszcze nie posiadam, ale za kilka dni dostarczę potrzebną sumę.

— Za kilka dni będzie już zapóźno! Dzisiaj właśnie upływa termin, jutro bowiem sprawa uzyska urzędowy bieg i interwencja moja już nic nie pomoże.

— A więc ostatnia deska ratunku...

— O cóż chodzi: jest przecież tyle innych wyjść! Możemy z sobą mówić szczerze i otwarcie! Poco się pani będzie w całą tę sprawę wikłała: interwencja jej nic nie pomoże, ale pogorszyć może! Jest pani młoda, przystojna, bogata, — czyż nie lepiej wycofać się z tej brudnej afery, póki czas, póki pani nie została zaplątana. Wszędobylski z niej się nie wygrzebie, gdyby nawet udało się uratować od śmierci, to dożywotnie murowane!

— Pan mnie przeraża, Panie Mecenasie!

— Nie mam zamiaru przerażać: chcę tylko udzielić pani bezstronnej porady. Gdyby pani już była żoną, rzecz inna, położenie bez wyjścia, ale

w tych warunkach najlepszem wyjściem jest wycofanie się z całej sprawy, póki nazwisko pani nie figuruje w aktach. Jeżeli pani mnie nie usłucha, będzie gorzko żałowała swych niebacznych kroków.

I Aurelcia pożegnała Dr. Mydłka. Ale po godzinie zdecydowała jeszcze raz go odwiedzić i upewnić się. Może kierowała ją ciekawość kobieca i pragnęła poznać go bliżej, skusić swą urodą i zawiązać z nim jakąś nić poufalszą i serdeczniejszą, może chciała przekonać się, czy naprawdę tak łatwo rezygnuje za sposobności zarobienia kilkudziesięciu tysięcy dolarów.

Kiedy wstępowała w progi Dr. Mydłka nawet przez myśl jej nie przeszło, że koncepcję zastraszenia jej i odsunięcia od całej sprawy miał już zgóry przygotowaną, żeby w ten sposób usunąć wszelki cień od swej osoby.

Sprawa, którą niewątpliwie udałoby mu się uratować, nawet w drodze normalnej, mogła jeszcze długo pokutować w sądach, zanim znalazłaby się na wokandzie. Teraz mu wcale nie zależało na ratowaniu Wszędobylskiego, gdyż cały skarb, zrabowany Sobocie, posiadł i zdołał sam ukryć, żeby we właściwym czasie puścić w obrót.

— Sprawa jest brudna! — tłumaczył speszonej Aurelci. — Dowody, przemawiające przeciw niemu, jak na dłoni! W tych warunkach trudno podejmować się sprawy, gdyż niema żadnych szans wygrania, a ja, Dr. Mydłek, mogę podjąć się tylko takiej sprawy, gdzie jestem przekonany o niewinności kli-

jenta i z czystem sumieniem mogę przed sądem popierać swoje tezy.

Aurelcia pragnęła zabrać głos, ale Mydłek skinieniem głowy zmusił ją do wysłuchania swej przemowy.

— Pani jest kobietą młodą i... piękną, a Pani przyjaciel, narzeczony, nie ujrzy, niestety, światła dziennego i proszę mi wierzyć... proszę wierzyć... (tutaj Mydłek zgrabnym ruchem uczynił piękny gest około swojej szyi).

Oboje zrozumieli, że nie trzeba więcej mówić na ten temat.

Aurelcia milczała. Ale poczuła pewną sympatję do swego obrońcy, który otwierał jej oczy na istotny stan sprawy.

Wyczuwając ten smutny epilog kochanka, wzdrygnęła się na samą myśl, że związała się z człokiem, który w tak młodym wieku zasłużył na szubienicę.

A w chwili, gdy owiana wzgardą do uwięzionego, opuszczała apartamenty Dr. Mydłka, przyszło jej na myśl, jakże niesprawiedliwy jest jej sąd o człowieku, który, gdyby nie owa sprawa, mógłby być nadal najlepszym człowiekiem pod słońcem, czczonym i szanowanym, że tylko zbieg okoliczności, lub pewne załamanie się zręcznie pomyślanych projektów popchnęło go do kryminału.

Bo, uderzmy się w piersi i pomyślmy tylko, ilu morderców, trucicieli, złodziei grosza publicznego, łapowników i innych systematycznych zbrodnia-

rzy i przestępców ociera się codzień około nas, zajmując wybitne stanowiska i wspaniałomyślnie wyciągając dłoń do uścisku, pełnego dystynkcji i poważania, i tylko dlatego, że właściwej sprawie we właściwym czasie nie nadano biegu, że zabrakło dowodów winy, że sąd nie dopatrzył się cech przestępstwa, że świadkowie byli przekupieni, że sprawa została zatuszowana i że wogóle nie wylazło szydło z worka.

A choć fama głosi, gdzie, co, i jak, zbrodniarze i przestępcy chodzą wolni, korzystając nietylko ze wszystkich praw, ale nawet z przywilejów, obsypywani są darami i łaskami, najwyższemi godnościami, odznaczeniami i orderami.

Czyż jest więc jakakolwiek różnica między przestępcą gnijącym w więzieniu a korzystającym w całej pełni z wolności, chyba ta, że pierwszy za swoje grzechy odpokutuje, gdy ten drugi szydzi z sądu i sprawiedliwości.

TRUP W WIĘZIENIU.

Wszędobylski niespokojnemi krokami mierzył swoją celę, oczekując wiadomości od Aurelci.

Nie nadchodziły jednak żadne wieści, które mogłyby zwiastować zbliżanie się końca jego udręczeń. Inni więźniowie z równym stoicyzmem oczekiwali wolności, pisząc sążniste zażalenia do władz o dziejącej się im krzywdzie.

W najbliższy piątek Wszędobylski oczekiwał znowu Aurelci. Oczekiwał tymrazem z większą pewnością, niż dawniej. Jakieś dziwne przeczucie łączyło się z myślą o niej. Człowiek, który miał żelazne nerwy, umiał silniej, niż kto inny, wyczuwać wiele rzeczy dokonywujących się w czasie i przestrzeni. Przeczucie go nie zawiodło. W południe zawołano go do kancelarji do sędziego Niepokojczyckiego, który kolejno przesłuchiwał wszystkich oskarżonych o zabójstwo Fajtłapy i Soboty.

Była to pożegnalna wizyta Niepokojczyckiego. Kończył śledztwo, by akty sprawy w dniach najbliższych przesłać do Prokuratora z odpowiedniemi

wnioskami. Wszystkim oskarżonym, ogłaszając zakończenie śledztwa, proponował wniesienie zażaleń do Sądu na areszt śledczy. Nie twierdził wprawdzie, że zostaną zwolnieni, jednak z jego niedomówień można było wnosić, że sprawa zeszła na korzystne dla oskarżonych tory.

Wszędobylski po przesłuchaniu u sędziego nabrał humoru i był pewien, że lada dzień opuści mury więzienne. Naturalnie, dopatrywał się we wszystkiem ręki Dr. Mydłka.

— Co to znaczy zaangażować dobrego adwokata? — wynurzał się przed współtowarzyszem niedoli, zawodowym złodziejaszkiem, którego ambicją było, że od maleńka był złodziejem.

— Eh! Frajer z pana, panie Wszędobylski, adwokat to tylko do wyciągania pieniędzy z kieszeni. Kiedy miałem ostatni raz sprawę o kradzież przed paru miesiącami, przychodzi do mnie taki picuś z Patronatu nad Więźniami i mówi: Przyznaj się, okaż skruchę przed sądem, dostaniesz łagodniejszy wyrok! A ja na to: Nie przyznam się! Nie jestem winien! Jednem słowem: zaparte! Jeszcze przed ostatniem słowem namawia mnie, żebym się przyznał. Tymczasem sąd ogłasza wyrok: uwolnić oskarżonego od winy i kary z braku dowodów! No — i jak tu wygląda adwokat!?

— Święta racja, przyjacielu! Ale w sprawach ważniejszych, że tak powiem politycznych, jak moja, wpływowy i ustosunkowany adwokat może wiele zaradzić. Chociażby taki Mydłek! Dopiero tydzień

temu była u mnie narzeczona, którą skierowałem do Mydłka, a już dziś sędzia zupełnie inaczej gada! Już niemal sam podpowiada: pan siedzi niewinnie!

Złodziejaszek jednak nie dał się przekonać, miał on wyrobiony sąd o adwokatach i jako stały pensjonarz więzienny, uważający czas pobytu na wolności za urlop służbowy, patrzył niechętnem okiem na przygodnych więźniów.

Wszędobylski pokładał wielkie nadzieje w Mydłku. Przedewszystkiem znał go z najlepszej strony, wiedział, że skoro weźmie pieniądze, może dokonać cudów. A pieniądze przecież były i to pieniądze takie, wobec których zmiękłoby i złagodniało najtwardsze i najbardziej nieczułe serce!

Nad wieczorem wezwano go znowu do kancelarji. Tymrazem otrzymał tak zwaną „wałówkę“. Żeby zabrać wszystkie paczki, jakie nadesłała mu Aurelcia, musiał wziąść do pomocy jeszcze paru współtowarzyszy niedoli. Ta obfitość nadesłanych prowjantów znamionowała, że Aurelcia dobrała się do pieniędzy i działa.

W porywie radości porozdawał część otrzymanych smakołyków tym więźniom, z którymi utrzymywał bliższe stosunki i którzy wyręczali go w różnych uciążliwych czynnościach i dyżurach, zostawiając sobie tylko to, co mu najbardziej odpowiadało.

Żył w gorączce oczekiwania. Ze spalonemi ustami i niespokojnym krokiem mierzył swoją celę, nadsłuchując każdego trzasku drzwi na korytarzu

i brzęku kluczy. Liczył już nie dnie, lecz godziny. Gdy żadna wiadomość nie nadchodziła, budziły się w nim czarne myśli, dręczyła go niepewność i opanowywała apatja.

Niema chwil cięższych, jak chwile gorączkowego oczekiwania. Wyczerpują nerwy i cały organizm. W stosunkach sądowych więzień podobny jest do aktu, który został schowany do biurka, żeby się odleżał aż sprawa dojrzeje. Tylko że akt zostanie aktem, a człowiek nie będzie już tym samym człowiekiem. Tem się zresztą nikt nie przejmuje, bo kryminał jest od tego, żeby w nim siedzieć.

W parę dni po ostatnich zajściach, jeden ze współtowarzyszy niedoli, obdarowany przez Wszędobylskiego paczkami, otrzymanemi od Aurelci, zasłabł. W nocy zabrano go do szpitala, a nad ranem zmarł.

Ponieważ lekarz więzienny nie mógł ustalić przyczyny śmierci, ciało poddano sekcji zwłok, która stwierdziła otrucie.

W więzieniu powstała panika. Przybył prokurator. Zaczęło się śledztwo.

Dziwny niepokój zakradł się do duszy Wszędobylskiego. Zbudziło się w nim podejrzenie, że trutka była przeznaczona dla niego.

Po nitce do kłębka śledztwo wpadło na trop licznych paczek Aurelci i rozdawnictwa ich wśród więźniów.

Wszędobylski jednak, chcąc odsunąć podejrzenie, oświadczył kategorycznie, że zmarłemu więźniowi niczego nie dawał.

W duszy jednak był pewien, że w całej tej aferze kryje się jakaś zagadka.

Przypomniał, że istotnie temu umrzykowi podarował słoik miodu.

Wezwany do kancelarji widział ów słoik na stole przesłuchującego go prokuratora. A więc mają dowód. Postanowił jednak zaprzeczyć, gdyby go zapytano, skąd miód ten pochodzi. Pomimo wszystko żarła go trwoga. Gdyby Aurelcię aresztowano, sprawa znaczniеby się skomplikowała. A z wymarzonej wolności pozostałyby jeno marzenia.

Zmęczony całodziennemi medytacjami, zległ po apelu na swem łóżku, oczekując co dzień następny przyniesie.

W nocy dostał wymiotów.

Wystraszona administracja zawezwała lekarza, zawiadamiając równocześnie sędziego Niepokojczyckiego.

Nazajutrz niemal o świcie wpadł, jak bomba, sędzia Niepokojczycki z całym sztabem policji, ekspertów, łapiduchów i innej ciekawej służby, wśród której apatycznie machał ogonem czworonożny agent policyjny wilczur Kusy.

— Wszędobylskiego otruto! — opowiadano wszędzie w więzieniu, nikt jednak nie znając sprawy nie mógł połączyć faktów i wyciągnąć jakiegokolwiek przypuszczenia.

Tylko żandarm Kozik, stary kryminalista i Bogobojny badacz pisma świętego na własną rękę, uśmiechali się ironicznie, dopatrując się we wszystkiem ręki Ażurka.

A Ażurek, kiedy eksperci stwierdzili po przepłókaniu żołądka Wszędobylskiego, że został otruty lipcowym miodem z zawartością tajemniczej trucizny, pobiegł do telefonu i na własną rękę zarządził aresztowanie Aurelci.

Gdy zaś sędzia Niepokojczycki badając kontrolną księgę przyjmowanych dla więźniów paczek, odczytał: Aurelja Wsunczaj, i zwrócił niespokojny wzrok w stronę Ażurka, ten dzwoniąc ostrogami zaraportował:

— Aresztowana!

Tu dopiero sędzia do spraw szczególnej wagi musiał przyznać, że Ażurek jest sprężystym wykonawcą władz i jak mgła rozproszyły się jego wątpliwości co do winy innych oskarżonych.

— Kozik, Bogobojny i... Wszędobylski czernieją w kryminale dzięki dzielności i sprężystości Ażurka, który uprzedza wypadki.

— Jaki jest stan otrutego? — zwrócił się do lekarza więziennego po pewnym namyśle.

— Będzie żył!

W błogim nastroju opuściła komisja więzienie, a Wszędobylski na łożu boleści, po dwukrotnem przepłókaniu bebechów, dowiedział się, że sprawczynią jego boleści była Aurelcia. W tej chwili pożegnał się czule z walizką, domyślił się bowiem, że

pragnęła zgładzić jego z tego świata, żeby zawładnąć dolarami.

W tym nastroju zamajaczyła mu się niemiła perspektywa szarych lat więziennych jako konsekwencja bezgranicznej miłości kochanki.

Tymczasem sędzia Niepokojczycki, zbadawszy Aurelcię, która niczego nowego do sprawy nie wniosła, stwierdzając, że o sprawie nic nie wie, żadnej trucizny do miodu nie dodawała, że przyjechała do Abdery na żądanie jej narzeczonego, żeby się nim zaopiekować, że nawet w sprawie podjęcia obrony zwracała się do Dr. Mydłka, pragnąc poświęcić wszystkie swoje na ten cel oszczędności, — nie mógł dalej, z braku dowodów winy, trzymać w więzieniu Kozika, Bogobojnego i Wszędobylskiego, innych bowiem jeszcze przed wypadkiem usiłowania otrucia pozwalniał.

Rankiem pewnego pięknego słonecznego dnia przed wszystkimi trzema otworzyły się bramy więzienne i znaleźli się na wolności.

Tak też, wbrew wszelkim oczekiwaniom, sprawa zeszła na zupełnie inne tory.

Tylko jeden Wszędobylski pozostał ze smutnem przekonaniem zdradzonego kochanka, co oblekło się w realne szaty, albowiem gotówka, jak to sam stwierdził naocznie, z walizki zginęła.

Znając jednak perfidyjność niewiast, sądził, że środkami łagodnemi, czułością i dobrocią nawróci jawnogrzesznicę, że wskaże miejsce lub ewentualnego gacha, u którego skryła gotówkę.

Kierując się temi względami, usiłował przekonać sędziego Niepokojczyckiego, że między otruciem a Aurelcią niema żadnego związku, że było to dzieło przypadku i gatunku miodu, znane bowiem są zdawien dawna wypadki zatrucia miodem, gdy pszczoły zbierają swą słodycz z pewnych trujących ziół.

Na zasadzie kategorycznego „odpucowania“ od sprawy i złożonej przez Wszędobylskiego kaucji, Aurelcia również została zwolniona z więzienia.

Tuż przed bramą więzienną czekał na nią Wszędobylski, pragnąc wydobyć tajemnicę, gdzie ukryła dolary.

AURELCIA

Mydłek umiał czytać myśli ludzkie, toteż szybko odgadł, że zachmurzone liczko Aurelci, to nie walka wewnętrzna, gdzie głos serca dominował, lecz raczej resztki wstydu niewieściego, który bądź co bądź jest nie małą ozdobą dziewicy.

Podczas następnej wizyty, tak manewrował, utwierdzając winę kochanka, tak roztaczał przed nią zdradzieckie sieci niegodziwości ludzkiej, że Aurelcia nabrała naprawdę przekonania, że jest tylko narzędziem przestępstwa w rękach Wszędobylskiego.

Ta szczerozłota nuta Mydłka wkradła się w serduszko Aurelci. Coś w niej załkało, coś ją gniotło, a równocześnie dodawało sił do lotu.

I w takiej głupiej rozterce ducha, podczas wizyty u Mydłka, Aurelcia głośno załkała.

Wytworzyła się sytuacja, która staje się podłożem wszelkich możliwości, a między młodymi może być mowa o tem, o czem wogóle się nie mówi.

Rzeczą Aurelci było głośno płakać i narzekać na swój los, Mydłka zaś — uspokajać, pocieszać i tak

ukajać ból, że w normalnych warunkach za takie argumenty dostaje się po pysku.

Nie było zresztą nadzwyczajnych wstrząsów, jakich się spodziewać należało, gdy bowiem zapasy histerji zaczęły się wyczerpywać, Aurelcia znalazła się na kozetce.

Na tej placówce społecznej, jak zresztą i na każdej innej, Mydłek był mistrzem.

I posypały się siarczyste pocałunki jak z bicza.

I odkryto tu cuda, jakich w Pekinie nikt się nie doszukał.

I wszystko było tu piękne. I małe rączki. I drobne stopy. I smukłe ramiona. I łabędzia szyjka. I woń perfum, fabrykowanych przez Anastazego Pęcherzyka.

W podnieconej atmosferze oschły łzy, i zamiast cudnych brylantów rosy, zajaśniały piękne oczy Aurelci.

Na ulicach Abdery padał deszcz. Tak więc złożyło się, że młodej parze sprzyjały nawet warunki atmosferyczne. Przyjaciółka Mydłka — Felunia wyjechała do pobliskiej wsi, gdzie nudziła się budując zamki na lodzie. Nikt przeto nie zakłócał spokoju.

Późnym wieczorem wróciła do swojej rezydencji w Hotelu Warszawskim, tej samej bowiem nocy zamierzała zajrzeć do sławnej walizy na kirkucie.

Serce waliło w dziewczynie jak młotem, gdy ponownie dokopywała się do walizy. Zamarło jednak z przerażenia, gdy stwierdziła, że waliza jest rozpruta i wewnątrz pusta.

Zakotłowało w biednej kształtnej główce. W jednej chwili wszystkie marzenia i projekty djabli wzięli. W jednej chwili poczuła się wrogiem Wszędobylskiego, gotowa była zgładzić go z tego świata, żeby nie ciążył więcej na jej życiu, żeby zginął zanim dotknie go kara śmierci.

W jednej chwili odgadła całą prawdę, wokół której kojarzyły się różne wersje o licznych kochankach Wszędobylskiego.

— Więc była jeszcze jedna, której powierzył tajemnicę walizki?

I Aurelcia zapałała zemstą zdradzonej kochanki.

— Zginiesz, psie podły! — wykrztusiła przez zęby.

— Niech ich cholera zdusi! — myślał w tej chwili Dr. Mydłek, układając paczkę dolarów, którą miał zmienić w banku w najbliższym czasie.

Nie obchodziła go już Abdera. Obmyślał plany na przyszłość, zamierzając przenieść się do stolicy, gdzie z większą forsą można było żyć i nie umierać.

Wprawdzie zaczęto w tym czasie bardzo poważnie mówić o wyborach do nowego Sejmu.

Czyby tak nie spróbować kandydować z Abdery?

Przy poparciu pewnej sumy dolarów sprawa poszłaby jak z płatka.

Zastanawiał się, czyby nie zaaranżować w Abderze wyborów, i zamierzał w tej sprawie naradzić się w najbliższym czasie z sędzią Grzmotem.

Tymczasem, gdy pewnego dnia zaniósł paczkę dolarów do Banku dla Handlu i Szwindlu, żeby je zamienić na rodzime mareczki, kasjer z finezją godną lepszej sprawy zakomunikował mu:

— Panie Mecenasie! Te dolary są fałszywe! Już kilkanaście banknotów tego typu przesłałem do Urzędu Śledczego. Komisarz Ażurek prowadzi w tej sprawie śledztwo i podobno jest już na tropie fałszerzy.

— To może pan pozwoli...? — I Dr. Mydłek wyciągnął rękę, żeby zabrać dolary zpowrotem, lecz uprzejmy kasjer powstrzymał ten ruch, oświadczając:

— Niestety! Według obowiązującej instrukcji zmuszony będę fałszywe dolary przedłożyć swemu Radcy Prawnemu, osobę zaś pragnącą je zmienić zatrzymać. Ponieważ pan, panie Mecenasie, jest osobą powszechnie znaną, ograniczę się tylko do podania pańskiego nazwiska. O dalszym więc losie dolarów zechce łaskawie dowiedzieć się Pan Mecenas u naszego radcy prawnego.

Dr. Mydłek oniemiał.

EPILOG

Kiedy Aurelcia, po kilkadniowym pobycie w klasztorze „Serbja“, wracała do świata żywych, nie czekał na nią zastęp młodych ludzi z kwiatami, lub gromadka kwilących dziatek za mamusią, czekał ją tylko — groźny jak piorun — Mirosław Wszędobylski.

Dawny kochanek, chociaż oficjalnie nie wyrzekał się i dziś swojej godności, nie myślał już o szalonych uściskach i o tem, co potem, ale myślał o fortunie, której djabeł sprytnie uszył worek przy pomocy nadobnej dziewoi.

Sama dziewoja, zdaniem Wszędobylskiego, mogła zapaść się w ziemię na 10 łokci, skonać odrazu lub na raty, wpaść pod samochód, byleby forsa, forsa ostała się. Wszędobylski bowiem należał do tego typu ludzi, którzy podśpiewują przytupując:

— Grunt to forsa!

A tymczasem grunt był, owszem, dobry i użyźniony grunt na kirkucie, ale forsa wściekła się.

Spotkanie było spokojne, albowiem Wszędobylski postanowił działać ostrożnie, żeby nie zrazić Aurelci.

Okazał tylko pewien umiar w czułościach, z któremi powitała go Aurelcia.

Naturalnie, musiała zalać się łzami, narzekać na swój los, tylko dlatego, że była zawsze wierna, że nie zdradziła go z nikim, że zmarnowała młodość,



Wszędobylski po wyjściu z więzienia indaguje Aurelcię.

naraziła na szwank swe dobre imię, i tak dalej, dalej, o czem można dowiedzieć się w pierwszym lepszym romansie, mającym za zadanie stręczenie do nierządu przez apoteozowanie głosu serca w trójkącie.

Wszędobylski, który pamiętał różne bujdy w sprawach sercowych z różnemi gracjami, nie osuszał łez kochanki, nie upadł przed nią po studencku na kolana i nie przytulił do serca stroskanej główki, chociaż mógł i powinien był przyzwyczaić się do Aurelci podczas swego długoletniego z nią pożycia, jak przyzwyczaił się do laski bambusowej, którą pieścił w danej chwili w swojem ręku.

Leniwie uniósł się z kozetki i zdzielił lachą część ciała kochanki, którą łaskawy czytelnik napewnoby ucałował.

— Łotrze! — wymknęło się z ładnie skrojonej buzi.

Aurelcia załkała. Chciała nawet zemdleć, lecz nie było w pobliżu otomany.

A Wszędobylski milczał, milczał gryząc wargi.

— Zaco bijesz? — zapytała rzucając piorunujące spojrzenie.

— Okradłaś mnie, kanaljo!

— Wycisnąłeś biedną dziewczynę jak cytrynę, a teraz oskarżasz o kradzież! Potrafiłeś usidłać inną i ona cię okradła. Jestem teraz tobie niepotrzebna i szukasz powodu do zerwania!

Wszędobylski nie miał zamiaru w tej kwestji składać wyjaśnień, tem bardziej, że została połechtana jego duma męska. Nic bowiem tak nie rozzuchwala mężczyzn, jak przesadne oskarżenie w sprawach alkowy. Żaden z nich nie zna pojęcia zdrady, a zwykłe łajdactwo nazywa bohaterstwem.

To też Wszędobylski, wyniesiony przez kochankę do roli donżuana, uśmiechnąłby się w tej chwili, gdyby nie trapiąca go poważnie troska co do forsy.

— Stać mnie jeszcze na inną, chociaż okradłaś mnie skandalicznie! — wybuchnął.

Aurelcia, znieważona przez kochanka, chciała wybuchnąć z całą furją, zaznaczając niecne pochodzenie pieniędzy, lecz na chwilę opamiętała się, nie chcąc ostatecznie wywoływać gorszącego skandalu.

Wszędobylski zwyczajem więziennym mierzył krokami pokój.

Aurelcia ciężko wzdychała z pochyloną główką.

Takie półmilczenie trwało czas dłuższy. Oboje myśleli poważnie. On — jak odzyskać pieniądze. Ona zaś — jak odzyskać kochanka z pieniędzmi.

On ją znał dobrze i wiedział, że groźbami nic nie wskóra. Ona znała go również i wiedziała, że jeżeli będzie trwała uparcie, kochanek zawróci z łajdackiej drogi, jak to już nieraz czynił.

W pokoiku zaczął się rozpościerać szarawy wspólnik — mrok, bardzo poważny czynnik do pojednania poważnionych.

Wkońcu Wszędobylski zbliżył się do Aurelci i ująwszy ją za ramię, zapytał:

— Powiedz, Aurelciu, czy źle ci było zemną?

Aurelcia uczuła ciepłą dłoń Mirosława i załkała.

— Powiedz, powiedz! — nalegał.

Aurelcia milczała.

Z tego milczenia zrozumiał, że w duszy kochanki musi rozgrywać się walka.

Nagle milczące napięcie przerwał dzwonek w przedpokoju. Wszędobylski wyszedł, żeby otworzyć. Przez uchylone drzwi listonosz podał liljową kopertę, zaadresowaną do Aurelci.

Wszędobylski jednym ruchem rozerwał i z koperty wypadła biała kartka, napisana okrągłem wyraźnem pismem:

„Aurelciu! Przyjdź jak zawsze pod rozłożyste kędziory dębu. Wyjdę na Twoje spotkanie. Sym. 8.“

Wszędobylski zrozumiał całą swoją tragedję. Więc w miejscu, gdzie była ukryta waliza, Aurelcia spotykała się ze swym kochankiem.

Nie namyślając się długo, kazał ubierać się Aurelci pod pretekstem pójścia na spacer.

Gdy wyszli, poprowadził ją na cmentarz, nie przeczuwając niczego złego.

Tymczasem Komisarz Ażurek, który dostał w tym samym czasie anonimowy liścik, postępował krok w krok za nimi.

Gdy zaś znaleźli się w okolicy dębu, ujrzeli rozkopany dół i leżącą wpoprzek dołu walizę.

Zostali aresztowani.

KONIEC.

TO I OWO
MIESIĘCZNIK
LITERACKO-ARTYSTYCZNO-REKLAMOWY

Redakcja i Administracja:
WARSZAWA, ul. Tamka, 45-B, m. 6,
Telefon 232-25.

W końcu maja 1931 r. ukaże się pierwszy numer miesięcznika

TO I OWO

Literacko - Artystyczno - Reklamowy miesięcznik **TO i OWO** pod względem treści i formy będzie wzorowany na współczesnych zagranicznych magazynach amerykańskich, angielskich, francuskich i niemieckich w rodzaju „Das Magazin", „Das Leben", „Uhu" i t. p.

Zespół redakcyjny, składający się z młodych literatów i artystów, dokłada wszelkich starań, aby nowy miesięcznik postawić na wysokim poziomie literackim i artystycznym.

Dział ilustracyjno - fotograficzny ożywi miesięcznik bogatym doborem ilustracyj i fotografij.

Miesięcznik zainicjuje szereg konkursów literackich i artystycznych i będzie starał się nawiązać żywy i bezpośredni kontakt ze swymi czytelnikami. Ozdobna szata zewnętrzna, wytworny papier, ciekawa treść i różnorodność materjału złożą się na całość mile widzianego pisma.

TO i OWO zastąpi w zupełności podobne wydawnictwa zagraniczne, zalewające ostatnio nasz rynek księgarski.

Wydawca i wydawnictwo „K R O K W I E", Warszawa.

W tem miejscu należy wyciąć i wysłać w kopercie ze znaczkiem 5-cio groszowym

UWAGA: Książki posiadane przez zamawiającego należy z zamówienia wykreślić!

Do
Wydawnictwa „KROKWIE"

w Warszawie
ul. Tamka 45-B, m. 6.

Niniejszym zamawiam w drodze prenumeraty następujące powieści Adama Odrowąż-Wróblewskiego:

„DR. MYDŁEK"
„ROMANS ARTYSTKI-MALARKI"
„ROMANSE KOBIET NOWOCZESNYCH"
„TANIEC MILJONÓW"
„SZKLANA GÓRA"
„ANIOŁ POKOJU"
„MIASTO POD KRZYŻEM"
„KURTYZANA NOWOCZESNA"
„FABRYKA ROZWODÓW"
„APASZE WARSZAWSCY"

w cenie zł. 10 — za każdy tom, które proszę nadesłać pod poniższym adresem w miarę wyjścia z druku za zaliczeniem pocztowem bez doliczenia kosztów pocztowych.

Jednocześnie proszę o nadesłanie dwóch powieści, nie wymienionych w prospekcie, bezpłatnie i bez doliczenia kosztów pocztowych.

Nadesłane egzemplarze mają być numerowane i z podpisem autora.

Data i miejsce zamówienia ....

Imię i nazwisko zamawiającego: ....

....

Adres zamawiającego: ....